KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 10/96 1955



• «La Culture» • Revue mensuelle •

P. HOSTOWIEC:
ODPRĘŻENIE OGARNIA EMIGRACJĘ

J. GIRNIUS:
W POSZUKIWANIU DIALOGU POLSKO-LITEWSKIEGO

St. KORBOŃSKI:
ŚMIERĆ I POGRZEB W. WITOSA

SPIS RZECZY

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik-Octobre 1955



INSTYTUT LITERACKI

NAGRODA MUZYCZNA "KULTURY"

Przy współudziale ASSOCIAÇAO DE CANTO CORAL w Rio de Janeiro Redakcja „Kultury" ogłasza KONKURS na utwór chóralny „à capella".

Czas wykonania utworu — od 5 do 10 minut.

Termin nadsyłania prac — 1 kwiecień 1956 rok.

Nagroda wynosi — 150 DOLARÓW, zaś nagrodzony utwór zostanie wykonany na koncercie chóru „à capella" Associaçao de Canto Coral.

Utwory na Konkurs należy nadsyłać do *Redakcji „Kultury":* 91, Avenue de Poissy, Maisons Laffitte (S.-et-O.), France wraz z kopertą zaopatrzoną w godło i zawierającą nazwisko i adres autora.



NAGRODA LITERACKA KULTURY NA ROK 1955

Przypominamy, że termin nadsyłania prac na nagrodę literacką „Kultury" na rok 1955 upływa dnia 31 października rb.



DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY"

Lucjan Lazarewicz, Caracas (Venezuela)	2.000 fr.
p. Jarzębińska, Caracas (Venezuela)	2.000 "
Zbigniew Poray-Łukaczyński, New Brunswick N.J. (USA) ponownie	8.750 "
Edward Posyniak, Buffalo, N.Y. (USA)	1.400 "
Adam Wysocki, West Hartford, Conn. (USA)	1.750 "
Tomasz Biliński, San Isidro (Argentyna) .... *peso*	100

Imprimé en France

Odprężenie ogarnia emigrację

Nieprzejrzyste fale polityki odprężenia, zapoczątkowanej na konferencji Czterech w Genewie, rozlały się szeroko po świecie ogarniając także emigrację.

Nigdy jeszcze emigranci nie mieli okazji widywania tylu przyjezdnych z kraju. Wydawało się zrazu, że podróżnicy odwiedzali tylko emigrantów szczególnie umiarkowanych w sądach o ludziach i rzeczach krajowych; doświadczenie wykazało, że nie robią takich różnic, odwiedzając wszystkich ,,bez światłocienia'', prócz paru osób znajdujących się na rodzaju czarnej listy dla przyczyn, których nikt nie umiał jasno wytłumaczyć.

Przez dziesięć lat gazety krajowe pisały o nas jako o zdrajcach zaprzedanych imperialistom i neohitlerowcom. Dziś, zatroskane o nasz los, zapraszają nas do udziału w odbudowie kraju. Ostatniego dnia lipca rb. uruchomiona została w Warszawie specjalna radiostacja ,,Kraj'', zwracająca się do emigrantów i rozpoczynająca swe audycje od wezwania do powrotu, podpisanego przez 48 osobistości znanych w kraju i zagranicą. Meritum tego wezwania zajmiemy się niżej.

Powyższe przejawy odprężenia w stosunkach między krajem i emigracją skłonni jesteśmy w chwilach optymizmu tłumaczyć sobie jako znaki jakichś zmian zachodzących wewnątrz kraju i świadczących o ,,odwilży'', luzach i złagodzeniu reżymu. Powracając do ostrożności w myśleniu, zastanawiamy się jednak czy nie wpadamy w *wishfull thinking*. Jest rzeczą charakterystyczną dla obecnej sytuacji, że ani wypadki, ani lektura pism krajowych, ani rozmowy z przyjezdnymi nie dostarczyły dotąd żadnego rozstrzygającego argumentu na korzyść tej lub innej interpretacji opisanych wyżej zjawisk.

Skutki tych ostatnich na emigracji są jednak widoczne. Samo przewidywanie możliwości zmian wewnątrz kraju wywołało wśród emigrantów zrozumiałe zainteresowanie. Nigdy jesz-

cze nie czytaliśmy tylu pism i książek krajowych. starając się wniknąć w sens tamtejszych spraw i wypadków. Długie lata nieobecności oddaliły nas od kraju; dziś zaczęliśmy się doń zbliżać.

W Warszawie podjęto inicjatywę „pojednania się z emigracją'' — jak to sformułował jeden z moich rozmówców — ściągnięcia części emigrantów do kraju i zlikwidowania w ten sposób przebywającej zagranicą opozycji. Zadanie takie nie jest na pewno proste, przez radio żadną miarą załatwić się nie da i wymagać będzie długich i uporczywych zabiegów.

W zabiegach tych rząd warszawski posiada nad emigracją widoczną przewagę. Stosownie do potrzeb chwili może uruchamiać i zwijać radiostacje, pozwalać i zakazywać rozmów z emigrantami, dawać wskazówki prasie i mobilizować różne czynniki społeczne. Może wreszcie skupiać swą propagandę na tej czy innej grupie emigrantów.

Emigracja nie posiada w tej chwili żadnego ośrodka politycznego, w którym krystalizowałaby się jej opinia. Rozproszona po dwudziestu kilku krajach, nie ma nawet przeglądu całości podjętej przez Warszawę. Jak w 1945, wobec zaproszeń do powrotu emigrant jest samotny.

Przewaga ta mogłaby zostać częściowo wyrównana przez powszechną na emigracji znajomość faktów dotyczących rozmów z przejezdnymi i innych kontaktów z krajem oraz kierowanej z Warszawy propagandy powrotu, która przeważnie nie dociera do emigrantów bezpośrednio. Wszystkie te fakty są powszechnie znane w kraju. Niemal równie dokładnie znane są policji krajów udzielających azylu emigrantom. Dla wymienionych wyżej przyczyn, najmniej być może znana jest samym emigrantom.

Poruszając tu ten dla różnych przyczyn drażliwy temat, mam świadomość, że nie obejmuję zapewne jego całości. Jak inni, znam tylko część faktów i usiłuję odgadnąć ich sens.

FRAGMENT WIĘKSZEJ CAŁOŚCI

Próby oswojenia emigracji polskiej i częściowego sprowadzenia jej do kraju nie są zapewne własną inicjatywą rządu warszawskiego. Takie same próby podjęte zostały także przez inne rządy strefy wpływów sowieckich i stanowią część składową polityki odprężenia prowadzonej od pewnego czasu przez Kreml.

Polityka taka nie mogła pominąć całkowicie zagadnienia emigracji. Sama już liczba emigrantów i stały dopływ nowych uchodźców stwarzają na Zachodzie każdego dnia nowe zagadnienia rujnujące marzenia o koegzystencji, która — jeżeli to słowo ma w ogóle jakieś znaczenie — przypuszcza pewną stałość stosunków. Widok granicy, na której chwila roztargnienia strażników wystarcza, aby kilku najbliżej stojących obywateli

rzuciło się do ucieczki, na pewno o stałości stosunków nie wróży. Obłaskawienie i rozbrojenie moralne emigrantów, stworzenie wrażenia, że ruch osobowy na linii demarkacyjnej odbywa się w obu kierunkach, byłoby zjawiskiem przemawiającym do wyobraźni i dobrym argumentem propagandowym w rękach zwolenników koegzystencji na Zachodzie.

Nowe ustosunkowanie się Warszawy do emigrantów powstało więc z doraźnych potrzeb polityki odprężenia. Tym tłumaczy się zapewne szczególny charakter posunięć rządu warszawskiego: szybkość następujących po sobie decyzji, dążenie do natychmiastowych sukcesów, wielotorowość akcji i wynikające stąd jej sprzeczności wewnętrzne.

Przekonanie części emigrantów o bezskuteczności dalszego oporu, złagodzenie ich nieprzejednanej postawy, wciągnięcie w procesy ,,wymiany kulturalnej'' zalecanej przez konferencję Czterech — posunięcia idące w tym kierunku byłyby jednym z wariantów polityki odprężenia; ale rozdwojenie emigracji, skompromitowanie jej w oczach Zachodu i utrudnienie emigrantom pobytu w krajach udzielających im dotąd azylu — odpowiadałoby również potrzebom doraźnym tej polityki. W poszukiwaniu natychmiastowych sukcesów akcja rządu warszawskiego zdaje się posuwać jednocześnie obu torami. Szybkość działania i jedność kierownictwa pozwalają na krótką metę używać wykluczających się nawzajem środków; na dłuższą metę dwutorowość taka nie wróży powodzenia.

Pośpieszność i chaotyczność całej akcji nasuwa pytanie czy w ogóle ,,pojednanie z emigracją'' jest projektem obliczonym na dłuższą metę czy jest tylko przejściowym posunięciem taktycznym, ważnym do chwili kiedy powodzenie polityki odprężenia pozwoli nie liczyć się więcej z emigracją.

,,ODWILŻ'' I PERSPEKTYWY KOEGZYSTENCJI LITERACKIEJ

Jeżeli wierzyć Erenburgowi, ,,odwilż'' zaczęła się nazajutrz po śmierci Stalina. Jako datę jej oficjalnego ukazania się w Polsce można by przyjąć samokrytykę ministra Sokorskiego na sesji Rady Kultury, w kwietniu 1954. Wiele osób kompetentnych zaprzecza istnieniu w Polsce odwilży. Czytelnik książek i czasopism krajowych nie może się jednak oprzeć wrażeniu, że pisarze korzystają obecnie z nieco większych luzów niż w 1949-1952. Dyskusje przybrały w Warszawie ton nieco bardziej lekkomyślny. Ostrożne ,,wychylanie się'' stało się modne, być może nawet dobrze widziane u góry jako dowód, że *,,żit' stało legcze i wiesieleje''*. Zresztą nawet w samej partii — jak mi mówił jeden z pierwszych przyjezdnych — dyskusje przybrały formy tak szerokie, ,,że znalazłoby się w nich miejsce także i na dyskusję z emigrantami''.

W tym przedwiosennym nastroju wydawało się, że dystans dzielący literaturę krajową od zagranicznej zaczął się zmniejszać, i że prędzej czy później nadejdzie chwila stosowna do przerzucenia mostu między obu odłamami polskiego piśmiennictwa. W czasopismach literackich warszawskich zaczęto cytować pisarzy emigracyjnych; był to jak gdyby pierwszy krok do zaproszenia ich do współpracy. Spostrzeżono, że niektórzy autorzy emigracyjni są w warunkach ,,odwilży'' — zupełnie cenzuralni i mogliby drukować się w kraju. Niektórzy uważali za wskazane stworzenie etapu pośredniego, w postaci czasopisma neutralnego, wychodzącego zagranicą lecz mającego debit w kraju, i w którym pisaliby obok siebie pisarze krajowi i emigracyjni. Wzorów tego rodzaju koegzystencji literackiej nie brak. Czasopismo rosyjskie tego typu istniało,, o ile mnie pamięć nie myli, za czasów pobytu Gorkiego na Capri. Również i w Niemczech za Hitlera istniał szanowany miesięcznik neutralny *Corona*, w którym wolno było pisywać emigrantom.

O wszystkich tych pomysłach, powstałych w kraju w atmosferze oczekiwania ,,odwilży'' słyszałem tylko odlegle i niejasno. Nikt z przyjezdnych mi o nich nie mówił. O ile wiem, żaden z tych pomysłów nie doczekał prób wprowadzenia go w życie. Próby takie mogły być oczywiście podjęte tylko z upoważnienia kompetentnych władz warszawskich.

Odmawiając im swego błogosławieństwa — o ile w ogóle była o tym kiedykolwiek mowa — oficjalne czynniki warszawskie trafnie oceniły wykonalność tych pomysłów. Książki pisarzy emigracyjnych, nawet skądinąd cenzuralne, pozostają zakazane w kraju; biblioteki publiczne trzymają je w działach ,,prohibitów''. Dopóki ten stan rzeczy trwa, propozycja drukowania go w kraju miałaby dla autora emigracyjnego przykry smak próby odłamania go od emigracji, kupienia dla celów propagandy. Z podobnymi zarzutami spotkałby się projekt czasopisma neutralnego, w którym nie bez racji dostrzeżono by próbę rozciągnięcia cenzury warszawskiej na współpracowników zagranicznych czasopisma.

Rozmowy na takie tematy z emigrantami musiałyby być poprzedzone przez znaczne postępy ,,odwilży'' w kraju. Z tymi samymi trudnościami spotkają się zapewne próby ,,rozszerzenia wymiany dóbr kulturalnych'' zalecane przez konferencję Czterech.

Zresztą, powtarzam, nikt z przyjezdnych nie poruszał tych tematów ze mną, ani z nikim z moich znajomych; nic więc pewnego nie umiałbym o nich powiedzieć. Najdokładniejsza znana mi wersja projektu czasopisma neutralnego, pióra nieznanego autora, znajduje się z raporcie przechowywanym w archiwach policyjnych różnych krajów Europy Zachodniej. Raport ten donosi o bliskim pojawieniu się takiego czasopisma, wymieniając z imienia i nazwiska jego głównych współpracowników, wśród których piszący te słowa figuruje na honorowym miejscu. Raporty tego rodzaju należą jednak do zupełnie innego działu stosunków między krajem i emigracją.

SPOTKANIA I ROZMOWY

Po czteroletniej przerwie, pierwszych przyjezdnych z Warszawy widziałem już w roku ubiegłym; potem spotkania stały się częstsze.

Spotkania te miały charakter przyjazny, często serdeczny. Okoliczność ta nie wymaga objaśnień. Samo pojawienie się przyjezdnych wśród emigrantów było dowodem luzów i ulg wewnątrz kraju. Wśród spotkanych znalazłem dawnych znajomych i przyjaciół, których od szesnastu lat nie widziałem. Wszyscy patrzyli z optymizmem na przyszłość kraju w ramach bloku wschodniego, jak również na ewolucję wewnętrzną tego ostatniego w sensie złagodzenia reżymu stalinowskiego, do którego powrót wydawał się im niemożliwy. Mówili o zamierzonych pracach, podróżach i dalszych spotkaniach.

Powiem od razu, że spotkania z nimi oddaliły ode mnie wiele czarnych myśli. Zobaczyłem przed sobą ludzi przeważnie młodych, przedsiębiorczych, trzeźwych lecz życzliwych, dalekich od łatwizny i cynizmu. Młodzi nie zmienili się być może wiele, przywykli tylko do wczesnego zajmowania się sprawami istotnymi, dawniej zastrzeżonymi dla starszych.

Niektórzy dawni znajomi zostali przez ten czas członkami partii, spostrzegłem jednak, że ta okoliczność nie stworzyła między nami żadnej obcości. Wzrok ich był przyjazny, jak dawniej, myśl jasna, wolna od manieryzmów i przesądów. Rozumiałem, że uszedłszy łatwej śmierci moi towarzysze nie znajdowali w sobie argumentów nakazujących im odpowiadać zawsze „nie" na propozycje, jakie niosło im zmienione przez wypadki życie. Ja sam poszedłem wprawdzie inną drogą, ale — przeglądając szybko w pamięci motywy mego wyboru — spostrzegałem, że nie umiałbym ich streścić jasno bez użycia słów potępionych przez Carnapa jako nie posiadających dość określonej treści; najistotniejsze w nich wydawało mi się to, że mogłem się nimi powodować nie poddając ich żadnej ściślejszej dyskusji. Podobne być może refleksje robili moi rozmówcy. W wyniku odmiennych przeżyć pozostawała między nami pewna strefa myśli, do której chwilami zbliżaliśmy się nie odważając się jej przestąpić. Spotkania i rozmowy były zawsze zbyt krótkie; najistotniejsze ich przedmioty uciekały od słów.

Podróżni byli zresztą dyskretni i oględni w słowach. Nie zadawali pytań ani nie wysuwali propozycji wymagających natychmiastowej odpowiedzi. Jedynym drażliwym pytaniem, jakie mi niektórzy zadawali, było czy nie przyjechałbym na kilka tygodni do Warszawy dla bliższego rozejrzenia się w stosunkach. Pytanie to wprawiało mnie w zakłopotanie. Liczba i waga rzeczy nienazwanych, niedopowiedzianych między pytającym i mną wzrastały w takich chwilach do ogromnych rozmiarów. Rozmówcy nie nalegali zresztą na odpowiedź i nie objaśniali bliżej

swego pytania. Zapewne domyślali się, że tego rodzaju podróże wymagają bliższego kontaktu, bardzo wielu rozmów, namysłu, a przede wszystkim złagodzenia obyczajów policyjnych, które dotąd odstręczały podróżnych.

ODEZWA 48-MIU

Opisane wyżej spotkania datują z okresu poprzedzającego konferencję Czterech. Emigranci nie zdążyli się jeszcze oswoić z tym co słyszeli od przyjezdnych, gdy Warszawa przemówiła do nich zupełnie innym tonem. Upoważnienie do rozmów z emigrantami kazało przypuszczać, że taktyka Warszawy będzie długofalowa, idąca za ewolucją stosunków wewnętrznych. Przypuszczenia te były mylne. Po konferencji Czterech rząd warszawski uznał widocznie, że ,,pojednanie z emigracją'' jest już zbędne, porzucił rozmowy i wezwał emigrantów do powrotu.

Ostatniego dnia lipca radiostacja ,,Kraj'' ogłosiła odezwę podpisaną przez 48 osób znanych w kraju i na emigracji. Ponieważ radiostacji ,,Kraj'' zagranicą nie słychać prawie wcale, muszę tu przytoczyć główne ustępy tej odezwy.

Tekst jej jest świetnym przykładem krasomóstwa politycznego i wysuwa argumenty, na które emigranci są najbardziej wrażliwi :

,,Społeczeństwo nasze nie chce pogodzić się z myślą, że Polacy ci, z przyczyn mających źródło w zmienionej dawno przeszłości, mogą być skazani na wieczną tułaczkę''.

Po tym wstępie odezwa stwierdza, że wielu emigrantów nie ma możności pracy w swoim zawodzie lub pozostaje w ogóle bez pracy.

,,Prawnicy i nauczyciele nie rzadko zarabiają na życie jako tragarze i dozorcy. Intelektualiści bywają kelnerami... Dzieci uchodźców... skazane są na wynarodowienie. W okresie odbudowy kraju odezwa uważa to za ,,marnotrawstwo sił należących do Polski''.

,,Przez dziesięć lat wmawiano wam, że jedyną drogę powrotu do kraju otworzy nowa wojna. Jest rzeczą oczywistą, że droga taka byłaby możliwa tylko w marszu przeciwko Polsce u boku neohitlerowskich odwetowców. Tymczasem społeczeństwo polskie toczyło przez dziesięć lat walkę o pokój, otwierając w ten sposób zupełnie nowy szlak powrotu''.

,,Zwracamy się do was jako do tych, którzy byli wśród nas, których z nami łączyła wspólna walka z hitlerowskim wrogiem i wspólne nieraz poglądy... Zwracamy się do was jako ludzie, którzy teraz tu tworzą nową Polskę i pragną widzieć was przy tej pracy... Na wszystkich tych, którzy wrócą, czekają warsztaty ich pracy zawodowej : fabryki, gospodarstwa rolne, laboratoria naukowe, pracownie techniczne i uczelnie; czekają możliwości twórczej pracy w dziedzinie kultury... Wracajcie więc, a będziecie powitani gorąco przez waszych bliskich, życzliwie przez całe społeczeństwo''.

Odezwa powołuje się wreszcie na słowa Bolesława Bieruta, wypowiedziane 23 lipca rb. do delegatów Polonii zagranicznej :

„Polska ludowa — to Polska, w której władzę sprawuje cały naród. A naród polski jest wspaniałomyślny. Nie pamiętamy i nie chcemy pamiętać win i przekroczeń. Każdy, kto szczerze tęskni za ojczyzną, kto chce wrócić — może spokojnie, bez żadnej obawy wrócić do swego kraju i pracować dla rozkwitu Polski".

Odezwę tę podpisały osoby dziś politycznie niezaangażowane lub reprezentujące różne stronnictwa przedwojenne. Znajdujemy wśród nich profesorów : Juliana Krzyżanowskiego, Zygmunta Wojciechowskiego, Tadeusza Lehr-Spławińskiego, Karola Estreichera, Józefa Chałasińskiego i ks. Józefa Iwanickiego, rektora uniwersytetu katolickiego w Lublinie. W grupie pisarzy i artystów znajdują się : Maria Dąbrowska, Gustaw Morcinek, Antoni Słonimski, Julian Przyboś, Zofia Starowieyska-Morstinowa, Karol Frycz i Ewa Bandurska-Turska. Dawnych ludowców reprezentują Władysław Kiernik i Czesław Wycech, socjalistów — Stanisław Garlicki, Ludwik Grosfeld i Józef Beluch-Beloński. Nie brak nawet dawnego Ozonu (prof. Wojciech Świętosławski) i ONR (Jerzy Kurcjusz).

Odezwa czeska, którą czytaliśmy przed paru miesiącami — porównywujemy tu rzeczy porównywalne — była zupełnie odmienna. Ton jej był tak urzędowy, jak gdyby na końcu miały się znajdować sakramentalne słowa : „pod karą 20 lat ciężkiego więzienia", była to jednak odezwa rządowa, nie tylko wzywająca emigrantów po powrotu, lecz także ogłaszająca amnestię dla wszystkich którzy wrócą. Odezwa warszawska wychodzi od „czynników społecznych", nie rozporządzających takimi argumentami. Dlatego powołuje się na słowa sekretarza generalnego partii o „wspaniałomyślności narodu". Brak ten będzie być może uzupełniony; na razie pozostaje dotkliwy, zwłaszcza jeżeli przypomnimy sobie wszystkie oskarżenia, jakie w ciągu dziesięciolecia miarodajne czynniki warszawskie zgromadziły na głowach emigrantów. Powoływanie się w tej sytuacji na „wspaniałomyślność" jest wezwaniem do zdania się na łaskę i niełaskę. W stosunku do programu „pojednania się z emigracją" odezwa 48-miu jest widocznym krokiem wstecz.

Trudno przypuszczać, aby odezwa ta miała wydać większe skutki. Główne jej argumenty wysuwane były również w 1945-1946, to jest w latach, kiedy obecni emigranci postanowili nie wracać Nikt im tego wówczas nie doradzał, wręcz przeciwnie. Ja sam musiałem się przez jedenaście lat co kwartał tłumaczyć, dlaczego nie wróciłem do kraju lub nie wyjechałem do Australii. Nigdy przyszłość emigracji nie wydawała się równie beznadziejna jak w tamtych latach. Wiele zmieniło się odtąd na lepsze. Przy praktykowanej obecnie na Zachodzie polityce największego zatrudnienia, twierdzenie odezwy, że „wielka rze-

sza uchodźców pozostaje w ogóle bez pracy'' jest przesadne, jak przesadą jest uważać za tragedię mycie butelek przez ,,intelektualistów''. Nie widać też i innych powodów, aby argumenty 48-miu miały wydać się emigrantom bardziej przekonywujące dziś niż przed dziesięciu laty. Ich stosunki z krajem i ewentualny powrót zależą wciąż od rozwoju sytuacji wewnętrznej w Polsce.

DRUGI TOR

Odezwa czynnika społecznego obudzi pewne niedowierzanie też dlatego, że prowadzona przez inne czynniki wojna podjazdowa przeciw emigracji nie została wcale zawieszona. *Carnevale, ogni scherzo vale,* mówi włoskie przysłowie : w karnawale każdy żart jest dobry. Zasada ta jest najwidoczniej ważna też dla wojny podjazdowej z emigracją. Repertuar używanych w nie środków zbogacił się ostatnio o parę figli, z których jeden zasługuje w tej chwili na uwagę.

Jest rzeczą znaną, że interesy handlowe oraz flirty polityczne i kulturalne z krajami bloku sowieckiego kraje Europy za chodniej zastrzegają dla własnych obywateli; emigranci nie powinni się tym bawić. Ograniczenie to ma jasną przyczynę : prawo azylu przysługuje emigrantom obawiającym się w ojczyźni prześladowań i dyskryminacji. Azylanci nie są też repatriowan do kraju pochodzenia, jak to się zdarza innym cudzoziemcom bez środków do życia. Czy prawo azylu może przysługiwać te emigrantom oczekiwanym z otwartymi rękami w ojczyźnie i pozostającym w najlepszych stosunkach z przedstawicielami urzędowymi i emisariuszami tej ostatniej ? Pytania takie dotąd ni powstawały. Same inwektywy prasy krajowej pod adresem emi grantów stwarzały wrażenie, że w razie powrotu każdy z nich zostałby pokrajany na kawałki. Akty policyjne obfitowały w donosy przedstawiające emigrantów jako faszystów, zbrodniarzy wojennych i pospolitych, spiskujących przeciw pokojowi i dobrym stosunkom Zachodu z Rosją i jej satelitami. Gdy po dziesięciu latach do aktów tych zaczęły napływać wiadomości, że wręcz przeciwnie emigranci, nawet najmniej o to podejrzewani, pozostają w ścisłym porozumieniu z partiami komunistycznymi swych krajów, rzecz musiała wywołać pewną sensację. ,,To niemożliwe!'' mówili jedni. ,,Jakto, czyż nie widują si wciąż z przyjezdnymi komunistami ?'' odpowiadali drudzy.

Figiel był dobry. Wzywając emigrantów do powrotu, jeg autorzy chcieli jednocześnie wywołać rewizję statutu azylantów Rzecz mogła się nawet udać, gdyby pomysł ten nie był wyko nany zbyt pośpiesznie, masywnie, grubymi ściegami, z lekce ważeniem pozorów.

Do dziedziny figlów należą też posunięcia w rodzaju po wrotu do Warszawy Hankego. Do szerzenia na emigracji myśl pojednania się i powrotu do ojczyzny Hanke posiadał jedyn w swoim rodzaju sytuację, jak długo pozostawał na stanowisk

tytularnego premiera rządu emigracyjnego w Londynie. Uciekając z tego stanowiska do Warszawy, stracił szanse przekonania kogokolwiek. Żarty te muszą budzić podejrzliwość emigrantów.

NIEWIADOME

W polityce warszawskiej dążącej do rozbrojenia i likwidacji emigracji można odróżnić dwie fazy. Pierwszą charakteryzują próby „pojednania z emigracją", rozmów i zbliżeń. Trwała zbyt krótko, aby mogła przynieść jakieś wyniki, zależne zresztą od dalszego rozwoju stosunków w kraju.

W kilka dni po konferencji Czterech rozpoczęła się faza następna, podobna do szturmu generalnego z manewrem oskrzydlającym i obstrzałem z wszystkich kalibrów. Operacja ta jest w pełnym biegu, nie wydaje się jednak, aby miała przyprowadzić do likwidacji emigracji.

Co spowodowało tę zmianę taktyki? Czy świadomość, że rozwój sytuacji w kraju nie rokuje nadziei na pokojowe zbliżenie się do emigracji? Czy rachuba na demoralizację emigracji w wyniku nowej polityki Stanów Zjednoczonych? Czy wreszcie ocena konferencji Czterech jako rozstrzygającego zwycięstwa i lekkomyślność wynikła z upojenia triumfem?

Nie wiadomo również czy na opornych na wezwanie emigrantów rzucona będzie jakaś nowa anatema, z zakazem widywania się z nimi, czy też taktyka rozmów zostanie utrzymana.

Na razie pozostaje faktem, że emigracja spłynęła z mielizny i znalazła się w samym środku odmętów odprężenia. Walka podjęta o nią i przeciw niej przez rząd warszawski zaczęła zwracać ogólną uwagę. Po raz pierwszy od wielu lat emigracja — jeżeli zabierze głos — będzie mogła liczyć na pewne audytorium po obu stronach linii demarkacyjnej.

Paweł HOSTOWIEC

Które z przemian w Polsce są odwracalne? (III)

ANKIETA POD REDAKCJĄ ST. ZARZEWSKIEGO

Rozdział V

RZEMIOSŁO

Rzemiosło — i przemiany, którym ono uległo — wywołały bardzo małe zainteresowanie uczestników ankiety. Zaledwie co trzeci w ogóle odpowiedział na pytania, dotyczące rzemiosła.

P. Arka załatwia sprawę jednym zdaniem : ,,W dobie produkcji taśmowej rzemiosło nie ma wielkiego znaczenia dla przyszłych stosunków wytwórczych i społecznych''. *Dr Barnach* pisze : ,,Jakże śmieszną figurą jest rzemieślnik w epoce produkcji już prawie — atomowej. Cóż z tego, iż rzemiosło polskie ma wielką przeszłość skoro nie ma żadnej przyszłości''.

Nie wszyscy wykazują jednak podobny stosunek do społeczno-gospodarczej wartości rzemiosła i jego przyszłej roli. Np. *p. J. T.* pisze : ,,Uważam, że polskie rzemiosło, stanowiące tak

---

Od szeregu osób, w tej liczbie od poważnych znawców przedmiotu, otrzymaliśmy zapytania, czy można jeszcze nadsyłać odpowiedzi na ankietę. Odpowiadamy : *można*, ale pod warunkiem, że opinie obecnie nadsyłane będą miały charakter uzupełnień w stosunku do materiału, który do dziś opublikowaliśmy. Krytyka dotychczasowych rozdziałów jest również pożądana. Forma korespondencji w tej sprawie jest zupełnie dowolna : artykuły, notatki, listy do redakcji itp. Pożądane jest trzymanie się kwestionariusza do ankiety, który był drukowany w ,,Kulturze'' w grudniu 1954. W dzisiejszym numerze, poza autorami, których personalia podaliśmy w poprzednich rozdziałach, zabierają głos pp. 1) Czesław Arka, brak personaliów, 2) Dr Stefan Barnach, 3) Dr Jerzy Zubrzycki, socjolog.

poważny odsetek naszego mieszczaństwa, winno być otoczone należytą opieką w Polsce wyzwolonej. Ci samodzielni i niezależni posiadacze warsztatów pracy byli w Polsce Niepodległej najbardziej twórczą warstwą społeczną. Dobrze wyszkoleni rzemieślnicy, zorganizowani w związki, są ogniwem pośrednim w rozwoju większej wytwórczości. Posiadając wyrobione praktycznie podejście do życia, staną się w Polsce drugą po ziemiaństwie najbardziej wartościową grupą społeczną". Podobnego zdania jesct *p. Szczepanowski*, który twierdzi: „Przemiany na terenie rzemiosła z okresu „Polskiej Republiki Ludowej", winny być w całości uchylone z tej prostej przyczyny, iż rzemiosło ma do spełnienia ważne, istotne i niezbędne funkcje w życiu gospodarczym".

O dzisiejszym stanie rzemiosła w Polsce pisze *p. Pawłowicz:* „Rzemiosło jest w zupełnym upadku i trudno jest oczekiwać, aby się podniosło szybko do tego poziomu, na jakim było przed wojną. Ilość warsztatów spadła niemal do połowy, a przymus należenia do cechów i opanowanie tych ostatnich oraz Central Zaopatrzenia i Zbytu przez administrację pozbawił je zupełnie samodzielności. Na wsi sytuacja jest podobno katastrofalna. Zenon Nowak mówi o 30-kilometrowych podróżach, jakie odbywają chłopi, aby podkuć konia albo naprawić wóz". Stosunek autora do przemian na terenie rzemiosła wyrażony jest w dezyderacie następującym: „Polityka pozostawienia rzemieślnikom jak największej swobody łącznie ze swobodą zrzeszania się lub niezrzeszania dla celów zaopatrzenia w surowce i zbytu wyrobów, jest oczywiście pierwszym warunkiem podniesienia tej dziedziny wytwórczości".

Inni autorzy, którzy w sposób mniej lub więcej pozytywny odnieśli się do przyszłej roli rzemiosła, są również przeciwni przymusowemu zrzeszeniu go, przeciwni poddawaniu go dyspozycji państwa. Wychodzą oni z założenia, że warsztaty rzemieślnicze jeszcze mniej niż przemysłowe mogą być przedmiotem gospodarki scentralizowanej, zalecają więc ich „de-sowietyzację"; dominuje przy tym pogląd, że, w przeciwstawieniu do przemysłu, proces ten na terenie rzemiosła jest łatwy.

Prof. Marczewski stwierdza, że „próby przymusowego zrzeszania rzemieślników w kolektywy należy uznać za całkowicie nieudane. Doprowadziły one do podrożenia kosztów produkcji i rozrzedzenia sieci usługowej. Liczne wsie, a nawet miasteczka są pozbawione najniezbędniejszych warsztatów". Autor jest zdania, że powrót do całkowitej wolności wykonywania zawodów rzemieślniczych, z możnością dobrowolnego zrzeszania się rzemieślników w kooperatywy, jest najlepszym rozwiązaniem. „Władze państwowe winny jedynie kontrolować posiadanie niezbędnych kwalifikacji zawodowych".

Dr Paszkowski zwraca uwagę na fakt, że „nie wszystkie przedsiębiorstwa rzemieślnicze zostały uspołecznione. Istnieją

nadal pracownie tzw. drobnotowarowe, pracujące bez pomocniczych sił najemnych. Istnieją także, jako prywatne, pracownie, które nie wzbudzają ,,pożądliwości'' sektora uspołecznionego. Są to te pracownie, które bądź to nie mogą być poddane formom wytwórczości przemysłowej, bądź też nie opłacają się dla tego, że ,,wymagają wysokiej wiedzy zawodowej i wskutek tego nie reprezentują możliwości masowego zatrudnienia''. Autor wyraża pogląd, że odwrócenie przemian na terenie rzemiosła będzie możliwe w pewnym tylko stopniu, gdyż ,,niektóre rzemiosła zostały już w znacznej części przeprowadzone do stanu wytwórczości przemysłowej, np. szewstwo, piekarstwo, rzeźnictwo, krawiectwo, stolarstwo''.

Rozdział VI

HANDEL WEWNĘTRZNY

Upaństwowienie handlu, a de facto i spółdzielczości, zostało, jak przypomina *p. Poniatowski*, ,,narzucone Polsce w paru etapach : handel hurtowy opanowano już w latach 1945-1947 handel detaliczny w okresie wykonania planu trzyletniego 1947 1949, spółdzielczość ,,zreorganizowano'' w czasie tzw. bitwy o handel w roku 1947, odbierając jej całkowicie samodzielność ostatnim etapem była socjalizacja zakładów gastronomicznych''

Podstawową zmianą w handlu detalicznym w ostatnim 10leciu — pisze *p. Gorecki* — było niemal całkowite upaństwowienie placówek handlowych. ,,Utrzymały się jeszcze małe sklepiki prywatne, ale — odcięte od dostaw upaństwowioneg w 100% handlu hurtowego — uzależnione są od półlegalnyc dostaw tzw. wolnego rynku. Od roku 1950 istnieje w kraju pań stwowy aparat dystrybucji. Państwowe Centrale Hurtowe z od działami w miastach wojewódzkich zaopatrują państwowe skle py detaliczne w mieście, względnie spółdzielcze na wsi w towa ry wyrabiane przez przemysł państwowy, spółdzielczy a nawe prywatny (tzw. skup wolnorynkowy)''.

Z odpowiedzi *dra Paszkowskiego* wynikałoby, że zakre upaństwowienia handlu wewnętrznego jest mniejszy niż podaj powyżsi dwaj autorzy. *Dr Paszkowski* pisze : ,,W handlu we wnętrznym państwo nie może jeszcze poszczycić się całkowity opanowaniem rynku. Wprawdzie przynajmniej 80% obrotó przechodzi przez odcinek państwowy, jednak pozostałe 20% ob rotów to jeszcze dość dużo''.

Bez względu jednak na to, w ilu procentach handel zost upaństwowiony, pewne jest, że cała dziedzina wymiany zosta głęboko przeorana i że przemiana ta należy do jednej z na

ważniejszych z ogólno-gospodarczego punktu widzenia. Chodzi o to, że po prostu sama *istota* handlu uległa przeobrażeniu. Na ten temat pisze *p. Sokołowski :*

W obecnej chwili nie można już mówić o istnieniu w Polsce handlu wewnętrznego w prawdziwym tego słowa znaczeniu, to znaczy w sensie niezależnej kategorii przedsiębiorstw o specyficznej funkcji gospodarczej w zakresie obrotu. Ta funkcja normalnie polega, od strony konsumenta, na wyszukiwaniu i dostarczeniu mu tych właśnie dóbr, których on potrzebuje, na warunkach dla niego dostępnych, zaś od strony producenta — na wymaganiu oraz na ułatwianiu mu produkcji typu i wartości odpowiedniej dla konsumenta. Handel w sensie aktywnej funkcji ekonomicznej, obsługującej rynek złożony z niezależnych producentów i konsumentów, stanowi trzeci, równoległy do nich, ośrodek wpływu na kierunek, charakter i ceny produkcji. Posługując się terminem używanym w życiu parlamentarnym anglo-saskim można powiedzieć, iż handel stanowi *pressure group* o poważnym i dodatnim znaczeniu gospodarczym, gdyż wpływa on w drodze presji na konsumentów i producentów — w kierunku w każdym z tych wypadków odmiennym — na to, by obrót odpowiadał rzeczywistym, nieskrępowanym potrzebom konsumpcji i faktycznym możliwościom produkcji. Wzajemna presja trzech grup, ściślej : trzech kategorii interesów gospodarczych jest najważniejszym, w moim rozumieniu, czynnikiem gwarantującym — przy posługiwaniu się rozwiniętymi niemal do doskonałości metodami technicznymi i psychologicznymi — że produkcja będzie w najwyższej osiągalnej mierze odpowiadała swemu jedynemu celowi, to jest zaspokojeniu potrzeb ludzkich. Handel może wykonywać swoją funkcję tym lepiej, im mniej jest skrępowany sztywnymi przepisami, regulującymi podaż i popyt. W państwie totalistycznym handel musi więc być traktowany jako wróg i wypierany przez dystrybucję państwową, która zastępuje rynkową wolność wyboru przez rozkazodawstwo zbiurokratyzowanych — z konieczności — ośrodków władzy państwowej.

O ile chodzi o zasadniczą funkcję handlu, to nie ma istotnego znaczenia różnica między przedsiębiorstwami prywatnymi a kooperatywami handlowymi w ich normalnej postaci. Zasadniczy stosunek obydwu form handlu do obsługi rynku jest w istocie ten sam. Jak wiadomo niezależny handel prywatny został w Polsce całkowicie zlikwidowany z wyjątkiem małej ilości placówek detalicznych, które już w roku 1951 obsługiwały zaledwie 3 % obrotu. Co do handlu spółdzielczego, to już w roku 1947 — czyli w okresie planu trzyletniego, kiedy administracja komunistyczna stała jeszcze na stanowisku „trzech sektorów" misja rolnicza ONZ do spraw żywności i rolnictwa, wysłana do Polski, stwierdziła, że „wiele organizacji (spółdzielczych), utworzonych ostatnio, nie stanowi kooperatyw w tym sensie, jak to jest rozumiane w wielu innych krajach, ponieważ ważniejsze sprawy... są decydowane raczej przez urzędników na szczeblu ogólno-krajowym niż przez członków każdej spółdzielni na szczeblu lokalnym". Biurokratyzacja spółdzielni handlowych, dzisiaj już stuprocentowa, nie jest do pogodzenia ani z ogólnym, wyżej opisanym, zadaniem handlu ani ze specyficznymi dla spółdzielczości zadaniami społecznymi, których należyte wykonanie pozostanie zawsze konieczną potrzebą i troską każdej normalnej administracji państwowej.

W tych doniosłych zmianach, które przeprowadzone zostały na terenie organizacji handlu wewnętrznego, zginęła rzecz zasadniczej wagi we wszelkim gospodarstwie społecznym, opartym na własności prywatnej: zburzony został mechanizm cen. O tym pisze *p. Poniatowski*:

> Mechanizm cen uległ rozbiciu tak od strony podaży jak i od strony popytu. W szczególności ceny hurtowe stały się przedmiotem rozrachunku wewnątrz koncernu państwowego; mogą one być kształtowane zupełnie dowolnie w zależności od intencji stworzenia łatwiejszych lub trudniejszych warunków dla tej czy innej gałęzi. Są one ponadto trzymane w tajemnicy i nieznane szerszej opinii. Ceny skupu rolniczego są różne na różnych rynkach i np. w dostawach przymusowych nie mają nic wspólnego w procesami, zachodzącymi na rynku. Niemniej dowolne i również niejednolite są ceny detaliczne: towary, których podaż jest niedostateczna w normalnej sieci sprzedaży po obowiązujących ogólnie cenach, są często do nabycia w sklepach specjalnych bez ograniczeń, ale po znacznie wyższych cenach.
>
> Propaganda reżymu chełpi się często stałością cen w dłuższych okresach czasu, co rzekomo chroni przed ryzykiem wahań rolnika z jednej strony zaś spożywcę z drugiej strony. W rzeczywistości wahania nie są wprawdzie codzienne, ale ich gwałtowność i nieobliczalność stwarza większą niepewność niż wahania na wolnych rynkach. Reforma z 3 stycznia 1953 podniosła z dnia na dzień cenę chleba z 1 zł. na 3 zł. za kg., cenę cukru z 3 zł. na 12 zł. za kg. Silnym zmianom poddawano także niektóre ceny rolnicze.

Uważając zanik rynku w ścisłym tego słowa znaczeniu za zło społeczno-gospodarcze a zarazem za przemianę odwracalną, autor konkluduje że należy mechanizmowi cen przywrócić rolę regulatora rynku, co jednak ,,nie oznacza pełnego laissez-fairyzmu''. Nie należy, zdaniem autora, rezygnować z działań polityczno-gospodarczych, wpływających na poziom cen; należy również zwalczać dążenia monopolistyczne, prowadzące do wypaczania mechanizmu cen przez poszczególne grupy społeczne na ich korzyść. ,,Ułatwieniem tej walki będzie brak kapitału prywatnego w chwili odzyskania niepodległości, a więc możność wpływania na charakter kapitałów, które powstaną'', kończy autor.

Oceniając dzisiejszy system handlu w Polsce *p. Pawłowicz* pisze:

> Rezultaty są opłakane. Tak samo jak w Rosji handel państwowy nie rozwiązał problemu dystrybucji towarów w czasie i przestrzeni. Historia braków lokalnych, połączonych z dostawami lokalnie zbędnymi, wciąż się powtarza, podobnie jak dostarczanie kaloszy w środku lata i kostiumów kąpielowych w zimie. Handel państwowy ignoruje potrzeby konsumentów, a tym bardziej nie umie ich przewidywać. Nie jest on żadnym źródłem informacji dla przemysłu i nie wpływa na ważną decyzję: co i kiedy produkować. Tzw. ,,samokrytyka'' daje taki obraz nieudolności chaosu i nadużyć, że bez potrzeby specjalnych studiów należy uznać dziedzinę handlu za najmniej nadającą się do upaństwowienia.

Z kolei nasuwają się następujące pytania: jak uczestnicy ankiety zapatrują się na obiektywną możność uchylenia państwowego monopolu handlowego? Czy i jakimi metodami chcieliby przeprowadzić reprywatyzację handlu, gdyby warunki polityczne na to pozwoliły? I czy obiecują sobie, że w razie reprywatyzacji handlu polski organizm gospodarczy uzdrowiłby się w stosunku do stanu rzeczy, w którym kalosze są do kupienia w lecie, a nie w zimie? *P. Heiman-Jarecki* ma następującą wizję reprywatyzacyjną:

> Chodzi o rzecz kapitalnej wagi, o powołanie z powrotem do życia wolnego rynku, jako bodaj najpotężniejszego środka do odwrócenia tego, co zdziałali bolszewicy. Z chwilą pozwolenia na wolny handel w produktach rolnych momentalnie, dosłownie momentalnie, zniknie cała struktura central, punktów rozprowadzania i jak to się tam jeszcze nazywa w żargonie reżymowym. Może nie wszędzie będzie przywrócenie wolnego rynku tak łatwe jak w produktach żywnościowych, ale w każdym razie wszędzie jest ono konieczne, nawet jeśli ma to pociągnąć za sobą, z początku, pewne niedomagania. Nic tak nie trawi i nie wywraca gospodarki rządowej jak wolny rynek i wolna konkurencja. Zacznie się natychmiast intensywny proces likwidowania gospodarstwa, prowadzonego przez państwo, bardzo szybko wytworzy się wielka ilość drobnych kupców, rzemieślników ,a nawet małych fabryczek. W sumie przedsiębiorstwa te będą stanowiły znaczny odłam gospodarki krajowej.

Podobnie *ks. Prusinowski* przewiduje, że w zmienionych warunkach politycznych nastąpi ,,gwałtowny rozwój handlu''.

Diametralnie przeciwny pogląd wypowiada i biegunowo przeciwny ,,nastrój polityczno-gospodarczy'' wykazuje *dr Chrząszczewski,* który pisze:

> Handel prywatny nie może ulec odrodzeniu, gdyż cały ustrój prywatno-gospodarczy należy do bezpowrotnej przeszłości. Prawda, że upaństwowienie życia gospodarczego w Polsce nastąpiło wskutek rewolucji z zewnątrz, a więc i handel prywatny zginął z rąk niepolskich. Nie zmienia to przecież faktu, że ilość Polaków, którzy nie chcą przywrócenia systemu prywatno-gospodarczego, jest dostatecznie wielka, aby go już nigdy więcej w Polsce nie było, nawet gdyby bolszewicy zostali przepędzeni. Sposób myślenia byłych polskich baronów węglowych i przedwojennych ekonomistów liberalnych przypomina nieco cuchnącą konserwę z roku 1939, która przypadkowo nie została skonsumowana w swoim czasie.

Inni autorzy, w znakomitej swej większości, wypowiedzieli się na rzecz wolności handlu choć żaden z nich nie uczynił tego w sposób tak zdecydowany i niedopuszczający wyjątków, jak *p. Heiman-Jarecki;* nawet — w wielu wypadkach z tym ostatnim jednomyślny — *ks. Prusinowski* jest zdania, że ,,państwo powinno zatrzymać w swych rękach kontrolę cen na rynku wewnętrznym''.

Poglądy *p. Sokołowskiego* w sprawie reprywatyzacji handlu są również raczej umiarkowane:

> Zniesienie ograniczeń, które uniemożliwiają powstawanie i funkcjonowanie wolnych placówek handlowych, stanowi bardzo istotną część zmian, które należy przeprowadzić, o ile możności, natychmiast po wyzwoleniu. Odwracalność tych przemian nie oznacza jednak powrotu do przeszłości. Zagadnienia takie, jak zachowanie lub likwidacja państwowych placówek zbytu lub skupu, państwowych domów towarowych, zwrot znacjonalizowanych placówek lub ich uprywatnienie w inny sposób etc. — stanowią sprawy skomplikowane, niemożliwe dziś do zbadania wobec nieznanych nam przyszłych okoliczności, a trudne do decyzji politycznych. W wypadkach, w których wypadnie zachować planowanie gospodarcze i kierownictwo lub nadzór ze strony państwa, istnienie państwowych placówek zbytu lub skupu może być niekiedy uznane za uzasadnione. Natomiast należy od razu uchylić totalistyczną zasadę, według której obywatelowi wolno robić tylko to, co mu jest wyraźnie dozwolone. Dopiero urzeczywistnienie zasady wolności zakładania i prowadzenia przedsiębiorstw handlowych, kooperatywnych czy prywatnych, pozwoli na zorientowanie się w praktyce czy i w jakim stopniu państwo może z pożytkiem występować w charakterze kupca, oraz na uporządkowanie zabagnionej sytuacji z możliwie najmniejszym naruszeniem bieżącej wymiany dóbr gospodarczych.

P. Poniatowski, mówiąc o upaństwowieniu handlu, wyraża pogląd następujący:

> Przemiany te są oczywiście sprzeczne z potrzebami gospodarki w Polsce i wymagają uchylenia. Nie może ono jednak nastąpić automatycznie w chwili odzyskania niepodległości, gdyż majątek i urządzenia, służące handlowi, mogą tylko stopniowo ulegać przekazaniu w ręce prywatne lub spółdzielcze jeśli nie ma się wytworzyć chaos. Nie ma powodu, by jakakolwiek część właściwego handlu towarowego pozostawała na stałe w rękach państwa, nie byłoby jednak również rzeczą bezpieczną przekazywanie w ręce prywatne takich urządzeń, faktycznie monopolistycznych, jakimi na pewnych terenach są np. elewatory, urządzenia portowe, wielkie chłodnie.

P. Pawłowicz pisze:

> Handel wewnętrzny powinien od razu przejść w ręce prywatne czy spółdzielcze, przy czym byłbym przeciwny jakiejkolwiek polityce dyskryminacyjnej. Dobrze prowadzona spółdzielnia może wyprzeć niedołężnego kupca i odwrotnie. Niechaj konsumenci w warunkach wolnej konkurencji zdecydują, jakie przedsiębiorstwa mają się utrzymać. Trudności uprywatnienia są tutaj niewielkie na ogół. Pewne trudności mogą nastręczać większe zakłady i hurtownie, ale i tutaj forma spółek czy spółdzielni da odpowiednie rozwiązanie.

Prof. Brzeski zaznacza, że „reprywatyzacja handlu może łatwiej dojść do skutku niż reprywatyzacja przemysłu, gdyż w handlu są mniejsze wymagania kapitałowe, a kwalifikacje fachowe są z reguły, choć niesłusznie, lekceważone”. Z punktu widzenia potrzeb kapitałowych w procesie reprywatyzacji han-

dlu *p. Gorecki* sądzi, że hurt, jako wymagający stosunkowo wysokiego nakładu kapitału obrotowego, nie będzie mógł w większości wypadków zostać uprywatniony, gdyż w Polsce po wyzwoleniu brak będzie kapitału; dlatego najwłaściwszym gospodarczym rozwiązaniem sprawy byłoby przejęcie handlu hurtowego przez związek spółdzielni spożywców. W handlu detalicznym, zdaniem autora, odwracalność przemian jest większa niż w hurtowym, dodaje on jednak, że ,,linia podziału nie może być sztywna, bo doprowadziłaby do biurokratyzacji aparatu handlowego. Konkurencja między sklepami spółdzielczymi i prywatnymi leży w interesie konsumenta''.

Prof. Marczewski zaleca odrębne traktowanie różnych kategorii handlu. Autor sądzi, że ,,eksperyment upaństwowienia względnie przymusowego uspołecznienia drobnego handlu detalicznego daje jeszcze gorsze chyba rezultaty niż przymus uspołecznienia rzemiosła'', to też ,,powrót do wolnego prywatnego handlu detalicznego, oraz do dobrowolnych, choć popieranych przez państwo, spółdzielni spożywczych wydaje się konieczny''. Natomiast ,,wielki handel hurtowy oraz wielkie magazyny detaliczne wielobranżowe powinny pozostać we władaniu państwa i samorządu oraz związków spółdzielczych pod kontrolą państwa, aby uniemożliwić odradzanie się wielkiego kapitału prywatnego o charakterze monopolistycznym''.

Do zwolenników utrzymania handlu hurtowego w rękach państwa należą, poza wymienionymi, *pp. Dolecki, inż. Krotkiewski, Tymocki* i *Wolpert*. *Dr Paszkowski* przewiduje, że wskutek ogólnego braku kapitału obrotowego po wyzwoleniu ,,państwo prawdopodobnie zmuszone będzie do prowadzenia handlu hurtowego przez pewien czas dopóki nie utworzą się odpowiednie związki stanowe i zawodowe''. Dodaje on, że ,,odwrócenie obecnego systemu nie może być nagłe''.

Liczni autorzy szkicują konkretne plany co do przyszłej organizacji handlu, odbiegające od wzoru czysto prywatnego: widzą oni pole dla pożytecznej działalności bądź to organizacji terenowych, bądź też różnego typu organizacji spółdzielczych.

Zagadnienie specjalne stanowi oczywiście handel produktami rolnymi, o którym uczestnicy ankiety napisali bardzo dużo. O sprawie tej była już jednak mowa w rozdziale 4, to też tu ją pomijam.

Rozdział VII

HANDEL ZAGRANICZNY

Podstawowe przemiany na tym terenie są następujące: 1) zmonopolizowanie handlu w rękach państwa, 2) odwrócenie kierunków wymiany handlowej, 3) zmiany w strukturze eksportu,

4) zmiany w strukturze importu, 5) zbiurokratyzowanie handlu. Poniżej kolejno przedstawiam te sprawy.

UPAŃSTWOWIENIE I ZMONOPOLIZOWANIE HANDLU

Zaczynam od poglądów *p. Sokołowskiego,* który pisze :

> Jeżeli ograniczenia inicjatywy prywatnej w handlu wewnętrznym winny stanowić możliwie najrzadsze wyjątki od zasady wolności rynku, to sprawa przedstawia się odmiennie, gdy chodzi o handel zagraniczny. Nieskrępowana inicjatywa jest odpowiednikiem wolnego w zasadzie ruchu towarów, kapitałów i osób, który w wolnych społeczeństwach istnieje w obrębie całego terytorium państwowego. Te warunki wolnego ruchu wszystkich trzech współczynników życia gospodarczego nigdy nie były w pełni osiągalne na rynkach międzynarodowych. Ograniczenia w obrotach międzynarodowych na terenie towarów, kapitałów i osób są nieuniknione, należy się więc liczyć z tym, że po wyzwoleniu państwo polskie będzie musiało zachować na czas nieokreślony decydujący wpływ na stosunki handlowe i finansowe z zagranicą. Byłoby niewybaczalnym złudzeniem przypuszczać, że w warunkach wstrząsu gospodarczego, który jest nieunikniony przy wyzwoleniu Polski w jakichkolwiek bądź okolicznościach politycznych, będzie można zrezygnować z regulowania obrotów.

Zdaniem autora ,,drugą przyczyną, dla której decydujący wpływ państwa na handel zagraniczny winien zostać zachowany'' jest przeprowadzenie ,,polityki uwłaszczenia polskiej gospodarki narodowej'', jednostronnie, pod przymusem, dziś nastawionej na wymianę handlową z blokiem sowieckim. Autor jest jednak stanowczym przeciwnikiem monopolizowania przez państwo handlu zagranicznego, który to monopol uważa za ,,najbardziej krępującą i najgorszą formę kontroli'', i który ,,może być z łatwością usunięty i zastąpiony przez mniej sztywną a bardziej życiową kontrolę obrotów''.

P. Poniatowski pisze : ,,W zależności od przyszłego układu stosunków nie wyłączam zasadności zachowania monopolu państwowego bądź to w handlu z pewnymi krajami zagranicznymi, bądź to w handlu niektórymi towarami, bądź wreszcie w pewnych typach transakcji''.

Według *p. Goreckiego* przemiany na terenie handlu zagranicznego są ,,niewątpliwie obiektywnie odwracalne'', ale ,,nie wydaje się, aby przejęcie handlu przez firmy względnie agencje prywatne miało gospodarcze uzasadnienie''. Autor wypowiada się za pozostawieniem obecnej formy państwowych spółek eksportowych, gdyż odrzuca (jedynie możliwą) alternatywę przejęcia aparatu handlu zagranicznego przez kapitał obcy; powołuje się też na to, że flota handlowa stanowić będzie własność publiczną oraz że ,,obecne państwowe przedsiębiorstwa do handlu z zagranicą wyrobiły sobie już stosunki na rynkach zagranicznych,

i w wąskim zakresie handlu z zachodem spełniają funkcję na-ogół pożyteczną''. Zresztą, powiada autor, ,,na całym świecie obserwujemy tendencję do przejmowania podstawowych obrotów towarowych w handlu zagranicznym przez agencje państwowe''. Wreszcie autor powołuje się na fakt ,,ścisłego powiązania obrotów towarowych z gospodarką dewizami zagranicznymi'', co i tak de facto oznacza, że państwo kontroluje obroty handlu zagranicznego poprzez traktaty handlowe i płatnicze.

Dr Paszkowski przytacza szereg powodów, dla których, jego zdaniem, handel zagraniczny w pierwszej fazie niepodległości musi pozostać w rękach państwa a obrót dewizowy pod ścisłą kontrolą. Podobnie, według *p. Pawłowicza,* ,,w dziedzinie handlu zagranicznego oczywiście rola państwa pozostanie duża'', ale dodaje autor, ,,nie znaczy to, że administracja państwowa ma się trudnić sprzedażą węgla czy szynek''.

Za utrzymaniem *monopolu* handlu zagranicznego wypowiedzieli się tylko trzej autorzy. Muszę jednak podkreślić, że żaden z nich nie umotywował konkretnie swego stanowiska : powołują się oni na bardzo ogólnikowo sformułowane zasady w rodzaju : ,,tego wymagać będzie charakter kolektywnego gospodarstwa przyszłej Polski'', albo ,,jest to dyktowane poprostu koniecznością życiową w sytuacji gdy ogromne części globu ziemskiego są pod panowaniem gospodarki planowej'' i tak dalej.

Wśród odpowiedzi nie było ani jednej w kierunku zupełnie niekierowanego i niekontrolowanego przez państwo handlu zagranicznego.

ODWRÓCENIE KIERUNKÓW WYMIANY

W związku z wcieleniem Polski do orbity Związku Sowieckiego i z polityką coraz dalej postępującej integracji gospodarczej i politycznej tego bloku — nastąpiło radykalne odwrócenie kierunków polskiego handlu zagranicznego.

Według *p. Poniatowskiego* około 70 % polskich obrotów odbywa się dziś wewnątrz bloku wschodniego, a niespełna 30 procent ze światem wolnym, podczas gdy obroty przedwojennej Polski z tym samym obszarem wschodnim, z wyjątkiem Niemiec Wschodnich, stanowiły zaledwie nieco ponad 7 % wartości przywozu jak i wywozu. Tę zmianę kierunku handlu autor ocenia w sposób następujący :

> Poważne zwiększenie obrotów z krajami Środkowo-Wschodniej Europy, a także choć w mniejszym stopniu z Rosją i Chinami, jest oczywiście samo przez się zjawiskiem dodatnim; ale skurczenie się obrotów z resztą świata do poniżej 30 % nie ma uzasadnienia gospodarczego i oznacza wyrzeczenie się bardzo znacznej części korzyści

z handlu zagranicznego. Ponadto wydaje się, że gros obrotów wewnątrz bloku dokonuje się z samym Z.S.S.R., bardzo poważna część z Chinami, a skromniejsze pozycje przypadają na kraje, z którymi właśnie obroty byłyby najbardziej pożądane. Wreszcie charakter wymiany z Rosją, przy jego wielkich rozmiarach, uzależnia w dużej mierze gospodarkę polską od rosyjskiej. Można uważać prawie za pewne, że po wyzwoleniu grozić będzie *nadmierne* odwrócenie przemiany, o której mowa, ponieważ przy nieuniknionej likwidacji stosunków „nowego typu" mogą się łatwo urwać wszelkie stosunki z krajami dzisiejszego bloku. Należy powiększać obroty z Zachodem równocześnie ratując więzy gospodarcze z bratnimi narodami sąsiednimi, bądź to w ramach federacji, bądź co najmniej jakiegoś systemu wzajemnych preferencji. Nie powinniśmy także lekceważyć korzyści, które dać nam może usadowienie się na rynku rosyjskim i chińskim. Stosunki te prawdopodobnie są dla nas niekorzystne dopóki opierają się na dyktandzie Moskwy; położenie zmieni się, gdy można je będzie oprzeć na obustronnym interesie gospodarczym.

Jest rzeczą interesującą, że cytowany powyżej autor krytykuje, w dalszych swych wywodach, zbyt daleko posuniętą w swej jednostronności „zachodniość" przedwojennego handlu zagranicznego Polski. Poglądy te są do pewnego stopnia zbieżne z opinią *dra Paszkowskiego,* który uważa, iż „nie można zamykać oczu na fakt, że obecny handel ze Wschodem jest dla Polski zasadniczo korzystny". Autor dodaje: „Zwłaszcza handel z Ukrainą winien stać się niejako tradycją Polski; olbrzymie możliwości leżą też w rynkach rosyjskim i chińskim". Odmienny pogląd wypowiada *p. Pawłowicz:* „Zadaniem polityki państwa powinna być oczywiście reorientacja handlu zagranicznego w kierunku zachodnim i zamorskim w myśl zasad, jakie już przed wojną były z powodzeniem stosowane".

W dzisiejszych warunkach politycznych pełna i obiektywna ocena rynków wschodnich jest rzeczą istotnie trudną. Dalszy przyczynek do wyjaśnienia tej skomplikowanej sprawy daje *p. Sokołowski.* Podkreślając „niewątpliwie sztuczny charakter obecnego tak daleko idącego zaangażowania Polski w handel z Rosją Sowiecką", pisze on, wzmacniając cytowane wyżej poglądy, że Polska wyzwolona winna dążyć „do osiągnięcia w swych zagranicznych obrotach handlowych możliwie szerokiego wachlarza klijentów; jest to bowiem najlepsza gwarancja uniezależnienia się od wstrząsów gospodarczych, spowodowanych wydarzeniami gospodarczymi czy politycznymi na innych rynkach, poza tym zaś daje to możność rozszerzenia nomenklatury obrotów czyli realizacji drugiego spośród podstawowych kanonów polityki gospodarczej niepodległego państwa". Autor konkluduje, że „wolna Polska winna dążyć do zachowania i dalszej rozbudowy stosunków ze Wschodem, równocześnie odtwarzając i rozwijając obroty z rynkami Zachodu i innych części świata".

Najjaskrawszą ocenę dzisiejszych obrotów handlowych pomiędzy Polską a Sowietami daje *p. Gorecki:* „Trudno uznać

te obroty za handel zagraniczny; jest to po prostu zwykła imperialistyczna eksploatacja kraju podbitego". Autor ilustruje swą tezę następującymi przykładami:

> Związek Sowiecki płaci za jedną tonę polskiego węgla, tak zwaną cenę uprzywilejowaną — 3 dolary. Za taką samą tonę węgla Szwedzi czy Duńczycy płacą od 16 do 17 dolarów. Za polski cement Sowiety płacą tak niskie ceny, że worek papierowy do cementu, który Polska „kupuje" w Związku Sowieckim po cenie rynkowej (po to aby zapakować do niego cement wysyłany między innymi do Sowietów) kosztuje prawie tyle, co cement, który w tym worku wywozi się do Rosji.

Tezy autora w sprawie kierunku polskiego handlu zagranicznego są następujące:

1) Przemiany te są obiektywnie odwracalne. Zmiany w tej dziedzinie muszą być zupełnie zasadnicze. Musi obowiązywać zasada kupowania na najtańszym rynku i sprzedawania na najdroższym.

2) Ewolucja powinna iść przede wszystkim w kierunku utrzymania rynków tradycyjnych. (Szwedzki rynek dla polskiego eksportu węgla — przykład typowy.)

3) Konieczne będzie umocnienie pozycji polskiej na nowych rynkach zbytu, zdobytych przez wyroby polskiego przemysłu w Burmie, Indiach, Cejlonie, Argentynie, Brazylii, Maroku hiszpańskim, Liberii i Egipcie. Tylko masowy zbyt nadwyżek produkcji przemysłowej zagranicą pozwoli nam na poważny wzrost stopy życiowej.

4) W interesie Polski leżeć będzie największe zacieśnienie stosunków handlowych z krajami sąsiednimi, z Rosją, Węgrami, Rumunią itd.

5) Stosunki handlowe z Rosją, bez względu na jej ustrój, powinny być jak najbardziej ożywione, ale tylko przy zastosowaniu normalnych kryteriów wymiany handlowej.

Dzisiejsza reorientacja polskiego handlu zagranicznego w kierunku jednostronnie-wschodnim jest przemianą olbrzymiej wagi zarówno z politycznego jak i ekonomicznego punktu widzenia. Wśród uczestników ankiety nie było ani jednego głosu, który by uważał tę przemianę za zjawisko naturalne — to rzecz oczywista. Również jednomyślna jest opinia wszystkich autorów, że zasady handlu Polski z krajami bloku sowieckiego nie mają nic wspólnego z zasadami normalnego handlu międzypaństwowego. Rzecz jednak charakterystyczna, że *mimo to* nadesłane odpowiedzi widzą *pewien* pożytek w nowym kierunku polskiego handlu zagranicznego, w kierunku wschodnim. Nie mogąc przytoczyć tu dziesiątków opinii otrzymanych w tej sprawie, musiałem poprzestać na przytoczeniu kilku najbardziej sprecyzowanych.

ZMIANY W STRUKTURZE EKSPORTU

P. Gorecki stwierdza :

W rezultacie przemiany Polski w państwo przemysłowo-rolnicze zmieniła się zasadniczo struktura polskiego eksportu. Wprawdzie węgiel jest nadal jednym z podstawowych artykułów eksportowych, ale obok węgla duży jest udział w eksporcie maszyn i urządzeń przemysłowych, a przede wszystkim wyrobów przemysłu ciężkiego, maszynowego i chemicznego (obrabiarki do metali i drzewa, urządzenia cukrowni i chłodni, tabor kolejowy, statki dalekomorskie, samochody ciężarowe, nawozy sztuczne, cement, barwniki i garbniki itd.). Ogólnie rzecz biorąc, stale spada udział w eksporcie surowców i półfabrykatów, a rośnie udział wyrobów gotowych.

Maleje także z każdym rokiem udział artykułów żywnościowych w eksporcie. Wywozi się nadal z Polski jaja, masło, cukier i drób nawet do niektórych krajów Zachodu (Włochy, Francja, Wielka Brytania), ale eksport ten odbywa się głównie kosztem sztucznego obniżenia spożycia na rynku krajowym. Powodem tego eksportu jest pogoń za walutami zagranicznymi — w prostej linii rezultat sowieckiego rabunku polskich nadwyżek eksportowych węgla i towarów przemysłowych, albo przymus polityczny (Rosja, Niemcy Wschodnie). Gospodarczo eksport żywności nie ma uzasadnienia. Przyznają to zresztą sami komuniści.

Potępiając wywóz żywności i węgla, autor stwierdza jednak, że zasadnicza zmiana w zestawie towarów eksportowych jest ,,przemianą obiektywnie nieodwracalną a gospodarczo korzystną'', a to wobec faktu, że Polska z kraju rolniczego stała się krajem przemysłowo-rolniczym. Dalej autor przedstawia przemiany w strukturze importu.

PRZEMIANY W STRUKTURZE IMPORTU

O tej sprawie pisze on co następuje :

Zasadnicze przemiany w strukturze gospodarczej kraju znalazły i tutaj swoje odbicie. Spadł procentowo import artykułów przemysłowych, a powiększył się import surowców, zwłaszcza dla przemysłu hutniczego i włókienniczego, oraz import maszyn i urządzeń przemysłowych. I wreszcie pojawił się import zboża. Podobnie, jak w wypadku struktury eksportu, przemiany te są nieodwracalne, i w zasadzie, gospodarczo korzystne.

ZBIUROKRATYZOWANIE HANDLU

Na ten temat *p. Poniatowski* pisze :

Handel wewnątrz bloku nie ma wiele wspólnego z tradycyjnym pojęciem handlu. Decyzje co do rozmiaru dostaw, terminów, cen i warunków zapadają w negocjacjach między delegacjami reżymów

w ramach żądań sowieckich, przy czym obowiązek dostawy jest przeważnie traktowany bardzo sztywno, ma pierwszeństwo przed potrzebami własnego rynku, natomiast odbiór i dystrybucja obciążają rząd kraju importującego. Takie więc czynności jak penetracja obcych rynków, kontakt z klientelą, poszukiwanie najlepszych źródeł i możliwości rozszerzania rynku są niezmiernie zredukowane. Natomiast przyjęcie zobowiązania dostawy lub odbioru wymaga wielkiej pracy biurowo-statystycznej, musi być zgrane nie tylko z planami gospodarczymi obu stron, ale i z przewidywaniem zdolności wykonania tych planów w oznaczonym czasie. Handel legalny z wolnym światem odbywa się za pośrednictwem misji handlowych, wprawdzie zwykle silnie rozbudowanych, ale bardzo ograniczonych w działaniu prawdziwie handlowym. Są to raczej urzędy dla rokowań niż normalne agentury handlowe.

Rozdział VIII

FINANSE

ZMIANA CHARAKTERU BUDŻETU

Budżet państwa komunistycznego różni się od budżetu państwa, opartego na prywatnej własności środków produkcji, przede wszystkim tym, że przez pierwszy przechodzi w zasadzie cały dochód społeczny kraju, natomiast przez drugi tylko część tego dochodu. Liczni uczestnicy ankiety podają, że dziś około 2/3 polskiego dochodu społecznego (w cenach porównywalnych) przechodzi w tej czy innej formie przez skarb państwa i znajduje swoje odbicie w budżecie. Najdonioślejszą w swej rewolucyjności finansowej jest oczywiście pozycja wydatków państwowych na gospodarkę narodową (która w ustroju kapitalistycznym jest w lwiej części finansowana środkami prywatno-gospodarczymi).

OGROMNY WZROST BUDŻETU

Zmiana charakteru budżetu, fakt, że budżet ten jest czymś innym, niż był w Polsce przedwojennej, wyraża się też w globalnym jego rozmiarze: zmiana „jakościowa" powoduje tu nieuchronnie zmianę ilościową, mianowicie ogromny wzrost budżetu w stosunku do dochodu społecznego. Charakterystyka dzisiejszego budżetu wydatków państwowych Polski kulminuje w pozycji, związanej z gospodarką narodową, która to pozycja, z gruba biorąc, wynosi połowę wszystkich wydatków państwa z tym, że tendencja w jej kształtowaniu jest stale procentowo wzrastająca.

Z braku miejsca nie mogę tu przytoczyć bardzo obfitych materiałów statystycznych, którymi uczestnicy ankiety zilustrowali powyższą przemianę.

NOWY SYSTEM PODATKOWY

P. Gorecki przedstawia odnośną zmianę w sposób następujący:

> Przed wojną budżet państwa opierał się w zasadzie po stronie dochodów na podatkach pośrednich i bezpośrednich, płaconych przez ludność. Dochody przedsiębiorstw państwowych nie odgrywały zasadniczej roli w budżecie z wyjątkiem dochodów z monopoli. Po stronie wydatków największą pozycją były wydatki na utrzymanie sił zbrojnych, szkolnictwo, administrację oraz na obsługę długów. Dzisiaj sytuacja wygląda, przynajmniej formalnie, zupełnie inaczej. Podstawą dochodów budżetowych są zyski z przedsiębiorstw państwowych; oficjalne wpływy z podatków stanowią stosunkowo niski procent dochodów państwa. W rzeczywistości jednak w pozycji ,,dochody przedsiębiorstw państwowych" ukrywa się bardzo wysoki procent podatków pośrednich nałożonych na spożycie; na cenę detaliczną każdego niemal artykułu konsumpcyjnego, który znajduje się na rynku w Polsce, składają się cztery elementy: koszt produkcji, koszt dystrybucji, zysk i podatek pośredni nałożony na spożycie. Można śmiało powiedzieć, że w rzeczywistości podatek pośredni, nałożony na spożycie oraz na instrumenty produkcji rolnej, stanowi podstawę dochodów państwowych.

Prof. Grodyński, charakteryzując dzisiejszy system podatkowy w Polsce stwierdza, że podatki w Polsce ,,są właściwie tylko instrumentem zabijania przedsiębiorczości i inicjatywy prywatnej w mieście i na wsi''.

Wszystkie trzy powyższe przemiany na terenie finansowym to znaczy zmiana charakteru budżetu, jego wzrost w stosunku do dochodu społecznego oraz wprowadzenie nowego systemu podatkowego, są to oczywiście rzeczy wzajemnie się uzupełniające a właściwie stanowiące jakby trzy aspekty jednej przemiany, która ze swej strony stanowi zjawisko pochodne w stosunku do zasadniczej zmiany w strukturze gospodarstwa polskiego. Stosunek poszczególnych uczestników ankiety do tych przemian finansowych układa się więc odpowiednio do ich poglądów na ową zasadniczą przebudowę gospodarczą, której Polska uległa w ostatnim dziesięcioleciu. Ilość odcieni, które zarysowały się tu w myślach uczestników ankiety, jest jednak tak wielka a ich sugestie kontr-reformatorskie w stosunku do tego dziesięciolecia są tak liczne, że nie mam możności przedstawienia wyrażonych poglądów nawet w części. Poprzestaję na stwierdzeniu, że znakomita większość wyrażonych opinii idzie w kierunku przekonania, że przemiany finansowe są odwracalne i że niemal w całości powinny być uchylone. Wyjątek od powyższego stanowi tylko kilka głosów, które, stojąc na gruncie kompletnej kolektywizacji gospodarstwa narodowego, domagają się także ,,socjalistycznego budżetu''.

UPAŃSTWOWIENIE I ZMONOPOLIZOWANIE BANKOWOŚCI

90% uczestników ankiety uważa uchylenie tego monopolu państwowego — oczywiście poza bankiem emisyjnym — za możliwe i wskazane. Z głosów, które w mniejszym lub większym stopniu, sprzeciwiają się reprywatyzacji bankowości, przytoczę tylko dwie opinie: *Prof. Marczewskiego* i *p. Goreckiego*. Pierwszy pisze: „Utrzymanie sieci bankowej w rękach państwa, przy jednoczesnym rozwoju kooperacji kredytowej dla obsługi rolnictwa, rzemiosła, drobnego handlu i drobnego przemysłu — wydaje się najbardziej racjonalnym rozwiązaniem, a to z tych samych względów, które przemawiają za uspołecznieniem wielkiego przemysłu i handlu". *P. Gorecki* pisze: „Nie widzę uzasadnienia gospodarczego i społecznego dla powrotu banków prywatnych". Pośrednie jakby stanowisko zajmuje *p. Pawłowicz,* który uważa, że „państwo musi zachować w swych rękach pewien aparat bankowy... nie wynika z tego, aby musiało mieć stanowisko monopolistyczne w dziedzinie kredytu. Odrodzenie się bankowości prywatnej, czy to w formie akcyjnej czy spółdzielczej, jest bardzo pożądane, jak również odrodzenie się komunalnych kas oszczędności, które były udaną formą instytucji kredytowych o lokalnym znaczeniu".

Rozdział IX

SPRAWY SPOŁECZNE

P. J. T. — z którego wywodów wynika, że jest bardzo daleki od socjalizmu — stwierdza, że przed wojną panowało w Polsce „uprzywilejowanie pewnych klas społecznych, co stanowiło naszą główną bolączkę i wynikało z zaniedbań przeszłości" Wobec tego, zdaniem autora, „hasło podniesienia kultury materialnej szerokich warstw ludności wysuwa się logicznie na pierwszy plan". Z całości rozważań *p. J. T.* jest jasne, że odmawia on, przeprowadzonym w Polsce, reformom komunistycznym rzeczywistego waloru społecznego i pragnie uchylenia ich.

P. Heydenkorn pisze:

> Reformy społeczne komunistów pozornie tylko dały coś światu pracy. Powszechne ubezpieczenia są znacznie bardziej zaawansowane w państwach skandynawskich i Wielkiej Brytanii aniżeli w bloku sowieckim. Przedwojenne ubezpieczenia w Polsce, mimo niedociągnięć, były w sumie znacznie korzystniejsze dla pracujących, niż obecne. Pensje inwalidzkie i emerytalne są żebracze. Lecznictwo

jest gorsze. Z domów odpoczynkowych uczyniono instrument propagandy. Związki zawodowe stały się li tylko ramieniem rządowej polityki wyzysku i ucisku. Zniesiono zasadę wolności zrzeszeń i strajków.

Większość tych przemian jest odwracalna. Niektóre z nich znikną nieomal automatycznie. Wraz z odzyskaniem niepodległości zapanuje nowy duch, dzięki któremu nabiorą innej treści niektóre ustawy społeczne, przede wszystkim dotyczące ubezpieczeń powszechnych, urlopów, umów zbiorowych, praw emerytalnych itp. Tam jednak, gdzie mamy do czynienia z faktycznymi koncesjami na rzecz pracowników, nawet jeśli w ustroju sowieckim były one czysto deklaratywne, papierowe, tam trzeba będzie nie tylko je utrzymać, ale i wprowadzić w życie.

Omawiając sprawę zmian w polskiej strukturze społecznej, *p. Poniatowski* wyraża pogląd, że ,,w części są one odwracalne, w dużej części nieodwracalne, w części zaś wymagają nawet pogłębienia'' :

Na pewno nie ulegnie odwróceniu likwidacja klasy wielkich właścicieli ziemskich, która odgrywała tak decydującą rolę w Polsce przedrozbiorowej, wielką rolę jeszcze pod zaborami, bardzo już zredukowaną, ale nie bagatelną w Polsce wskrzeszonej. Klasa przedsiębiorców i kapitalistów została również zlikwidowana, ale ta przemiana jest obiektywnie odwracalna, i należy się liczyć z jej stopniowym uchyleniem. Jest jednak pożądane, by nie ułatwiać powstawania typu kapitalisty-pasożyta, ani też typu magnata przemysłowego lub finansowego, koncentrującego w swych rękach nadmierną siłę gospodarczą.

Odpowiednikiem likwidacji ziemiaństwa powinien być prawie zanik robotników rolnych, zwłaszcza służby folwarcznej. Ta przemiana nastąpiła w zbyt małym stopniu i wymaga pogłębienia przy okazji parcelowania dzisiejszych gospodarstw państwowych. Stopniowo posuwająca się przemiana samodzielnych gospodarzy w quasi robotników rolnych pod pozorem członkostwa w gospodarstwach kolektywnych uległaby odwróceniu z chwilą powrotu do gospodarki indywidualnej.

Należy sądzić, że nieodwracalna okaże się likwidacja chłopów na karłowatych gospodarstwach bez zarobków ubocznych, chałupników i wyrobników o niedostatecznym zarobku, drobnego kupiectwa bez kapitału, najuboższych rzemieślników. Nie odrodzi się w poprzedniej ilości służba domowa.

Wielkie zmniejszenie ludności chłopskiej, tak w liczbach absolutnych jak w stosunku od ogółu mieszkańców i odpowiednie zwiększenie procentu fizycznych i umysłowych pracowników najemnych, to przemiana nieodwracalna o ogromnej społecznej doniosłości. Polska międzywojenna, o 3/5 ludności rolniczej, była Polską chłopską. Dzisiejsza Polska, o niespełna połowie takiej ludności, już chłopską nie jest.

Przemiany wewnątrz grupy nierolniczej nie są ostateczne i każą się spodziewać dalszych przekształceń. Udział robotników fabrycznych w tej grupie może się nieco obniżyć przy dalszym wzroście liczb absolutnych, w myśl słusznego spostrzeżenia Collina Clarka, że wyższe stadia rozwoju gospodarczego cechuje zwiększony udział produkcji usług. Trzeba się ponadto liczyć z nadmiernym dziś wyludnie-

niem rzemiosła i prawdopodobnie handlu. Z drugiej strony ulegnie deflacji przerosły aparat administracji rządowej i partyjnej.

Likwidacji wymagać będzie upośledzenie przez reżym osób, którym zdrowie, pochodzenie klasowe lub inne przyczyny nie pozwalają obecnie na pełne zatrudnienie, osób zatrudnionych w zawodach lub na stanowiskach bliskich szarego końca w reżymowej tabeli priorytetów, wreszcie więźniów politycznych i lokatorów obozów pracy. Te kategorie przejdą do innych grup społecznych.

Pokaźny wzrost liczby osób, które nabyły kwalifikacje do pracy umysłowej jest zjawiskiem dodatnim i przy normalnym rozwoju gospodarczym nie ma obawy, by nie mogły one znaleźć zatrudnienia, tym bardziej, że wykształcenie techniczne przeważa, może nawet nadmiernie nad humanistycznym.

Następnie autor omawia obszernie przemiany na terenie: 1) wzajemnego stosunku grup społecznych i 2) stosunków pomiędzy społeczeństwem i państwem, które to przemiany uważa za ,,obiektywnie odwracalne chociaż ta kwalifikacja wymaga pewnych zastrzeżeń''.

Cytowany już wyżej *p. J. T.* pisze o sytuacji chłopa w ,,Polsce Ludowej'' : ,,Z wolnego posiadacza i właściciela gruntu stał się niewolnikiem pańszczyźnianym; byłoby anachronizmem w obecnym stanie rzeczy mówić o wyzysku kapitalistycznym''.

W innym kierunku idą wywody *dra Paszkowskiego,* który wyraża pogląd, że stosunek pracownika do przedsiębiorstwa stał się dziś ,,bardziej podmiotowy''. Zdaniem autora ,,robotnik i pracownik ma prawo kontroli i krytyki zarządu przedsiębiorstwa, przedstawiciele załóg i tzw. związków zawodowych i różnych aktywów mają bezpośredni wpływ na prowadzenie przedsiębiorstw i na rozdział części dochodów na cele społeczne. Z wielu względów należy to podmiotowe podejście do pracy zarobkowej i do pracodawcy-przedsiębiorcy ocenić jako wartościową zdobycz społeczną, jako reformy nieodwracalne''. Widocznie autor rozumie swoje twierdzenie jako czysto teoretyczne skoro następnie zaznacza że ,,oczywiście jest rzeczą otwartą czy powyższe zdobycze klasy robotniczej działają bez zarzutu''.

Niemal wszyscy uczestnicy ankiety silnie podkreślają pierwszorzędną wagę czynnika sprawiedliwości społecznej dla całokształtu polityki w przyszłej Polsce. Bardzo duża ilość autorów żąda ogólnikowo ,,społeczeństwa bezklasowego''. Dezyderat ten występuje nie tylko u autorów-socjalistów, ale także np. u *ks. Prusinowskiego,* który pisze: ,,Przedwojenna struktura socjalna, oparta na klasowości, uległa zmianie. Społeczeństwo polskie w czasie wojny zatarło swe różnice klasowe — to zjawisko pomyślne. Do ustroju społecznego, w którym biedniejsze warstwy miały wiele zamkniętych drzwi, chyba nawrotu już nie będzie. Byłoby to cofaniem rozwoju. Trudno myśleć o powrocie do przywilejów społecznych, jakie zachowały się w Polsce po pierwszej wojnie światowej''.

Dr J. Zubrzycki pisze:

Do przemian, które oceniam pozytywnie, należy rozszerzenie społecznej podstawy rekrutacji inteligencji w Polsce.

Czyż nie jest rzeczą oczywistą, że zahamowanie krążenia elit w Polsce aż do ostatniej wojny kojarzy się w naszej historii z upadkiem moralnym i intelektualnym inteligencji polskiej? Można obiektywnie stwierdzić i udowodnić statystycznie, że dopływ nowych sił do sfer naszej inteligencji w okresie dwudziestolecia Niepodległości był znikomy. Krążenia elit nie było prawie zupełnie. Nowe pokolenie inteligencji rekrutowało się z tej, liczebnie małej grupy, która znajdowała się na szczycie drabiny społecznej. Liczne zdolne jednostki wśród rzesz chłopskich i mas robotniczych nie mogły zdobyć potrzebnego wykształcenia, a przez to samo zamknięty miały dostęp do elity społecznej. U tych którzy próbowali wspiąć się po drabinie społecznej i których strąciła w pół drogi fala kryzysu gospodarczego lub upór biurokracji — rodziła się niechęć do uprzywilejowanej grupki na szczycie, zawiść a czasem nienawiść.

Na tle tego, co powyżej napisałem — reforma dokonana po roku 1945 w sposobie rekrutacji inteligencji w Polsce może być oceniana tylko pozytywnie.

Pisząc te słowa świadom jestem, oczywiście, że reforma ta, która przede wszystkim dotyczyła upowszechnienia oświaty na wszystkich jej szczeblach, nie była monopolem komunistycznych władców Polski. Upowszechnienie szkolnictwa średniego i wyższego było częścią programu Rady Jedności Narodowej z roku 1944; było ono również wyrazem głębokiego przekonania całego narodu, który walczył z Niemcami. Świadom jestem również tego, że instytucje stworzone przez komunistów w Polsce dla upowszechnienia oświaty paczą program rozszerzenia podstawy rekrutacji polskiej inteligencji i dają mu sztuczny wydźwięk klasowy. Nie można jednak zaprzeczyć, że istota tej reformy ma charakter nieodwracalny i że po odzyskaniu niepodległości dążyć będzie trzeba do jej dalszego utrzymania i pogłębiania. Przyczyni się to do stworzenia w naszym narodzie warunków, bez których mowy być nie może o równowadze społecznej.

O polityce populacyjnej *dr Zubrzycki* pisze:

Polityka populacyjna w dzisiejszej Polsce jest w wysokim stopniu dwuznaczna. Z jednej strony administracja rozbudowuje na dużą skalę służbę opieki nad matką ciężarną, matką karmiącą i dzieckiem. Poradnie dla matek, żłobki, wyprawki dla niemowląt, przychodnie lekarskie, dodatki rodzinne, tępienie zabiegów przeciwko ciąży — są niewątpliwie elementem natury pozytywnej. Rozbudowa usług tego rodzaju świadczy o zrozumieniu warunków, których zapewnienie jest konieczne dla uzyskania wysokich nadwyżek urodzeń nad zgonami. To zaś z kolei konieczne jest dla nadrobienia niedoboru lat okupacji i wzmocnienia potencjału populacyjnego Polski, a co za tym idzie wzmocnienia polskiego stanu posiadania na całym obszarze ziem polskich.

Obok pozytywnych środków polityki populacyjnej istnieje jeszcze zespół środków negatywnych. Nie będę roztrząsać smutnej historii powojennego budownictwa mieszkaniowego w Polsce. Wystarczy gdy zwrócę uwagę na ustawodawstwo pracy, dotyczące kobiet

w przemyśle oraz na poziom dochodów rzeczywistych, które zmuszają kobietę do pracy zarobkowej. W ocenie tego problemu podkreśla się, że praca kobiet w przemyśle spowodowana jest chwilową koniecznością natury gospodarczej. Tak jednak nie jest, czego dowodem nacisk na rekrutację kobiet do pracy we wszystkich dziedzinach gospodarki narodowej i przykład Rosji Sowieckiej, gdzie *instytucja pracy zarobkowej kobiet jest trwałą częścią struktury społeczeństwa.*

Wydaje mi się więc, że niektóre reformy społeczne, opisane powyżej, stanowią pozytywne strony obecnej polityki populacyjnej, przeto nie mogą być uchylone. Są one nie tylko zdobyczą społeczną, ale, jak już podkreśliłem, wpływają decydująco na dynamikę populacyjną w Polsce. Natomiast muszą być odwrócone te reformy gospodarcze i społeczne, które *zmuszają* kobietę do pracy zarobkowej. Łączy się z tym sprawa wagi daleko większej, jaką jest zagadnienie właściwej roli rodziny w społeczeństwie. Na tym odcinku właśnie zagrożenie jest największe i tu czas pracuje na dobro komunistów. Rozbijając rodzinę, zmniejszając wpływ Kościoła na wychowanie dzieci, ograniczając rolę kobiety w rodzinie do czynności rozrodczych — komuniści niszczą podstawową komórkę organizacji społecznej. Co więcej — uniemożliwiają utrzymanie naszego stanu posiadania na ziemiach polskich. Nie może bowiem być mowy o utrzymaniu wysokich nadwyżek urodzeń nad zgonami w warunkach w których rodzina pozbawiona jest wykonywania właściwej sobie roli w społeczeństwie.

W tych dziewięciu rozdziałach sprawozdania z ankiety przedstawiłem poglądy jej uczestników. W następnym numerze ,,Kultury'' będzie dokończenie sprawozdania pt. ,,Wnioski i Refleksje''.

Stanisław ZARZEWSKI

Poezja Jewhena Małaniuka

I

W trzydzieści lat po debiucie poetyckim Jewhena Małaniuka Naukowe Towarzystwo im. Szewczenki w Ameryce wydało obszerny wybór wierszy tego czołowego ukraińskiego poety. Nie jest łatwo dotrzeć do twórczości pisarzy a zwłaszcza poetów ukraińskich. Nie istnieje żadna, najszczuplejsza choćby antologia, a nie zastąpią jej zbiory o charakterze deklamacyjno-okolicznościowym z dominującą tendencją patriotyczną. Towarzystwo im. Szewczenki zamierza widocznie uzupełnić tę lukę, skoro w ciągu ostatniego roku wydało obszerne zbiory prozy Janowśkiego, poezji Małaniuka i Ośmaczki. Nazwiska Janowśkiego i Małaniuka mówią same za siebie, ale już przy Ośmaczce trzeba zgłosić poważne zastrzeżenie. Dlaczego właśnie on? Dlaczego nie Tyczyna, Rylśkyj, Stefanowycz albo Laturyńska, których zbiory są całkowicie niedostępne? Dlaczego nie Olżycz lub Antonycz, poeci nieżyjący, których twórczość stanowi zamkniętą całość? Zgłaszam osobistą pretensję i jako czytelnik i jako tłumacz poezji ukraińskiej. To trochę tak, jakby gościnny gospodarz, o którym wiadomo, że ma w piwniczce dostały miód, smaczną zapiekankę, wytrawne wina, zacne starki i w słońcu dojrzałe nalewki, stawiał na stole flaszkę źle oczyszczonego samogonu. Ale *ad rem*. Wróćmy do szlachetnych napojów, w tym wypadku do Małaniuka.

Szczupła notatka, otwierająca przeszło trzystustronicowy tom, podaje garść wiadomości bio-bibliograficznych. Przedrukowuję ją w całości.

,,Jewhen Małaniuk, jeden z najwybitniejszych poetów, urodził się w 1897, na stepowej Ukrainie, w rodzinie kozacko-czumackiego pochodzenia. Ukończył Elżbietańską szkołę realną i wydział inżynieryjny Gospodarczej Akademii w Podjebradach. Brał udział w wojnie o Niepodległość. Od roku 1921 na emigracji.

Dotychczas ukazały się następujące zbiory jego poezyj:
,,Sztylet i stylos'', Podjebrady 1924; ,,Herbariusz'', Hamburg 1925; ,,Ziemia i żelazo'', Paryż 1930; ,,Ziemska Madonna'', Lwów 1934; ,,Pierścień Polikratesa'', Lwów 1939; ,,Poezje wybrane'', Lwów-Kraków 1943; ,,Władza'', Filadelfia 1951; ,,Piąta symfonia'' (poemat), Filadelfia 1953.

Poszczególne wiersze Małaniuka przełożono na niemiecki, czeski, rosyjski, polski i francuski. Najobszerniejszy zbiór, pt. ,,Hellada Stepowa'', ukazał się przed drugą wojną światową w przekładzie polskiego poety, Czesława Jastrzębca-Kozłowskiego, nakładem Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

Ponadto Małaniuk jest autorem prac z dziedziny kultury i sztuki, oraz znanym krytykiem literackim.

Do zbioru weszły wiersze wybrane z poprzednich sześciu tomów, oraz tom ,,Pielgrzymka'' wydrukowany tu po raz pierwszy''.

II

Po pierwszej wojnie poezja ukraińska znalazła się w sytuacji zupełnie wyjątkowej. Lata rewolucji i zmagań wolnościowych przygotowały grunt pod prawdziwą eksplozję młodych i oryginalnych talentów. Muzyczna liryka Tyczyny stała się swego rodzaju objawieniem: neo-klasycy kijowscy z Rylśkym i Zerowym na czele dopracowywali się tego, czego w liryce ukraińskiej najbardziej brakowało: precyzji i dyscypliny; na poetę o wielkim rozmachu i szerokich perspektywach zapowiadał się Mykoła Bażan. Ten bujny rozkwit zduszony został całkowicie już po kilku latach przez bezwzględny terror sowiecki. Ośrodek ukraińskiej poezji przeniósł się na emigrację.

Powiedzmy od razu, że nie była to i nie jest poezja nowatorska. Po pierwsze: zaciążył nad nią, jak ciąży po dziś dzień, narzucony okolicznościami szarwark patriotyczno-narodowy. W ze wszechmiar interesującej książce Mykoła Szlemkewycza, ,,Zagubiony ukraiński człowiek'', trafiamy na następujący passus: ,,Okres pomiędzy dwiema wojnami to okres wszechwładnej mody, ducha czasu, wszechwładzy *milieu,* środowiska i wszechwładzy demagogii, która umie łaskotać to środowisko i zdobywać rozgłos wśród mas, lub podtrzymanie panującej kliki... Literatura, której założono lejce, stawała się sztuką ,,przykładową'' to znaczy dawała przykłady tez ideologicznych. A w najlepszym wypadku stawała się grafiką, dostarczającą inicjałów, zastawek i ilustracyj dla ideologicznych tekstów''. I Szlemkewycz określa współczesną literaturę ukraińską jako ,,Erosa w niewoli'', ,,spętanego Erosa na służbie''. Opinia bodaj przesadzona, ale niewątpliwie zbliżająca się do rzeczywistości.

Po drugie: nie można było żądać od poezji ukraińskiej, by natychmiast włączyła się w nurt nowatorski liryki europejskiej, przeskakując przez etapy poprzednie. Parnasizm np. rozwinął się na Ukrainie z kilkudziesięcioletnim opóźnieniem, ale

był potrzebny, co więcej, konieczny. W kulturze i sztuce skoki zbyt gwałtowne zawsze powodują w następstwie cofanie się. Stało się więc dobrze, że poezja ukraińska poszła drogą organicznego rozwoju, a najwyżej można postawić zarzut, że etap obecny trwa zbyt długo i grozi zamianą nurtu na stojącą wodę.

Już w pierwszym tomie, wydanym w roku 1924 w podjebradzkiej drukarni, Małaniuk odezwał się własnym głosem, choć widać było, że przemawia poeta, który pilnie przysłuchiwał się głosom innych współczesnych. Jego forma poetycka wykształciła się niewątpliwie na klasykach kijowskich i na tych poetach rosyjskich, którzy byli im artystycznie najbliżsi, a więc w większej mierze na akmeistach niż symbolistach. Forma bardzo konkretna, o wyraźnych zarysach, jasna i przejrzysta. Strofa prawie zawsze regularna, ale o dość dużej rozmaitości metryczno-rytmicznej, z oczywistą przewagą jambu, najlepszego w tym wypadku wehikułu dla energicznej i zwartej treści ideowej. Metafora oszczędna, pogłębiająca się i oczyszczająca z biegiem czasu z ,,literackości'' i efektownych błyskotek. Rytm i język sprzymierzone w dążeniu do organicznego stopu muzycznego.

Od razu też u młodego Małaniuka wystąpią wszystkie elementy treściowo-ideowe, które w przyszłości ulegną przetrawieniu i przekształceniom, wzbogacą się i pogłębią, ale pozostaną jednak w pierwszym zasadniczym kształcie. Jest to poezja gniewu i bólu narodowego, przeżytych osobiście, zatem związanych z autorem w sposób jak najbardziej intymny. Taka liryka bywa autentycznie dynamiczna tylko wówczas, gdy wyrasta z autentycznie osobistych emocyj.

Tak więc pierwszą jej cechą będzie dynamizm. Poczucie klęski i chęć odwetu, upokorzenie i wola zadośćuczynienia, znieważona duma i uporczywe dorabianie się wizji przyszłości. Stąd już krok jeden do bolesnego profetyzmu i rozwijania szerokich historiozoficznych perspektyw. Małaniuk wszedł do literatury ukraińskiej jako poeta historiozoficzny i takim pozostał na całe życie. I jeszcze katastrofizm. Ledwie otrząsnąwszy się z piekących jak rana obrazów katastrofy minionej, Małaniuk zapowiada katastrofę nadchodzącą, mającą stać się katharsis dziejów, oczyszczeniem i dokonaniem. Profetyzm, historiozofia i katastrofizm — oto główne linie rozwojowe tej poezji.

Burza. I zachód krwią opłynie.
Obwieści głosem nieucichłym,
że w nowej klęsce znów zaginiem,
że step, ruina, mrok i wichry.

Że dzień nasz w czarną noc się schyli,
że wszystko żywe płomień zmoże,
że tylko wieszczy gwizd Sybilli
nad ślepym wzniesie się bezdrożem.

Z umarłych gwiazd nad krwią i zemstą
Bóg splecie koła i trójkąty
i nowy siądzie pisać Nestor
w samotnych katakumbach świątyń.

Ten wiersz, wydrukowany w zbiorku ,,Sztylet i stylos'', nosi datę 1924 roku. Takich poezyj w ówczesnych latach nikt w Europie nie pisał. Nikt nie przeczuwał dalekiej jeszcze Apokalipsy. Trzeba było na to poety, który czuł wszechobecność ledwie zacichłej burzy i widział świat w kategoriach eschatologicznych. W swojej najgłębszej istocie międzywojenna liryka Małaniuka stanowi logicznie przejście od jednej burzy dziejowej do drugiej, i wiersze pisane w Pradze Czeskiej w pierwszej połowie lat dwudziestych łączą się bezpośrednio z wierszami warszawskimi z lat drugiej wojny światowej. Bo też oczom ukraińskiego poety-emigranta ukazywała się jednolita wizja tej samej epoki, nic, że przelotne pozory zdawały się świadczyć inaczej.

Liryka urodzona z klęski wieściła nie tyle przyszłe zwycięstwo, co ekstatyczną wiarę, że zwycięstwo to nadejdzie, w przeciwnym bowiem razie musiałaby stać się poezją rozpaczy. Wiara, a może tylko wysilona wola zdobywania się na wiarę? ,,Tragiczny optymizm'' miał więcej z tragedii niż optymizmu. Wieszczenie na dystans, gdy ani na chwilę nie odstępuje przeczucie, że spełnienie już nie nadejdzie za naszego życia, musi być przesycone goryczą, choćby się z zasady przyjmowało postawę wojownika wykutego ze spiżu. I jest to zbyt ludzkie, aby było nieprawdziwe. Małaniuk rzucał w twarz wydarzeniom żelazne manifesty, ale czytelnik bez trudu dostrzegał, że to żelazo i ten spiż są podszyte grubą podszewką zwątpienia, żeby nie powiedzieć — przerażenia, jakże uzasadnionego w świetle późniejszych lat. Toteż podczas wojny i po wojnie niczego nie musiał odwoływać ani poprawiać. Wszystko było przewidziane i osądzone z góry.

Pesymistyczna jest też wizja Ukrainy. Zarzucano Małaniukowi, że jego step, o którym mówi na każdej stronie, w rzeczywistości nie istnieje, że Dzikie Pola należą do przeszłości. Poecie chodziło przecież o ,,step psychologiczny'', a jeszcze bardziej o odwieczne przekleństwo stepu ,,historycznego'', rozwartej na przestrzał nieobronnej przestrzeni. Stary to temat w ukraińskiej literaturze, podjęty również przez licznych pisarzy rosyjskich i polskich.

Tyś ciągle taka sama. Rozstajna droga hord,
wędrownym szczepom od wieków szlak szeroki...

Step-wampir, nie tylko pijący krew narodu, ale zatruwający go niemocą, symbol niesformowanych, wrogich wszelkiej konstrukcji sił, bezwolnie przyjmujący oddech Azji; bezgraniczna, nieujęta w żadne rygory przestrzeń; buntująca się na ślepo

ziemia-niewolnica; wszystko to, co jest dziką anarchią, zaprzeczeniem architektury, matematyki, państwowej i społecznej organizacji.

Jak do Ciebie nakierować stopy?
Iść przez siwą mgłę za drogowskazem?
Czyż przepali siny żar Europy
azjatycką złocistą zarazę?

Oto milczysz, niezgłębiona, nieznana,
jak październik przejrzysty nieżywa.
Cóż dla Ciebie — klątwa czy hosanna? —
każde słowo martwym dźwiękiem spływa.

Równa przestrzeń, cała w ranach złotych,
w grubym pyle od prawiecza tonie,
tylko czasem — Twój jedyny gotyk —
smukłych topól ofiarnicze dłonie;

wyprężone beznadziejnie ku chmurom —
pion i miara w nizinnym bezkraju —,
co bezbronny przed każdą wichurą
smutno śni o niegdysiejszym raju.

Sam powołujący się wielokrotnie na swoją stepowo-kozacką prozapię, Małaniuk od pierwszych wierszy wypowiedział bezlitosną walkę upiorowi przestrzeni, przejawiającemu się albo w postaci rozkiełznanej, żadnym rygorom nie poddającej się hajdamaczyzny, albo w wegetatywnej, ckliwo sentymentalnej formie bezwolnego bytu gogolewskich ,,staroświeckich ziemian''. Step — to z jednej strony koczownicze hordy, napływające z głębi Azji, z drugiej — wypaczona przez klęski historyczne, rozleniwiona w gorącym słońcu, raz uniesiona pijanym szałem, kiedy indziej ,,słowiczo-czereśniowa'' psychika własnego narodu. Stąd ulubione u młodego Małaniuka przeciwstawienie tatarskiego chana i ukraińskiej branki-nałożnicy, dochodzące niekiedy aż do obsesji.

U żadnego też ukraińskiego poety, nawet u Iwana Franki (trzeba by sięgnąć aż do Pantelejmona Kulisza) nie znajdziemy tylu namiętnych ataków, bolesnych persyflaży, skrajnie brutalnych inwektyw, ,,świętokradczych'' wystąpień, po prostu nieledwie obelg. ,,Niewolnica każdego kto zechce, dzikie ciało, które kocha przemoc... bezsilną rozkosz płaczu...'' ,,Uciecho katów i matko janczarów...'' ,,Tyś nie matka! Gdy zaśwista arkan, sama idziesz w jasyr... zdradliwa branko stepowa...'' Powtarza za wspomnianym przed chwilą Kuliszem: ,,Narodzie bez czci i powagi!'' ,,Idziesz przez wieki i w dzikim łonie, jak kamień, dojrzewa mongolski bękart''. ,,Straszliwa... lecisz na sabat spijać krew swoich dzieci bękarcich...''

Zatruty miód sarmackich ust, pijana,
Tatarzynowi oddałaś w niemocy
i słyszał śmiech twój namiot Batu-chana...

A w chwilach największego uniesienia jeszcze ostrzej, jeszcze rozpaczliwiej, niemal już bluźnierczo :

Nie, tyś tatarską brudną pierzyną,
gamratką plemion i ras.

Obrazy tego typu powtarzają się raz po raz. Dla poety, który młodzieńcem widział, jak „step... nasuwa się na nas w spiczastych tatarskich czapkach”, wizja pozostała niezmienna : „Koczownicze hordy — szarańczą, wędrowne ludy — czarnym pomorem, armata — pługiem, szabla — broną, historia — wichrem nad przestrzenią”. Nie ma ucieczki, bo nawet „daremnie błaga śmierci przepalona bólem blizna ust”.

Nie, nie umrzesz! I widmem przeklętym
w męce tułać się pójdziesz przez świat,
gryźć z rozpaczą pięści ściśnięte
w głodnym mroku nędzarskich chat.

I w udręce, w bezsile dzikiej
hajdamackich zdławionych dusz
cieszyć palce zimnym dotykiem,
kryjąc w dłoni zdradziecki nóż.

Nie zratuje ten nóż, nie pomoże,
czarne stepy i dziki wiatr, —
tylko bodziak — o, Boże nasz, Boże! —
czarcim zielem wyrasta na świat

W rozpaczliwych inwektywach tego rodzaju pod adresem swej ojczyzny celowali przedrewolucyjni poeci rosyjscy, zwłaszcza Błok i Briusow. Ale nie przeciwstawiali tym inwektywom żadnej wizji historycznej czy moralnej, a jeśli, to w sposób całkowicie mglisty i nieskoordynowany. Małaniuk szuka przeciwstawienia, znajdując go w micie helleńskiej Ukrainy, a najczęściej na progu średniowiecza, gdy „wareżska stal”, bijąc w bizantyńską miedź”, wykuwała z mieszkańców pontyjskiej równiny człowieka woli i hartu, fundując nad Dnieprem „stepowy Rzym”. Mit helleński zjawił się po raz pierwszy u Zerowa; mit kijowskiego wareżskiego średniowiecza uskrzydlił poezję Darahana, a nieco później Stefanowycza i Laturynskiej, ale Małaniuk w jednym i drugim wypadku zdobył się na wizję całkowicie samodzielną i rozpracował ją najbardziej historiozoficznie.

Echa siedemnastowiecznej epopei kozackiej odzywają się w tej poezji znacznie rzadziej, przy tym Małaniuk najchętniej zwraca wzrok ku postaci hetmana Mazepy, który ze wszystkich

wodzów kozackich był najbardziej konstruktywny, najbardziej państwowcem. Nie przypadkowy to wybór, jak nie z przypadku autor ,,Ziemi i żelaza'' i inni współcześni rozmiłowali się w kijowsko-halickiem średniowieczu. Trzeba było przerzucić most nad wiekami chaosu i ,,ruiny'' i szukać baz wyjściowych w czasach, gdy Ruś-Ukraina była najbliższa Zachodowi i nie stała się jeszcze Hulaj-polem dla rozszalałych żywiołów.

Nie ulega wątpliwości, że na postawę Małaniuka wpłynęła w dużym stopniu atmosfera, wytworzona dokoła czasopisma ,,Wistnyk'', kierowanego przez znakomitego publicystę, Dymitra Doncowa. Inna rzecz, że wpływy były wzajemne, bo i sam poeta przyczynił się w jakiejś mierze do utworzenia tej atmosfery. Kult silnego człowieka, trochę zarażony nietzscheanizmem, trochę zerkający w stronę Schopenhauera, a na pewno mający sporo wspólnego z nacjonalizmem typu Barresa i Maurrasa. Irracjonalistyczny woluntaryzm, właściwy ludziom ,,z jednej bryły'', niepoddający się zwątpieniu i gardzącym analizą, podpowiadał wybór bohaterów: twardych i szorstkich Waregów, którzy przekuwają ziemię na żelazo, a na ,,chleb i miód słowiańszczyzny'' niosą lekarstwa w postaci miecza. Tak kiedyś Żeromski żądał od Polski, by stała się ,,młyńskim kamieniem, albo sama będzie zmielona''.

III

Osobny temat to stosunek Małaniuka do Rosji. Już sam fakt, że formacja artystyczna poety nie mogła powstać w absolutnej separacji od kręgu kultury rosyjskiej, świadczy, iż mamy do czynienia ze zjawiskiem co najmniej złożonym. Niejeden z polskich pisarzy poznał dobrze atrakcyjną siłę literatury a zwłaszcza poezji rosyjskiej. Na pewno łatwiej było wstąpić do petlurowskich szeregów i walczyć przeciw Czerwonej Armii, czy Denikinowi, niż oprzeć się uwodzącym głosom Muz eurazjatyckich. Małaniukowi wielokrotnie wytykano wpływy rosyjskie. Przy innej okazji wskazywałem, że chodzi tu głównie o Błoka i Gumilowa, przy czym wpływ tego pierwszego był ujemny, drugiego — dodatni. Ktoś złośliwy, a mający z Małaniukiem na pieńku, zauważył, że w ,,Ziemnej Madonnie'' odezwało się nawet echo Siewierianina i Wiertyńskiego (,,uszminkowany Pierrot''). W artykule o ,,ukraińskiej literaturze na emigracji, wydrukowanym w rosyjskim ,,Nowym Żurnale'' (XXVIII, 1952), Jurij Kosacz posunął się jeszcze dalej i zaryzykował opinię, że Małaniuk jest ,,kość z kości poetą rosyjskim'', bo w jego liryce zjawia się to samo ,,pęknięcie, nieprzytomnie zawodząca retoryka, upozowana spiżowość, właściwe wielu rosyjskim poetom lat rewolucyjnych''. Mówiąc lakoniczniej, Kosacz widzi w poezji Małaniuka typowo rosyjską *histerię*.

Jak zwykle bywa w takich wypadkach, nawet opinie najbardziej przesadzone można zilustrować odpowiednio dobranymi

tekstami. Znajdą się też u Małaniuka takie właśnie teksty na poparcie skrajnej opinii Kosacza. Ale twórczość poety należy brać w całości, orientować się bardziej według szczytów niż dolin, i nie wysuwać na pierwszy plan momentów słabości. Prawda, niekiedy w głosie Małaniuka zadźwięczy nuta histeryczna, spowodowana zarówno doprowadzoną do punktu wrzenia namiętnością, jak i nadmiernie napiętą struną, w sumie przecież mamy do czynienia z poezją autentycznie heroiczną. Histeria poetów rosyjskich z lat 1900-1921 wynikała z poczucia bezwyjściowości; miotając się na wszystkie strony, złorzecząc i przeklinając, padali na kolana przed tą samą rewolucją, która miała ich zniszczyć. Była to zatem liryka *samozniszczenia*, historycznego i psychicznego *samobójstwa*. Tragiczny okrzyk Maksymiliana Wołoszyna: ,,Rosji nie ma, spaliła sama siebie'' — z jeszcze większą racją można zastosować do rosyjskiej literatury. Wszystko to jest jak najbardziej obce małaniukowej Muzie.

Jednak problem Rosji ciążył zawsze nad tą poezją. Według świadectwa Swiatosława Hordyńskiego, Jurij Łypa zauważył kiedyś w prywatnej rozmowie, że temperatura wierszy Małaniuka wywodzi się przede wszystkim z jego nienawiści do ,,małorosyjszczyzny''. W ciągu trzystoletniej niewoli Rosja zaraziła Ukrainę niewolniczym kompleksem ,,prowansalskiej'' prowincji, malowniczej, rozśpiewanej, ale nie wychodzącej poza regionalizm składowej części imperium. Zredukowanie narodu do szarawarów, hopaka i smętnych dumek. Topolowa i słowicza Małorosja zamiast Ukrainy. Stąd tyle razy u Małaniuka powtarza się obraz Rosji — gnijącego trupa, zarażającego wszystko dokoła swoim oddechem. Więc nienawiść. Nienawiść do Rosji — rosyjskiego imperium raczej — a jeszcze bardziej do rodzimej ,,małorosyjszczyzny'', pochodnego produktu moskiewskiego panowania.

Oto niezmiernie charakterystyczny dla Małaniuka wiersz z okresu ,,Ziemi i żelaza'' i ,,Ziemskiej Madonny'':

Zdawało się, żem włożył w rwący wiersz
wyroki wszystkie... A Rosja dogniwa
jak zdechły brontozaur, jak wzdęty zwierz,
ciążąca ciągle, chociaż już nieżywa.

Przeklęte ścierwo! Twój pośmiertny duch
mści jeszcze — trupi, beznadziejny Łazarz —
ale na marne: głuchnie nawet cuch
i tylko dołem ścieli się zaraza.

Daremnie wznosi się szamański wrzask
nad hucznym azjatyckim synhedrionem —
nie wskrzesi ciebie, czas twój dawno zgasł,
minęłaś. Słońce ponad twoim zgonem

zwiastuje wiek modlitwy i pożaru,
już ziemia spiętrza się w strzelisty gotyk
i tam, gdzie dzisiaj liszaj trądu narósł,
jasnego dnia zadzwoni uśmiech złoty.

Cmentarze ruin świeży pęd umai
niepowstrzymaną i zwycięską wiosną,
i miast okaleczonych dziś ukrain
młode narody bujnym zielem wzrosną.

Jeszcze zahuczy sądny grom, a z nim
ponad bezładem, nad przestrzenią zdrady
żelaznym dębem wzrośnie nowy Rzym
z mocnego łona Scytyjskiej Hellady.

II

Minionym dniom kadzidło epitafij,
nie żałość łez, ni krzyk, co w tłumie zgasł.
Jak wrący stos, co ogniem w niebo trafi,
rozwija się niepowstrzymany czas.

Potop i wichr ku ziemi drżącym szczytom —
do dna wybrano Chrystusową krew
i oto idzie Wielki Inkwizytor,
na jego czole mściwy płonie gniew.

Tak : zemsta prawdy ! Kłamstwa już nie schować
za mgłą skazanych na zatratę lat ;
nad starą ziemią burza rwie gromowa
i w ogniu krwi odnowi się nasz świat.

III

To jeszcze wstęp. I chciwe serce wierzy,
że to nie tylko bujny rozrost ziół i traw,
że wzbiera krew kosmiczna w pędzie łodyg świeżym,
że ład gotycki spełnia się na jaw.

I wiedzie nas pielgrzymka nieskończona
naprzełaj ludów, lat, naprzełaj pól i miast,
a tam przestrzenią wichr w burzanach rwie i kona
i zemstę niesie z mroku wywołany czas.

Kopyta biją. Ziemia głucho dudni.
I chrapie koń Mazepy jak przed złem.
Zejdź ku nam, Boży Roku, w znojny czas południa,
na step spragniony spadnij krwawym chrztem !

Wrogość do Rosji, przejawiająca się najczęściej w formie pamfletu, poetyckiej inwektywy, łączy się ściśle z centralnym

tematem: przebudową ukraińskiej psychiki, zanadto lirycznej, uwikłanej w sprzecznościach, zdanej na rozwichrzoną grę ślepych żywiołów. Wareżski, średniowieczny mit to przede wszystkim symbol tej przebudowy; można się spierać co do dokonanego wyboru, niepodobna zaprzeczyć samej diagnozie. Podobnie obrazy napadów tatarskich, mongolskiej niewoli są tylko symbolicznymi znakami ciążącej nad Ukrainą przemocy moskiewskiej. Bękarci płód, wynoszony pod sercem chańskiej niewolnicy — to właśnie po tysiąckroć wyklinana „chochłacka małorosyjszczyzna".

Tam gdzie wrogość czy nienawiść przejawia się w sposób tak gwałtowny i jaskrawy, łatwo powstać może podejrzenie, czy nie mamy do czynienia z kompleksem zawiedzionej miłości. W wypadku Małaniuka z sukursem przychodzą jego prace publicystyczne i literackie, stanowiące rodzaj komentarza do twórczości lirycznej. Przypominam sobie obszerny essej o Gogolu-Hoholu, drukowany na kilka lat przed wojną w kwartalniku „Wschód". Na przykładzie autora „Martwych dusz" Małaniuk obnażył psychiczny mechanizm tragicznej małorosyjszczyzny, pokazując jej wszystkie możliwe bifurkacje i zalewy. Bez lirycznego uniesienia, bez bolesnej gorączki przeprowadził wiwisekcję narodowego dramatu, dając jednocześnie spokojne uzasadnienie bezpardonowej wrogości do Rosji. Małaniuk-esseista skompletował i osłonił przed możliwymi zarzutami Małaniuka-poetę.

To już przeszło dwadzieścia lat, jak w „Wiadomościach Literackich" ukazał się w przekładzie Tuwima poemacik pt. „Warszawa". Bodaj jeden Zawodziński zwrócił na niego należną uwagę, podkreślając celność historycznej i — dziś można to już powiedzieć — proroczej wizji. Wyczulenie na wschodnie niebezpieczeństwo, tak wytężone, że stwarzające pozory obsesji, zagrało tu z całą siłą. Ukraiński emigrant zatrzymał się przy pomniku Mickiewicza i zetknął się z nim twarzą w twarz. Wiersz jest datowany z roku 1932.

Wypatrujesz twarzą w spiż zakutą,
ponad dachy, nad przechodniów pośpiech,
a pod tobą burzliwą nutą
gwar codzienny stolicy rośnie.

Nadwiślańskie mewy głośno krzyczą,
fala piachy wybrzeżne liże...
Czarne miasto twe, Mickiewiczu,
eurazjatyckim jest dla mnie Paryżem.

Dyryguje Szopen jesienią,
głuchą nutę preludiów przędzie.
Tutaj ludzie — zawsze zapóźnieni,
władza tutaj — zastygła w legendzie.

Śpi Belweder, otulony mgłami,
petersburskim tumanem się dławi.
W czarnych oknach — czy płomień je splamił? —
szare widmo — we śnie czy na jawie?

A gdy znowu rozkrzyczą się wici,
Wschód uderzy mroźnym akordem —
wiatr w Alejach Ujazdowskich z wyciem
szlak przekłada idącym hordom.

Rdzawym liściem ścieli i szasta
tatarskimi, burymi makatami...
...Pilnuj, pilnuj twojego miasta,
wartowniku spiżowy, Adamie!

To, co wówczas mogło wydawać się przesadą zawiedzionego i zranionego w narodowej dumie człowieka, okazało się wkrótce dokładnym stenogramem nadciągających wydarzeń. Historia poezji zna takie paradoksy: lirycy bywają najprecyzyjniejszymi politykami. Zużyte i oklepane, ośmieszone nawet, słowo *wieszcz* nabiera pierwotnej świeżości. Ale wraz z tym dotykamy jednego z najważniejszych elementów poezji Małaniuka: historycznego profetyzmu.

IV

Już w ,,Biografii'' z roku 1924 Małaniuk zapowiadał ,,Muszę być pochodnią dla Ciebie jednej (tzn. dla Ukrainy), ja — apostoł skrwawionych dróg''. Rzuca ,,anatemę epokom'', modli się: ,,Uczyń-że tarczę moją z adamantu, miecz archanielskim ogniem rozpal!'' Dopóki, mimo wszystkie tragiczne przeczucia, górowała młoda zuchwałość, upojenie wypowiedzianą walką, jeremiaszowy ton przepalał się z optymistyczną pewnością siebie. W słynnym ,,Napisie na tomie wierszy'' Małaniuk nazywa siebie ,,niezłomnie-dumnym imperatorem żelaznych strof'', który ,,przed obliczem twórczych katastrof'' prowadzi ,,kohorty swych wierszy''. Wierzył, że jego jamby, jak ,,muskularne stopy'', wybijają dytyrambiczny rytm ,,rzeczywistości nie utopij''. Przekazywał swój trud potomnym, którzy będą w stanie ocenić, dlaczego pióro poety było sztyletem, a sztylet zamieniał się w pióro.

Ta pewność nie zniknie całkowicie u Małaniuka dojrzałego, nawet wtedy, gdy zapowiadany ,,czas żelazny Waregów i Rzymian, czas stalowy ognia i miecza'' przyniósł Ukrainie nowe straszliwe klęski, a całej ludzkości niebywały chaos i moralną dezorientację. Nawet i wtedy poeta, świadom już przegranej osobistej i przegranej swego pokolenia, zapowiada, że ,,nie na próżno'', że jego ,,krzyk i ból, wypalające rdzę i grzech... stal i kamień słów... wejdą w skład przyszłej budowy''. Zmienia się jednak sama atmosfera uczuciowa. Zmienia się temperatura

i opada barometr. ,,Wyję — pies na martwym polu bitwy" — to coś innego niż dumne wyrzucanie hetmańskiej buławy ku wytyczonym metom.

Zresztą profetyczna wizja zawiodła w swojej części pozytywnej, bo zawieść musiała. Małaniuk nie mylił się ani na jotę, gdy wieszczył burzę i katastrofy; pod tym względem jego poetycki sejsmograf działał nieomylnie. Natomiast wiara w odrodzenie epoki poprzez racjonalistyczny woluntaryzm, poprzez żelazny pochód nowych Waregów, rozsypała się popiołem w palcach, zmartwiałych z przerażenia. Małaniuk widział dobrze zmierzch naszego czasu i, pukając ostrym piórem w jego gładką powierzchnię, wyczuwał próchno i rozkład. W znamiennym wierszu z 27 lutego 1939 roku, pisanym zatem niemal w przede dniu wojny, mówił o Atenach Peryklesa, które będą musiały ,,zdać bezlitosną sprawę przed oślepłym w boju wyciem Sparty". Ci wyjący Spartanie istotnie nadciągnęli, ale nie było w nich nic z wymarzonego ,,gotyckiego średniowiecza". Jeszcze w pierwszych latach, czy też raczej miesiącach wojny Małaniuk czepiał się instynktownie ostatniej nadziei, jeszcze próbował żyrować dawne proroctwo. Jeszcze nazywał stulecie ,,strasznym i wielkim", jeszcze pisał, że ,,prawnukowie będą zazdrościć tym, co widzieli oblicze zemsty i gniewu, gockie nawały, falangi nowych Aleksandrów, gorejące oczy Cezarów, spiż zmartwychwstałego Rzymu, ciężki legionów chód w dymie żelaza i krwi, twardy teutoński krok, nieubłagany jak czas..." Jeszcze mu się zjawi na chwilę słoneczna wizja Partenonu, płynąca ,,w noc gotycką średniowiecza". Ale i ta ostatnia struna rychło zaczyna dźwięczeć głuchym tonem i urywa się ze świstem. Charakterystyczne, jako mało wierszy napisał Małaniuk w pierwszych latach wojny; większość ich pochodzi z roku 1944, gdy z optymizmu i wiary pozostały zaledwie strzępy.

Heroiczna retoryka, zdruzgotana ciężkimi kołami wojny, słabnie i zanika, poeta staje się bardziej refleksyjny i liryczny. To właśnie z tego okresu pochodzi jeden z najlepszych wierszy Małaniuka (drukowany swego czasu w ,,Kulturze"), w którym ogląda on epokę w cieniu ślepego Homera i ogłuchłego Beethovena. W tym samym czasie pisze znakomite ,,Podsumowanie", pozornie tylko stanowiące bilans osobisty, choć nie ma w nim ani słowa o sprawie narodowej. Któż z nas nie odnajdzie własnego i zbiorowego losu w tych prostych, zdławionych słowach:

Tyś mnie wyśniła we snach pełnych gwiazd,
w noce uroczne, twe noce dziewczęce...
Wiosnę za wiosną ze sobą niósł czas,
sosny jak morze huczały w udręce
i rzeczne fale jak morze szumiały.

Wieczór miłości, nasz wieczór zaręczyn!
splotami kwiatów, ogniami Kupały
usta połączył i czoła uwieńczył.

Jasno się ścielił słoneczny nasz czas :
radość i praca, i dziecko i uśmiech...
Któż się spodziewał, że burza nam chluśnie
w twarze i grom będzie bił raz po raz,
ciszę zrujnuje i spokój zniweczy
wichrem — i dom nasz poniesie się z nim ?

Skronie się srebrzą. Schylają się plecy.
Oczy żre dym.

Tyś mnie wyśniła, najbielsza panno
(och, dyjamenty dziewczęcych łez !)

Mięśnie ze spiżu i wzrok kapitana,
morze i powiew, łagodny jak pies,
jacht białoskrzydły — —
I wszystko ochyba,
wszystko na marne. Ogłuchły mój rym,
w muzykę własną wsłuchany...
Więc wybacz,
wybacz, jedyna, że popiół i dym.

To nie tylko stwierdzenie klęski życiowej, ale i pośrednia odpowiedź na dramatyczne zapytanie sprzed kilkunastu lat : ,,Kiedyż odnajdziesz spiż własnego państwa, przeklęty kraju, Hellado Stepowa ?!'' W innym wierszu, pisanym w jesieni 1942 roku, zwartym jak serce ściśnięte w pięści, wypowiada pewność, że nigdy już nie wróci do rodzinnych stron, nad którymi stoją ,,wrzaski głodnych Chozarów''.

Cykl wierszy pt. ,,Pielgrzymka'', zamykający tom, zawiera garść poezyj przedwojennych, które nie weszły do poprzednich zbiorów, lwia część jednak powstała przy końcu wojny i po wojnie. Jak już wspomniałem, panuje w nich liryczna zaduma, cicha rezygnacja, refleksyjność — prawie zupełny brak patetycznej retoryki.

Jesień w płomieniu od zimnych watr —
i obca i obojętna.
Niekiedy tylko znajomy wiatr
podnieca jej słabe tętna.

Rodzinny wicher — jakże go znam —
co z stepów chersońskich dmucha.
I przywiduje się dzień taki sam,
matka i sad i Siniucha.

Ojciec posępny, rozumny dziad,
bratowie kochani...
Gdzie wy ?
Jesień i jesień. Zanika ślad.
Ponad falami — mewy.

Jednak nie wszystko jest melancholią i rezygnacją. Pozostaje świadomość walki o słuszną sprawę, walki, która nigdy nie toczy się na próżno. Świadomość, że chociaż stulecie, „ślepy przewodnik, czy widzący złoczyńca", zawiodło na manowce, tyle ofiar, poświęceń, krwi i pożarów zaważy kiedyś w ostatecznym rozrachunku. Więc wiara w imponderabilia. „Sądne dni nie próżno zdjęły pożarem twój czarny raj... i przez jęk żelaza, przez ryk zwierzęcy i dym ruiny *nowy* człowiek ujrzy Ukrainę". Toteż książkę zamyka lapidarny, dla większej prostoty ujęty w wiersz pozbawiony rymu, noworoczny toast :

Wypijmyż więc za trzeźwość i za jasność,
za zimny rozum i zgłodniałe serce,
za logikę, co muzykę odrzuca,
za matematykę, lekarstwo na truciznę
złośliwych chimer.
Za nasz ostatni hart !

V

„Pierścień Polikratesa" — oto tytuł ostatniego z przedwojennych zbiorów Małaniuka. Przypomnijmy z lektury szkolnej znaną balladę Schillera : Polikrates pragnął pozbyć się fatalnego pierścienia, który stale do niego powracał. Takim wciąż powracającym pierścieniem stała się dla ukraińskiego poety sprawa ojczyzny i służba tej sprawie. To jego siła i jego ograniczenie. Znów zacytuję Szlemkewycza, o którego książce pisałem na wstępie.

„Czytacie utwory Jewhena Małaniuka, największego emigracyjnego poety. Przypominają się słowa innego, obcego poety : wszedł jak do więzienia — w jedną ideę. Małaniuk przyjął ją, wszedł w nią. Jak samowładny jesion z ziemi, wypił wszystkie poetyckie soki z tej idei. I jak jesion, zostawił dokoła ubogą w zieloność smugę. Wszystko dał swemu wzrostowi w jednym kierunku, swemu listowiu, swym potężnym obrazom, swemu naprawdę wielkiemu mistrzostwu, ale zwęził i ograniczył życie dokoła... Podobnie jak Olżycz, co zazielenił się ale nie rozkwitł na ideologicznym urwisku... Małaniuk jest między nami, pełen jeszcze sił — i o jego duszę i twórczość zmagają się nadal ideologiczna przeszłość i żywa teraźniejszość..."

Szlemkewycz napisał te słowa w ramach ogólnych rozważań nad literaturą ukraińską. Widzi przyczyny ograniczenia i zubożenia jej rozwoju w spłacaniu nadmiernego trybutu ideologicznego. Nawet tak rozkochany w „urodzie życia" poeta, jak Bohdan Ihor Antonycz, który „był wróblem i mieszkał na wiśni", który przemawiał do „karpi i delfinów, do wszystkich braci ze słodkich i słonych wód", nawet on dał się wciągnąć „na prokrustowe łoże panujących ideologij". Inaczej mówiąc

poezja ukraińska cierpiała i cierpi na przerost publicystyki i utylitaryzmu.

Jak widzieliśmy, nie uchronił się przed tym zarzutem i Małaniuk. Niewątpliwie w najmniej szczęśliwych momentach jest w nim sporo typowo dziennikarskiej deklaratywności, zwłaszcza wówczas, gdy namiętny liryk bierze do ręki rózgę pamflecisty. Kiedy indziej przecież treść ideologiczna, nie tracąc nic ze swej wyrazistości, przemawia poprzez plastyczne obrazy i wówczas publicysta ustępuje miejsca autentycznemu poecie. Bywa i tak, że jeden zwarty obraz, zamknięty w lapidarnym zdaniu, sugeruje cały proces historyczny, stawia na nogi rozległe zagadnienie. W ,,Piątej symfonii'' czytamy : ,,Zaorywa wołyniak Beresteczko i nie może zaorać w żaden sposób'' — i to wystarcza za ewokację przeszłości i stosunków polsko-ukraińskich. Gdy napisze o Oksanie Laturyńskiej, że ,,w lekkich buciczkach wychodzi doglądać pawie... i wypuszcza pieśń-sokoła z haftowanego rękawa'', te dwa obrazy staną nam za obszerny essej o poetce.

Nie lęka się Małaniuk i wielkiej metafory, zresztą prawie zawsze w zastosowaniu do swoich historiozoficznych koncepcyj. Taką metaforę stanowi powtarzająca się parokrotnie wizja bezgłowej Niki Samotrackiej, na oślep pędzącej nad pobojowiskiem, w której to wizji Hordynśkyj w recenzji w czasopiśmie ,,Kijów'' (Marzec-Kwiecień, 1955) doszukał się słusznie ,,straszliwej'', jak pisze, ,,logiki''. Bowiem Ukraina ,,wciąż jeszcze w jakimś stopniu stanowi ślepy, żywiołowy ruch naprzód, wciąż jeszcze jest zjawiskiem niecałkowicie sformowanym, czymś co nasza współczesność dopiero formuje''. I właśnie poezja Małaniuka — znów z całą słusznością dodaje Hordynśkyj — świadomie spełnia to zadanie : dodaje głowę tym ślepym, żywiołowym siłom''. Tych kilka przykładów wystarczy, jak sądzę, by zredukować i wyznaczyć odpowiednie miejsce zarzutom o ,,deklaratywności'', ,,wierszowanej publicystyce'' i ,,płaskim utylitaryźmie'' wierszy autora ,,Pierścienia Polikratesa''.

Nie sądźmy jednak, że poetycka natura Małaniuka wyżywa się bez reszty w zaklętym kole historyzmu i wieszczenia narodowi. Już niektóre z zacytowanych wierszy zaprzeczają takiemu postawieniu sprawy. W swoim czasie nieobca mu była liryka erotyczna, ze swoistym przeciwstawieniem dwóch koncepcyj ,,ewig weibliche'' : Carmen-Beatrycze. Mówiąc nawiasem, poeta czuje specjalną predylekcję do takich przeciwstawień, jak np. w innym aspekcie Judea-Hellada, w których widzi symbole nieubłaganej, antynomialnej wrogości (dalsze rozwinięcie tej samej koncepcji prowadzi do antytezy Rzym-Moskwa).

Osobną pozycję stanowią wiersze, w których wyładowała się właściwa wielu współczesnym poetom ukraińskim tęsknota za egzotyką. Motywy morza i dalekich egzotycznych krajów występują u Kłena, Bażana, Łypy, Kosacza ; znajdujemy je i u młodego Małaniuka.

Nęcił go kiedyś ,,widnokrąg nabrzękły wiatrami", ,,las dzwoniący hymnami pijanych ptaków", ,,złote ciała" wyspiarskich dziewcząt. Pisał o dalekim Tahiti, o podwodnych skałach z koralu, o ,,złotym piasku" i marzył — bardzo po literacku — że ,,czeka go czarny sztandar korsarza na dwumasztowym brygu". Te same motywy powrócą kilkakrotnie w dojrzałym wieku, zabłysną ,,przypływem fal", malowniczością kupieckich faktorii, odezwą się nawet w zacytowanym powyżej wierszu ,,Podsumowanie" : ,,morze i powiew... jacht białoskrzydły..." Te próby odrzucenia ,,wciąż powracającego pierścienia Polikratesa" nie dały trwalszych wyników; ostatecznie Małaniuk zdeklarował się jako pierwca troski i bólu narodowego, prostowacz dróg przyszłości, namiętny herold Ukrainy wojującej.

Motyw morza jednak pozostał, tyle że przeniesiony w inny, właśnie narodowy wymiar. Marynistyka we współczesnej literaturze ukraińskiej, zarówno emigracyjnej, jak tworzonej w warunkach sowieckich (tu trzeba wymienić przede wszystkim Jurija Janowśkiego i Bażana) posiada charakter bardzo specjalny i odrębny. Znów klucza należy szukać w historii. Ukraina przez całe stulecia była odcięta od morza, które uważała za swoje, za Mare Nostrum, stając się, paradoksalnie, krajem typowo kontynentalnym. Odgradzały ją od morza koczownicze, stepowe ludy: Chozarowie, Pieczyngowie, Połowcy, Tatarzy. Nie było bandery ukraińskiej na masztach okrętów, ani portów ukraińskich. Były greckie, genueńskie, tureckie, potem rosyjskie. Morskie tradycje Waregów podejmowali Kozacy Zaporoscy w sporadycznych wypadkach, ale i oni musieli przepychać się przez wąską gardziel dnieprowego limanu, ściśniętą kamiennymi szponami fortec Kinburnu i Oczakowa.

Któż, jeśli nie pokolenie poetów rozmiłowanych w kijowskim średniowieczu, miał rewindykować ciemne fale pontyjskie dla Ukrainy?! Małaniuk robi to na swój sposób. ,,Stepowy suchodół" dusi się na wichrach eurazjatyckich i jedyny dla niego ratunek — wyjście ku morzu, którego ,,horyzonty otwierają wieczność", które jest dziedziną ludzi wolnych i silnych. Morze jako lekarstwo na step (a już wiemy czym jest step w poetyckiej mitologii Małaniuka) oto przemożna idea wierszy marynistycznych, stanowiących osobny cykl ,,Pierścienia Polikratesa". Na czele jednego z tych poematów autor położył motto z Baudelaire'a : *Homme libre, toujours tu chérira la mer. La mer est ton miroir...* — a jeden z sonetów tegoż cyklu zakończy namiętnym pytaniem :

Och, kiedyż bezwład nizinnego świata
oberwie się urwiskiem ostrych skał?
Kiedyż falanga siny rozlew fal
powita krzykiem spragnionym : Thalatta.

Tak zamyka się magiczny krąg narodowego mitu. To Waregowie przełożyli szlak z Północy ku Bizancjum, prowadzący

przez Czarne Morze; to pontyjska fala kołysała bajdaki szewczenkowskiego Hamaliji, gdy niósł ogień i śmierć przedmieściom Stambułu; to na brzegach Euksynu, na białych skałach krymskiej Taurydy stoją po dziś dzień wyszczerbione jońskie kolumny, znak i świadectwo Scytyjskiej Hellady. Wszystko łączy się w harmonijną całość. Mit morza unosi szumiącym przypływem wszystkie koncepcje i symbole małaniukowej poezji, przekazując je przyszłym pokoleniom i szczęśliwszej przyszłości.



Z Małaniukiem spotykałem się w przedwojennej Warszawie bardzo często z racji moich zainteresowań wschodoznawczych i współpracy z ,,Biuletynem polsko-ukraińskim'' i ,,Myślą Polską''. Zdarzało się nam spotykać i przy biurku redakcyjnym i przy czarce gorzałki. Przekładałem już wtedy jego wiersze. Ostatni raz widzieliśmy się u schyłku lata 1939 roku, gdy nad Polską i światem zawisały czarne chmury wróżonego przez niego nieszczęścia.

Przed kilkoma miesiącami w dalekim Nowym Jorku tamtejsza kolonia ukraińska obchodziła uroczyście trzydziestolecie pracy literackiej Małaniuka. Niechże ten artykuł i ta garść nowych przekładów będą przyjęte jako skromny wkład z polskiej strony do jubileuszu ukraińskiego poety.

Józef ŁOBODOWSKI

W poszukiwaniu dialogu polsko-litewskiego

I

Stosunki polsko-litewskie na pierwszy rzut oka wydają się zagadnieniem czysto politycznym. Nie będąc politykiem, nie czuję się powołany do poruszania tego tematu od strony politycznej. Jeżeli jednak, mimo wszystko, zabieram głos w tej sprawie, to czynię to w przekonaniu, że nie tylko politycy mają prawo ku temu. Sądzę, że stosunków między naszymi narodami nie da się sprowadzić do problemu czysto politycznego, gdyż były one czymś o wiele szerszym i głębszym, niż zwykłe związki polityczne. Jeżeli w stosunkach naszych nastąpi przełom i zostanie szczęśliwie rozwiązany nasz problem sąsiedzki, nie będzie to zasługą polityków o przesądach nacjonalistycznych. Mam wrażenie, że przyczynią się do tego ci ludzie z łona obu narodów, którzy potrafią wkroczyć na drogę *wzajemnego zrozumienia,* wyzwalając się spod destrukcyjnego wpływu wspomnień niedalekiej przeszłości, obfitej w absurdalne nieporozumienia i konflikty. Wiedziony tym przekonaniem, korzystam z gościnnych łamów ,,Kultury'' i pragnę w ogólnych zarysach wyrazić pogląd Litwinów na sprawę stosunków między naszymi narodami.

Doskonale rozumiem, że stosunki te nie mogą być rozstrzygane na płaszczyźnie wyłącznie teoretycznej. I nie są one, jak już zaznaczyłem, sprawą ,,czystej polityki''. Sprawa stosunków między ludźmi i narodami nie może stać ,,poza moralnością''. Czysta polityka zawsze skłonna jest uznać narodowy egoizm jako zasadę najwyższą, nie uznając praw innych narodów. Dlatego więc polityka czysta, odrzucając kryteria moralne, jest synonimem siły i podstępu, nie zaś prawa i pokoju. My wszyscy, zarówno Polacy jak i Litwini, wiemy, co oznacza czysta polityka w praktyce : w imię politycznego realizmu oba narody zostały wydane na łup bolszewickiego Lewiatana. Czysta polityka zawsze jest zastraszająca, zarówno wtedy, gdy robi się ją z ot-

wartym cynizmem, jak i wtedy, gdy jest maskowana szczytnymi hasłami. Druga wojna światowa wybuchła pod znakiem klasycznego cynizmu — przymierza narodowosocjalistyczno-bolszewickiego. Pod znakiem takiegoż cynizmu została zakończona w Jałcie. Dla wielu wydobycie na światło dzienne zakulisowych machinacji jałtańskich okazało się nietaktowne. Nam zaś, sprzedanym, fakt ten odsłonił twarz ludożercy przykrytą elegancką maską politycznego realizmu. Tragiczne doświadczenie drugiej wojny światowej zmusza nas do zademonstrowania naszego obrzydzenia polityką, która zasady moralności poświęca kompromisom dnia. Czysta polityka zawsze była amoralna i dlatego jest tak podatna wpływom każdej pokusy cynicznej. Czysto polityczne stawianie zagadnień zawsze pozostawia za sobą moc nierozstrzygniętych problemów, gdyż wszystkie rozwiązania są tu niczym innym jak tylko dyktandem silniejszego w stosunku do słabszego. Czysta polityka zawsze jest przesiąknięta narodowym egoizmem. Egoizm zaś nie łączy, lecz dzieli narody, tak jak dzieli on indywidua w życiu codziennym.

Gdybyśmy mogli mieć nadzieję pokoju, który by był czymś innym, niż cyniczne uśmierzanie słabszego przy pomocy genocydu, to nadziei takiej musielibyśmy szukać poza tzw. czystą polityką, poza politycznym realizmem, poza narodowym egoizmem. Niczym będą wszelkie ruchy humanistyczne w łonie poszczególnych narodów, jeżeli z odosobnionego łona nie wyjdą one na forum humanizmu międzynarodowego. Próżne będą wszystkie deklamacje o człowieku i człowieczeństwie, dopóki przy wtórze chóru konwencji przeciw-genocydowych będą niszczone narody. Nie będzie nadziei, dopóki nie zostanie porzucona „czysta polityka" (nie w znaczeniu czystości sumienia, lecz niedopuszczenia, by sumienie przeszkadzało brutalnemu egoizmowi).

Tak się rzecz ma w zasadzie, i tak jest w naszym konkretnym wypadku. Zaiste, dużo jest spraw, które dzielą Polaków i Litwinów. Sprawy te mają cechy polityczne, dla rozwiązania których potrzebne będą również narzędzia polityczne — konferencje, narady, umowy. Jednak, aby rozwiązania te zostały znalezione naprawdę, nie zaś narzucone siłą, trzeba nam przede wszystkiem *wzajemnego zrozumienia*. A sprawa ta nie jest wyłącznie polityczna. Wzajemne zrozumienie nie jest politycznym „poznawaniem wroga". Gdy politycy usiłują poznać „wroga", dążą oni do poznania słabych stron przeciwnika : poznanie to jest a priori rozumiane jako sposób walki z wrogiem. Inaczej rzecz się przedstawia w wypadku wzajemnego zrozumienia, gdy robi się obustronne wysiłki, zmierzające ku wyrównaniu sprzecznych interesów przy pomocy wzajemnego poszanowania praw. Wówczas „wróg" przestaje być wrogiem, stając się dobrym sąsiadem. Do takiego wzajemnego zrozumienia muszą dojść nasze narody. Jest to jedyna droga, mogąca doprowadzić do uregułowania naszych sąsiedzkich stosunków. W stosunkach między narodami musi być zastosowany ten sam *liberalizm*, któ-

ry w stosunkach międzyludzkich już ustanowił kodeks tolerancji, dzięki któremu dzisiaj wyznawcy różnych idej nie są już śmiertelnymi wrogami. Niegdyś tolerancja zdawała się taką samą utopią, jak dzisiaj podporządkowanie stosunków między narodami zasadom etyki. Lecz nawet w wypadku, gdyby zasada humanizmu i liberalizmu w stosunkach między narodami wydawała się utopią, musimy wierzyć w utopii tej zrealizowanie.

Mając tę wiarę, chciałbym wyrazić kilka myśli, które zapewne przyczynią się do lepszego zrozumienia stosunku Litwinów do Polaków.

II

Poglądy polski i litewski różnią się nie tylko w odniesieniu do konfliktów niedawnych, lecz również co do przeszłości historycznej, łączącej oba narody. Od czasów Jagiełły po rok 1795 Polska i Litwa były złączone tak mocnymi więzami, iż zdawało się, że przeszłość ta na wieki złączy oba narody i obustronny braterski szacunek nie wygaśnie... Niewątpliwie, przeszłość historyczna bardzo zbliżyła oba narody. Jednak z punktu widzenia litewskiego ów związek historyczny nie był dla Litwinów tak korzystny, jakby to mogli przypuszczać Polacy. Charakteryzując ową polsko-litewską przeszłość, moglibyśmy dojść do dwu diametralnie sprzecznych twierdzeń. Z jednej strony, można by twierdzić, że w okresie wspólnej historii Litwini dużo dali Polakom, sami nic od nich nie otrzymując. Z drugiej strony możliwe jest również twierdzenie, że Polacy dali Litwinom tak dużo, że to śmiertelnie zagroziło samemu istnieniu narodu litewskiego. Chociaż twierdzenia te są diametralnie sprzeczne, są one jednak uzasadnione.

Litwini dali Polakom dużo, sami nic nie otrzymując. Przede wszystkim dali dynastię Jagiellońską (Giedyminowiczów), która złączyła oba państwa. Jeżeli się nie mylę, Polacy po dziś dzień dynastię tę wspominają z szacunkiem. Dla Litwinów jednak postać Jagiełły (Jogaila) jest dwuznaczna i o podwójnym obliczu. Jego wejście na tron polski odbyło się przy wtórze walk wewnętrznych z Vytautasem (Witoldem), Wielkim Księciem Litewskim. Vytautas, nie zaś Jogaila jest symbolem bohaterskiej przeszłości narodu litewskiego. Z biegiem czasu wielka ilość Litwinów spolonizowała się i wrosła w kulturę polską : Sapiehowie (Sapiegos), Radziwiłłowie (Radvilai), Tyszkiewiczowie (Tiskeviciai). Tadeusz Kościuszko i Adam Mickiewicz również przez Litwinów uważani są za mężów o litewskiej krwi. W Polsce niepodległej niektórzy mężowie stanu również byli pochodzenia litewskiego. Pierwszy prezydent Rzeczypospolitej, Gabriel Narutowicz, był pochodzenia litewskiego. Jego brat S. Narutavicius w roku 1918 w Wilnie podpisał akt Niepodległości Litwy. Józef Piłsudski również miał związki z Litwą i narodem litewskim. Gdy piszę o tym, mimo woli nasuwa się myśl, że mogę być posądzony o zarozumiałość i zamiar przywłaszczania tego, do cze-

go nie mamy najmniejszego prawa. Muszę więc zaznaczyć, że nie kierują mną intencje takiego ,,przywłaszczenia''. Zarówno Kościuszko jak i Mickiewicz, Narutowicz, Piłsudski i wielu innych, mimo że płynęła w ich żyłach znaczna doza krwi litewskiej, byli całkowicie wrośnięci w naród polski i jego kulturę, a takie wrośnięcie w naród i jego kulturę jest rzeczą niepomiernie ważniejszą, niż zwykłe etniczne pochodzenie. Dlatego więc uważam, że wszelki ,,spór o własność'' byłby w tym wypadku więcej niż absurdalny. Polacy mają pełne prawo szczycić się wielkimi imionami wspomnianych powyżej mężów. Mówienie o tym uważałem za stosowne, gdyż chciałem podkreślić, że te same imiona, którymi Polacy się szczycą, dla Litwinów oznaczają swych synów utraconych. Zjawisko to więc było ,,jednostronne'' i niesprzyjające dla narodu litewskiego i jego kultury. Jednostronne, bo mieliśmy Litwinów, wrosłych w naród polski i jego kulturę, nie mieliśmy zaś Polaków, o których moglibyśmy powiedzieć to samo. Litwini nie mają w swej przeszłości ani teraźniejszości imion, do których Polacy mogliby rościć takie pretensje, jakie Litwini roszczą np. w stosunku do Kościuszki lub Mickiewicza. Stąd więc twierdzenie : Litwini dali Polakom dużo, sami zaś nic nie otrzymali.

Lecz twierdzenie takie zawiera w sobie zaledwie prawdę połowiczną. Gdybyśmy chcieli ograniczyć się tym twierdzeniem, można by zapytać : czyż polska kultura nie oddziaływała na Litwinów w ciągu długich lat i wieków, gdy oba narody były złączone bliskimi więzami ? Tu dochodzimy do ujawnienia tej ,,drugiej strony'' w stosunkach polsko-litewskich. Naiwne byłoby twierdzenie, że przyjęcie chrześcijaństwa od Polaków miałoby być jednoznaczne z wszczepieniem kultury. W chwili, gdy Litwini przyjęli chrzest, mieli już swe potężne państwo i swą kulturę. Nie można jednak nie uznać faktu, że kultura polska, po przyjęciu przez Litwinów chrześcijaństwa i nawiązaniu stosunków z państwem polskim, miała dla Litwinów znaczenie decydujące, w pierwszym rzędzie dla rządzących warstw Litwy. Oceniając to zjawisko, poglądy polski i litewski znów się rozchodzą. Kultura polska, zamiast pobudzić rozwój kultury litewskiej, kulturę tę podbiła i ujarzmiła. Jeżeli powyżej twierdziliśmy, że Litwini od Polaków nic nie otrzymali, to obecnie zmuszeni jesteśmy stwierdzić, że Polacy zbyt dużo dali Litwinom. Litewskie warstwy rządzące, asymilując kulturę polską, polonizowały się. Nie bacząc na etniczne różnice, wśród warstw tych ukształtował się swoisty typ ,,gente lithuanus, natione polonus''. Polacy mają pełne prawo szczycić się i uważać proces ten jako sukces swej kulturalnej ekspansji. Dla Litwinów jednak proces ten, który prowadził do polonizacji, był śmiertelnym zagrożeniem. I gdyby proces ten ogarnął cały naród, nie zaś tylko szlachtę i duchowieństwo, możliwe jest, że naród litewski wygasłby w całości. Jednak, mimo utraty tzw. klasy oświeconej, pozostał nam lud litewski, który utrzymał swą mowę i narodowość. Zrozumiałe więc jest, dlaczego litewskie odrodzenie narodowe wyra-

żało się w formie odrywania się od polskiej kultury i formowania swej własnej inteligencji. Kultura polska, utwierdziwszy się w litewskim dworze, stała się synonimem ucisku społecznego w oczach ludu. Dlatego więc litewskie odrodzenie narodowe musiało podjąć walkę nie tylko przeciwko rosyjskiemu uciskowi, lecz również przeciwko wpływom kultury polskiej. Spolonizowana litewska ,,klasa oświecona'' w obliczu litewskiego odrodzenia narodowego zajęła pozycję obojętną albo wręcz wrogą. Logiczne więc było, że litewska inteligencja ludowa broń swą zwróciła między innymi przeciwko spolonizowanemu dworowi litewskiemu.

III

Taki charakter stosunków polsko-litewskich zaważył również i na dalszym pełnym paradoksów rozwoju stosunków między dwoma narodami, gdy oba narody w wyniku drugiej wojny światowej przystąpiły do odbudowania swych państw niepodległych. Polacy wciąż jeszcze żyli wspomnieniami naszej wspólnej historii od Jagiełły do powstań 1831 i 1863 roku. Zupełnie naturalne zdawało im się odbudowanie wspólnego państwa. Litwini zaś uważali, że chcąc utrzymać swą narodową żywotność, należy stworzyć własny organizm państwowy. Podczas gdy Polacy unię uważali za wspaniałomyślny i braterski gest, Litwini próbę wskrzeszenia idei unijnej osądzili jako zamiar ponownego zniszczenia rozbudzonej swej świadomości narodowej. Najważniejsze zaś było to, że Litwa nie była już taka, jaką Polacy zachowali w swej pamięci historycznej. Feudalna Litwa już nie istniała. Dwór był obcym ciałem w narodzie litewskim. Na gruzach upadłej Litwy feudalnej zmartwychwstał naród o świadomości demokratycznej, z wyraźną wolą kroczenia swoją własną drogą. Tak więc owe wspomnienia o wspólnej drodze w przeszłości, które Polacy uważali za bratnie wyciągnięcie dłoni, Litwini przyjęli jako zamach na ich życie narodowe. I oto zamiast w fazę sąsiedzkiej przyjaźni, oba narody weszły w okres konfliktów zbrojnych. Wyjątkowo destrukcyjnie na rozwoju stosunków obu narodów zaciążył marsz Żeligowskiego na Wilno, w kilka dni po zawarciu umowy suwalskiej. Nie wiem, jak *dziś* Polacy oceniają przedsięwzięcie Żeligowskiego. Wiem natomiast, że dla Litwinów po wsze czasy będzie ono podstępnym złamaniem umowy suwalskiej. Fakt ten zniszczył zaufanie do narodu polskiego. Przypuszczam, że nie zostanie mi przyjęte za złe poruszenie tej rany. Gdybyśmy pominęli tę ranę milczeniem, byłoby niezrozumiałe, dlaczego wtedy, gdy zamilkł oręż, Litwini nie zgodzili się na utrzymywanie normalnych stosunków dyplomatycznych z Polską. Dla narodu litewskiego była to jedyna droga do wyrażenia protestu przeciwko wyrządzonej mu krzywdzie. Tak więc do roku 1938 między Polską i Litwą istniała mała ,,żelazna kurtyna''.

Chociaż dzieliła nas ,,żelazna kurtyna'' wieści z Wileńszczyzny dochodziły do nas. Nie były one takie, by mogły zmienić nasz stosunek do południowego sąsiada. W Polsce, na Wileńszczyźnie, prześladowano intensywnie Litwinów. Zamykanie szkół litewskich, cenzurowanie i okładanie grzywną pism litewskich, więzienie członków organizacji litewskich — było na porządku dziennym. Wieści te dochodziły do nas i napełniały nas goryczą. Możliwe jest, że w Warszawie czy Krakowie nie wiedziano o tym. Może nawet w samym Wilnie nie było to zauważone. Wszystkie prześladowania dokonywują się w ciszy. Zazwyczaj nie są one nazywane właściwym imieniem i są przykrywane ,,obiektywnym'' płaszczem. Prześladowania czują jedynie ofiary.

IV

Problem Wilna jest tym problemem, od którego rozwiązania zależy przyszłość polsko-litewska. Dopóki problem ten nie zostanie rozwiązany, dopóty niemożliwe będzie uregulowanie sąsiedzkich stosunków polsko-litewskich.

Jak i cały szereg innych kwestii terytorialnych, tak i problem Wileńszczyzny, nie jest nieskomplikowany. Oba kraje posiadają swoje historyczne, prawne, statystyczne i inne argumenty. Bez uzbrojenia się w dobrą wolę trudno znaleźć rozwiązanie.

Historycznie biorąc, nie ma żadnej wątpliwości, że Ziemia Wileńska jest terytorium litewskim, które było zalążkiem państwowości litewskiej. A i pod względem etnograficznym Wileńszczyzna nie jest terenem polskim. Mieszkańcami Ziemi Wileńskiej są albo Litwini, albo ludzie pochodzenia litewskiego. Polakami są jedynie przybysze z Polski. Co prawda, spora ilość mieszkańców Wileńszczyzny przyswoiła sobie język polski i w ten sposób, mniej lub więcej świadomie, włączyła się w łono narodu polskiego. Fakt ten znacznie komplikuje problem wileński. Jednak między roszczeniami polskimi i litewskimi istnieją zasadnicze różnice. Litwini, roszcząc pretensje do Wilna, domagają się własnych ziem historycznych wraz z ludnością litewskiego pochodzenia. Polacy zaś chcą ziem i ludności, zdobytych drogą kulturalnej ekspansji.

Nie zamierzam robić żadnych sugestii. Wydaje mi się jednak, że przy rozwiązywaniu problemu należałoby brać pod uwagę nie pretensje globalne, lecz rozróżnione: do jakich części mają więcej prawa jedni i do jakich drudzy. Przypuszczam, że Litwini będą musieli zgodzić się z faktem, że niektóre połacie Wileńszczyzny są dla litewskości całkowicie utracone na skutek spolonizowania. Lecz również Polacy musieliby zrozumieć, że Litwini nie mogą zrezygnować z tych ziem, które po dziś dzień są rdzennie litewskie i utrzymały swój charakter, nie bacząc na intensywną falę polonizacyjną w okresie międzywojennym. Gdy na początku drugiej wojny światowej Wileńszczyzna została

zwrócona Litwie, wyszła na jaw nieścisłość statystyk, którymi operowano w okresie międzywojennym i mylono polską opinię publiczną. Prawdą jest, że w miastach i miasteczkach Wileńszczyzny było sporo elementu polskiego, natomiast wieś pozostała czysto litewska względnie białoruska (w części wschodniej). Okazało się, że Litwini na Wileńszczyźnie nie tylko mówią swym nieskażonym językiem, lecz również posiadają wysoko rozwiniętą świadomość narodową i kulturalną. Do tych części Kraju Wileńskiego Polacy nie powinni by rościć żadnych pretensji.

Samo Wilno, jak w ogóle miasta, było różnojęzyczne i różnonarodowe. Było w nim również niemało Polaków przybyłych z głębi Polski. Jednak nikt nie zaprzeczy, że Wilno jest odwieczną stolicą Litwy. Każdy kamień tego miasta mówi o przeszłości litewskiego narodu, od chwili gdy założył je Wielki Książę Gediminas. Nie tylko w przeszłości zamierzchłej, lecz również w czasach względnie nowych, Wilno było centrum kultury litewskiej. W roku 1905 w Wilnie ukazał się pierwszy dziennik litewski. W tymże roku odbył się w Wilnie Pierwszy Sejm Litewski, który rzucił hasło autonomii i wszczął walkę o niepodległość Litwy. W Wilnie powstał i rozpoczął swe prace pierwszy gabinet ministrów litewskich. W roku 1918 w Wilnie została ogłoszona niepodległość Litwy. Litwini, żądając Wilna, nie apelują do sentymentów. Domagają się oni prawa.

V

Przyjaźń polsko-litewska jest zatruta goryczą, która przybiera nieraz formy absurdalnej nienawiści. Jeżeli obie strony i nadal będą kierowały się egoizmem, nie będzie nadziei na unormalizowanie stosunków. Lecz nie ma sytuacji, z której przy pomocy *dobrej woli* nie moglibyśmy znaleźć wyjścia i sposobu zagojenia ran. Znaczna część inteligencji obu narodów znów znalazła się na emigracji, jak po roku 1831 czy 1863. Dziś, z perspektywy miejsca i czasu, możemy spokojniej i mądrzej spojrzeć na problem. Wszyscy dzisiaj cierpimy z powodu tzw. czystej polityki, która zaprzedała oba narody. Tęsknota za wolnością, którą żyją zarówno Polacy jak i Litwini, powinna iść w parze z tęsknotą za nowym duchem w stosunkach między naszymi narodami. Pragnąc wolności dla siebie, nie należy życzyć niewoli dla swego sąsiada. Domagając się swoich praw, nie możemy innym odmawiać tego prawa. Otrzymując egoistyczne ciosy ,,wielkich sił'' nie możemy przywłaszczyć sobie przywileju fanatyzmu, od innych żądając tolerancji.

Chociaż w stosunkach naszych jest spora doza braku zaufania, mamy jednak pełną nadzieję, że przy dobrej obustronnej woli uda się ten brak zaufania przełamać. Takim sympatycznym gestem dobrej woli jest zaproszenie ,,Kultury'', by Litwini wypowiedzieli swoje zdanie. Możliwe jest, że Redakcja tego świetnego i niezależnego pisma doczeka się ostrej krytyki ze

strony niektórych swych współrodaków, tak jak i my, Litwini, często jesteśmy atakowani przez ,,swoich''. Zaiste, ,,opinia publiczna'' obu stron jest tak ujemnie nastawiona w stosunku do ,,wroga'', że nawet nie czyni się żadnych prób wymiany poglądów. Nie sądzę więc, by politycy byli w stanie nasz problem rozwiązać. Niektórzy Polacy uważają za zdrajców tych swoich rodaków, którzy nie wołają — ,,Polska z Wilnem i Lwowem''. Lecz gdy tak woła jedna ze stron, druga zostaje pozbawiona głosu. Tak więc pozostajemy bez rozmów i kontaktu, a nie jest to stan normalny. Zadaniem intelektualistów obu narodów musiałoby być szukanie dróg do wszczęcia *dialogu,* mimo że nie byłby on pozbawiony akcentów pewnej goryczy. Gdy w łonie obu społeczeństw znajdzie się więcej wzajemnego zrozumienia, na pewno więcej będzie nadziei na to, że i politycy znajdą właściwsze rozwiązanie. Nie łatwe jest znalezienie drogi, prowadzącej do wyrównania stosunków między naszymi narodami. *Lecz drogi tej nie znajdziemy, jeżeli nie będziemy jej szukali uzbrojeni w dobrą wolę.*

Dr Juozas GIRNIUS

Najnowsza poezja litewska

To, co dzisiaj nazywamy najnowszą poezją litewską, weszło na arenę litewskiej literatury w przededniu drugiej wojny światowej. Pojawienie się nowych sił, czy też, ściślej mówiąc, możliwość ich ukazania się przypadła na czas zmiany ,,warty poetyckiej''. Około 1938 roku większość wybitniejszych poetów, wyrosłych i dojrzałych w okresie niepodległości, dobrowolnie usunęła się z pozycji awangardowych, zrzekając się tytułu nowatorów oraz opowiadając się za ,,starym reżymem''. W obliczu zbliżających się fatalnych dla narodu i państwa litewskiego wydarzeń, nałożyli oni mundury niezbyt głęboko pojętego patriotyzmu i przystroili się w pompatyczne wieńce ,,zbawicieli narodu''. Obok powyższego zjawiska można było jednak zauważyć i drugą siłę, którą był przebłysk nowej myśli i nowych form, między innymi egzystencjalizmu. Prekursorem tej nowej myśli był wśród Litwinów Juozas Girnius, którego działalność intelektualna jest ściśle związana z narodzinami nowej generacji poetyckiej. Usunięcie się z pierwszych linii czołowych poetów okresu niepodległościowego (Jonas Kossu-Aleksandravicius, Antanas Miskinis, Bernardas Brazdzionis, Salomeja Neris, Kazys Boruta, Vytautas Sirijos Gira) przede wszystkim zdezorientowało licznych ich epigonów, nieprzygotowanych do zajęcia porzuconych pozycji i w ten sposób skazanych na beznadziejny los ,,lost generation''. Nowoformującej się masy czytelników epigoni ci nie byli w stanie zadowolić poezją, pisaną na płytką nutę bohemy. Jeszcze nie tak dawno ,,dobrze urządzony'' i korzystający ze względnego dobrobytu obywatel litewski nie był zbyt gorliwym odbiorcą poezji, którą tworzyli Aleksandravicius, Miskinis i inni. Dla obywatela tego wciąż jeszcze trwał na swoim niewzruszonym cokole Maironis, bardzo rzadko sięgał on po tomy Putinasa, Liudasa Giry i Petrasa Vaiciunasa. Mniej więcej w okresie wyżej wspomnianych zmian poezja nieco ,,przeorientowanej'' generacji znalazła się również na półkach bibliotek dobrze urządzonego obywatela, zdobywając oficjalne uznanie. Natomiast postępowy czytelnik został pozbawiony lektury. Dla nowego pokolenia poetyckiego droga stała otworem.

Toczące się w błyskawicznym tempie, powszechnie znane wypadki, przeszkodziły jednak temu naturalnemu procesowi. Pierwsza okupacja sowiecka zahamowała produkcję intelektualną, głosu udzielając jedynie adeptom nowego reżymu. W centrum codziennych trosk i zjawisk stanął problem fizycznej egzystencji. W takich więc zupełnie odmiennych i niezbyt przychylnych okolicznościach, kształtowała się najnowsza poezja litewska, wzbogacona fizycznym doświadczeniem i różniąca się od poezji pokolenia poprzedniego swoim światopoglądem i zasadami estetycznymi.

Nowe imiona wyszły na światło dzienne dopiero około 1942 roku. W pierwszym rzędzie zasługują na uwagę Vytautas Macernis, Leonas Svedas i Henrikas Nagys, jak również nieco wcześniejsi Kazys Bradunas i Eugenijus Matuzevicius. Poezja ich różniła się od poezji pokolenia poprzedniego nie tylko tendencją formalną, lecz również samym źródłem, z którego wytrysła. Dla pokolenia ,,niepodległościowców'' charakterystyczne były eksperymenty ekspresjonistyczne i przeżycie sentymentalne. Historycznie biorąc pokolenie to było typowym spadkobiercą symbolizmu oraz tradycji futurystyczno-ekspresjonistycznej ,,Czterech Wiatrów''. Dla nowego zaś pokolenia rysem typowym jest przeżycie intelektualne, oraz przewaga treści nad formą. Pokolenie poprzednie interesowało się raczej *formami* bytu, zaś nowa generacja położyła nacisk na moment samego *losu* ludzkiego i jego *sensu,* podkreślając tzw. sytuacje krańcowe. Na ukształtowanie się pokolenia poprzedniego wpłynęły literackie i społeczne doktryny, nowe zaś pokolenie wyrosło w kręgu filozoficznych rozważań. Najsilniej oddziaływali na nie najpierw iluminiści i Nietzsche, później zaś filozofowie egzystencjaliści: Kierkegaard, Heidegger, Gabriel Marcel. Drogowskazem literackim stali się dla nich E. A. Poe, Ch. Baudelaire, W. Whitman, R. M. Rilke, H. von Hofmannstahl, St. George, O.W. de Lubicz-Milosz, jak również Dostojewski i w niektórych wypadkach francuscy nadrealiści. Estetyka pokolenia niepodległościowego, ogólnie biorąc, była symbolistyczna, często naturalistyczna a nawet utylitarystyczna. Estetyka zaś nowego pokolenia jest ,,egzystencjalna'' : poezję pojmuje ono jako estetyczne rozwinięcie egzystencji, nie zaś jako symbolistyczną ,,correspondance''.

Druga okupacja sowiecka w roku 1944 zmusiła większość poetów najnowszej generacji do ucieczki na zachód i skazała na emigrację. Na emigracji ukazał się szereg tomów poetyckich, między innymi reprezentacyjna antologia pt. ,,Ziemia'' (Zeme, 1951), w której udział wzięli : Juozas Kekstas, Kazys Bradunas, Alfonsas Nyka-Niliunas, Vytautas Macernic, Henrikas Nagys i Juozas Girnius (autor słowa wstępnego do antologii). Od tytułu tej antologii pochodzi nazwa całej grupy ,,zemininkai'' albo ,,lankininkai''. Ta ostatnia nazwa wywodzi się od tytułu pisma literackiego ,,Literaturos Lankai'' (Arkusze Literackie), które redaguje ten sam zespół.

Zanim jednak przystąpimy do charakterystyki poszczególnych przedstawicieli nowej generacji, musimy wrócić nieco wstecz i poświęcić kilka słów poecie, który, mimo że nie należy do tej grupy, jest jednak bezsprzecznie z nią związany. Poetą tym jest Henrikas Radauskas (ur. 1910). Pod względem wieku mógłby być zaliczony do pokolenia ,,niepodległościowców'', lecz swoją postawą i charakterem poetyckim bardzo się od niego różni. Pierwsze jego kroki twórcze kształtowała poezja Th. Gautier, Verlaine'a i rosyjskich akmeistów. W pierwszym tomie wierszy pt. ,,Fontana'' (Fontanas, 937) Radauskas był wyrazicielem pasywnej (estetyczno-formalnej) reakcji przeciwko ekscesom ,,wysokolitewskiego'' liryzmu. Naprawdę wyjątkową i wybitną pozycję w poezji litewskiej Radauskas zajął dopiero po ukazaniu się drugiego tomu, pt. ,,Strzała w niebie'' (Strele danguje, 1950), obejmującego piętnastoletni okres twórczości. Kultywując wciąż postulaty estetyzmu i względnego formalizmu, Radauskas ukazał w tym tomie swoją nową twarz: krytycznego nowatora, inteligentnie i ostrożnie zastosowując wszystkie rewolucyjne zdobycze poetyckie. Nowe jego wiersze przypominają obrazy malarzy z Ecole de Paris, w których poczucie nowoczesności jest ściśle podporządkowane dyscyplinie wciąż odnawiającego się klasycyzmu.

Spośród uczestników ,,Ziemi'' w pierwszym rzędzie zasługuje na uwagę Juozas Kekstas (ur. 1915). Jest on Wilnianinem, studiował w Wilnie i w Warszawie (na Wolnej Wszechnicy) i rósł w odrębnej niż inni jego koledzy politycznej i kulturalnej atmosferze, do roku 1946 mając kontakt z nimi bardzo luźny. Dopiero ostatnie dziesięć lat postawiło go z nimi w jednym szeregu. Poeta dojrzewał pod wpływem poezji buntu i walki. Formalnie nic go nie łączy z poezją tradycyjną. Zajęcie miejsca poza tradycją wyraża się w jego poezji nie przez burzenie tejże tradycji (poeta usiłował burzyć jedynie tradycję ,,systemu koncentrycznego''), lecz przez jej uznanie i próbę odnowienia. W pierwszym tomie, pt. ,,Takie życie'' (Toks gyvenimas, 1938) Juozas Kekstas stał w kręgu rewolucyjnie zaangażowanej poezji i był pod wpływem tzw. kultury rewolucyjnej. W następnych tomach — ,,Dnem jesieni'' (Rudens dugnu, 1946), ,,Nagły horyzont'' (Staigus horizontas, 1946) i ,,Pokój mnie'' (Ramybe man, 1951) poeta kroczy już zupełnie inną drogą. Wiersze zawarte w tych tomach wyraźnie wskazują na odwrót poety od tzw. kultury proletariackiej i zdecydowane wstąpienie na drogę estetycznie pojętej formy i intelektualnie rozumianej idei humanistycznej. Poezja jego nie jest ,,przymiotnikowa''. Jest ona raczej ,,czasownikowa''. Główną jej cechą jest dynamika myśli oraz elementów znaczeniowych. Poeta nie czyni żadnego wysiłku by jego słowo było ,,dźwięczne''. Poezja jego jest naga, bez błyskotliwych upiększeń, jak wulkaniczna skała. Pod tym względem moglibyśmy dojrzeć pewną analogię z poezją Michaux i Eliota.

Następny z uczestników „Ziemi", Kazys Bradunas (ur. 1917) debiutował dosyć wcześnie i już w okresie niepodległościowym nazwisko jego było znane. W pierwszym okresie swojej twórczości K. Bradunas, zarówno pod względem ideowym jak i formalnym, był spokrewniony z generacją poprzednią (Aistis-Brazdzionis). Pokrewieństwo to jest bardzo rażące w pierwszych jego książkach — „Dzwony wileńskie" (Vilniaus varpai, 1943), „Ślady na bruzdach" (Pedos arimuos, 1944). W czasie ukazania się powyższych tomików Bradunas był już jednak zbliżony do poetów swojej generacji. Redagowany przez niego w Monachium miesięcznik „Aidai" był wspaniałą platformą, na której zeszli się i zawarli przymierze przedstawiciele nowego pokolenia. Bradunas idzie w głąb litewskich tradycji poetyckich, których źródłem są prastare „pieśni weselne księżyca i słońca". Poprzez Donelaitisa, Baranauskasa, Maironisa i Miskinisa, sięgają one naszych czasów. Poezja jego jest narodowa, nie ma w niej jednak uroczystego patosu i zakłamania. Żaden poeta litewski, ani w przeszłości, ani w czasach bieżących, nie stał tak blisko „dyszącej ziemi", jak Bradunas. Pod względem tematyki, w poezji jego można rozróżnić dwa podstawowe motywy: byt włościański, postawiony na mitologicznym piedestale, oraz mistykę historyczną. Jego stosunek do ziemi i historii jest religijny, rzec by można — obrzędowy. Nie przypadkiem jest tytuł ostatniego tomu jego wierszy — „Obrzędy" (Apeigos, 1948). Ziemia nie tylko karze i rozgrzesza, lecz również zbawia. W poemacie „Mór" (Maras, 1947) jest ona mistycznym centrum historii i symbolem niezniszczalności narodu.

Vytautas Macernis (1920-1944), tragicznie zmarły podczas drugiej okupacji sowieckiej, był wielce obiecującą siłą na przedpolu najnowszej poezji litewskiej. Pochodził on z rodziny żmudzko-szlacheckiej, rósł i dojrzewał w atmosferze kultury zachodniej i posiadał wspaniały dar łączenia tradycji z duchem nowych czasów. Macernis kładzie m. in. silny akcent na konieczność poznania i miłości do spadku kulturalnego, przekazanego przez przodków. Formalnie biorąc, Macernis, zarówno wśród poetów swej generacji, jak i w ogóle w poezji litewskiej, jest przedstawicielem rewolucji konserwatywnej. Główną jego troską było przywrócenie słowu wagi i wartości oraz odnowienie więzi z naturalną emocją. Poeta nawraca do tradycji powszechnej, do klasycyzmu. Opiewa on ludzką troskę, ból istnienia i tęsknotę. Jeżeli chodzi o związki z poprzednikami, o wiele bliżsi mu są Putinas i Kirsa, niż „niepodległościowcy". W roku 1947 ukazał się w Rzymie pośmiertny tom jego wierszy pt. „Wizje" (Vizijos). Po raz pierwszy może w poezji litewskiej, w formie tak pięknej i wyrazistej, został zaakcentowany fatalizm ludzki, o zabarwieniu egzystencjalistycznym. Macernis jest jednym z pionierów oderwania się od panującej w poezji litewskiej folklorystycznej ornamentyki i symbolizmu oraz wprowadzenia elementów kultury powszechnej.

Jednym z filarów ,,Ziemi'' jest również Henrikas Nagys (ur. 1920). Był on może pierwszym z młodych, który instynktownie poczuł niebezpieczeństwo ugrzęźnięcia w tłumie licznych epigonów poprzedniego pokolenia i postanowił ,,przemówić inaczej''. Pod względem formalnym i światopoglądowym Henrikas Nagys wyrósł pod wpływem niemieckiej poezji post-naturalistycznej (George, Rilke, etc.) oraz filozofii Fryderyka Nietzsche. Jak i całe pokolenie poniepodległościowe, Nagys pragnie rozwiązać problem ludzkiego bytu. Jest to reakcja przeciw fałszywemu stosunkowi do człowieka, jaki mieli ,,niepodległościowcy'' w swojej sentymentalnej i społecznej postawie. Henrikas Nagys kroczy drogą przeżycia intelektualnego. Dominującym tematem pierwszego tomu jego poezji pt. ,,Wiersze'' (Eilerasciai, 1946) jest samotność człowieka w obliczu Boga i świata, apoteoza powołania poetyckiego oraz erotyka, pojęta i wyrażona na płaszczyźnie intelektualnych wzruszeń. W następnym tomie — ,,Noce listopadowe'' (Lapkricio naktys, 1947) — Nagys w dalszym ciągu szuka nowych tematów i nowych form wyrazu. Jednak w ostatnim tomie — ,,Zegary słoneczne'' (Saułes laikrodziai, 1952) — staje na rozdrożu : pod względem formalnym nawraca do niemieckiego ekspresjonizmu, przewodnią zaś nutą tematyczną jest porażka młodzieńczej przygody.

Kończąc ten krótki przegląd, należy jeszcze raz podkreślić zderzenie pokolenia ,,zemininkai'' z pokoleniem ,,niepodległościowców'', które przybiera nieraz formy otwartego konfliktu. Wynikające sprzeczności są całkiem naturalne i wywodzą się z różnic psychologicznych, istniejących między dwoma pokoleniami. Jednak formy tego konfliktu są raczej ,,powszednie'' i wynikają z obecnej sytuacji literatury i narodu litewskiego. Zrozumiałe też jest, że spór toczy się przeważnie na temat postawy patriotycznej, czyli stosunku poezji do patriotyzmu.

W literaturze litewskiej dominującym rodzajem zawsze była poezja. I obecnie okazuje ona największą żywotność, chociaż istnienie i rozwój jej ogranicza się do twórczości poetów emigracyjnych. Ci, którzy pozostali w Kraju, nie mają prawa kultywowania poezji w pełnym tego słowa znaczeniu. Wszyscy oni, zarówno starsi jak i młodzi, uprawiają poezję, która jest jałowym operowaniem urzędowymi hasłami propagandy. Innej drogi nie mają.

Alfonsas NYKA-NILIUNAS

Przypisek Redakcji ,,Literaturos Lankai'' : *Autor powyższego artykułu Alfonsas Nyka-Niliunas jest jednym z uczestników ,,Ziemi'' i utalentowanym poetą, o zabarwieniu mistycznym. Rzec by można, jest on przedstawicielem tendencji chrześcijańskiego egzystencjalizmu w poezji litewskiej. Dzieciństwo, rodzinny dom, tęsknota za ,,utraconym rajem'', wyzwolenie się*

z wszelkich iluzji doczesnych i wiara w zbawienie, do którego prowadzi twarde cierpienie i walka — są głównymi motywami jego poezji. Nyka-Niliunas jest może ,,najproblematyczniejszym'' poetą wśród swoich rówieśników. Ziemia dla niego jest ,,tymczasową rzeczywistością'', do której ludzie są przykuci i skazani na beznadziejną walkę o wieczność. Świadomość, że cała ta walka skończy się śmiercią i niczym, pesymistyczną postawę poety przeistacza w tragiczną.

Alfonsas Nyka-Niliunas jest autorem dwu tomów poetyckich: ,,Symfonie zguby'' (Praradimo simfonijos, 1946) *i ,,Drzewo Orfeusza'' (Orfejaus medis,* 1953).

Pokwitowanie

Korzystam z okazji ogłoszenia przez ,,Kulturę'' wierszy poetów litewskich, zgrupowanych w piśmie ,,Literaturos Lankai'', żeby napisać parę słów, które są jakby kwitem odbioru. Chodzi o rzecz następującą: Nakładem, i jako pierwszy tom Biblioteki tego pisma, ukazał się niedawno w Buenos Aires wybór moich wierszy pt. ,,Epochos samoningumo poezija'' (,,Poezja świadoma epoki''), w przekładzie na język litewski, którego autorem jest Juozas Kekstas. Wybór ten, pięknie, po bibliofilsku, wydany, liczy 92 strony i zawiera moje wiersze z różnych okresów; posłowiem zaopatrzył go Alfonsas Nyka-Niliunas.

Tomy wierszy polskich poetów współczesnych w przekładzie na języki sąsiadów należą do rzadkości. Tym bardziej powinna zdumiewać książka polskiego autora ukazująca się po litewsku w Argentynie. Należy sobie uświadomić jak wiele przeszkód musieli pokonać i tłumacz, ciężko pracujący na życie, i wydawcy, nie subsydiowani przez żadne państwo, żeby swój zamiar doprowadzić do skutku. Nad samym tym faktem warto się zastanowić.

Tak zwana współpraca kulturalna — i przyjaźń między narodami — wynika często z przesłanek politycznych, to jest najpierw dochodzi się do wniosku, że warto tę przyjaźń — z takich czy innych względów — propagować, a następnie szuka się książek które, tłumaczone, mogłyby pomóc w osiągnięciu celu, stwarzając przychylną atmosferę. Czasem jednak bywa zupełnie inaczej i żadne założenie polityczne nie decyduje o wyborze autorów piszących w innym języku. Z dwuch tych metod druga przede wszystkim wydaje się prowadzić do prawdziwej przyjaźni. Kekstas przełożył moje wiersze z powodów wyłącznie literackich; podobały mu się już moje utwory przedwojenne. Nie to, że urodziłem się w centrum Litwy, czy też że noszę to samo nazwisko co Oskar Miłosz, miało dla niego wagę. Istnieje pomiędzy mną i poetami z ,,Literaturos Lankai'' rodzaj pokrewieństwa i ono, jak sądzę, wyjaśnia sekret. Jest to może nieco podobna wrażliwość na elementy treściowe poezji, zbliżony stosunek do zagadnień rytmu, a kto wie czy nie analogiczna postawa wobec przemian poezji w ciągu ostatnich paru dziesiątków lat, co wymagałoby przedyskutowania, bo w Litwie i w Polsce te sprawy układały się nieco odmiennie. Wreszcie, jeżeli moje wiersze mogły skłonić Kekstasa do ułożenia z nich całej książki, nie stało się to może bez udziału geografii; na sposób odczuwania wpływają drzewa, rzeki, barwy nieba, twarze ludu widziane w dzieciństwie, owo nieuchwytne ,,coś'' stanowiące duszę każdego kraju — w tym sensie jestem ,,Litwinem'' — i temu niezasłużonemu względowi mogę, między innymi, przypisać zdolność trafienia poezją do litewskiego czytelnika.

Książka ta jest dla mnie bardzo cenna. Może to źle szczycić się nią publicznie, ale równie źle byłoby nic o niej nie powiedzieć.

Czesław MIŁOSZ

Wiersze

Z TAMTEGO SNU

Nic nie zostało
z tamtego snu.
Jest tylko wzrok nieżywej rzeki,
kropla kamienia,
ślad łzy, stopniały ból,
stężały zapach szklanego wiatru
i echo kroków.

(Szalona przestrzeń śmiała się, widząc
na skraju nieba zamek z jasnych gwiazd
w którym zamieszkał Eros i Psyche.
Zwalone drzewa wybuchły w górę
i w czarne niebo wrosły korzeniem,
chwiejąc się w dół,
to znów tarzały się, iglastą grzywę
nurzając w kłęby chmur,
a przez gałęzie wzrok umarłych
jarzył się jak świeca.
Lecz błyskawica stalowym ciosem
trzasnęła w serce — rozcięła sen —
i świt wytrysnął).

Czuję życie jak gorycz kamienia.
Ołów cmentarnej łzy na ustach.

Juozas KEKSTAS

PIEŚŃ NIEŻYWEGO ANIOŁA

Księżyc, o który wsparłem mój wzrok,
przygląda mi się i nie rozumie. Drzewa

(gałęzie cierpkiego oczekiwania)
umilkły w rzece. Kwiaty,
co wszelkie światło straciły,
ugięły się w sobie i zgasły. Ludzie,
niech was nie dziwi ta ciemność.

Oto stoję przed wami nagi,
moje kości są białe i ostre,
doły oczu czarne,
lód czaszki trzeszczy, zęby
stały się twarde i słowom wydarły prawo
[do narodzin.

Oto stoję przed wami,
skrzydła mam podarte,
anioł umarły
który się żywił
wszelkim owocem z drzewa wiadomości
w królestwie dobra i zła.

Juozas KEKSTAS

KONIEC LATA

Tak ludzie
zburzyli
podniesienie chmur.
A było wielkie święto,
słońce i h o s a n n a
i n e x c e l s i s :
chwała nieba i ziemi. Dzisiaj
w naszym wzroku błoto i głód.
Ludzie zburzyli podniesienie nieba
w swoich oczach.

Mamy iść drogą która wmawia nam
wilgoć i mgłę. Doły włóczęgów
w przydrożnej trawie, szkielety snu.

Czy wypowiemy słowo, które
kamieniem i ogniem będzie, gaszącym noc?
O nocy,

ty chlebem i trumną nam będziesz,
błogosławionym bólem ludzi,
co utraciwszy święto szukali siebie i tu,
gdzie wszystko miało być żniwem,
zastał nas koniec lata.

EWOKACJA RODZINNEGO MIASTA

Dniu mój, dniu, na rzece
kra pocięta, na dłoni
świt, nabrzmiały wspomnieniem twoim,
wspomnieniem dróg i lasów,
dębem szumiących pod chmurą.

Miasto upadłe, miasto,
stolico bólu, stolico przemarszów
płynących z zachodu na wschód
i ze wschodu na zachód, kiedy,
stolico płonąca, znów będziesz moją,
kiedy powiesz mi słowa miłości
zapadłej w fosę z kamienia
pod zamkiem o fladze z trzech barw?

Trójbarwna i trójjęzyczna
stolico umarłych dni.

Juozas KEKSTAS

STRZAŁA W NIEBIE

Jestem jak strzała, którą w białą jabłoń
Wystrzelił chłopiec nad zielonym morzem
I chmura kwiatów pieniąc się, jak łabędź
Spadła na fale,
I dziwi się chłopiec i nie może piany
Odróżnić od kwiatów.

Jestem jak strzała, którą młody strzelec
Wystrzelił w lecącego orła,
Ale nie trafił ptaka,
Raniąc wielkie, stare słońce,
I cały wieczór zalał się krwią,
I umarł dzień.

Jestem jak strzała, którą obłąkany żołnierz
Wystrzelił z oblężonej twierdzy
W niebo wszechpotężne,
Błagając o pomoc, ale strzała
Boga nie znalazła i, bojąc się wrócić,
Błąka się między gwiazdami.

Henrikas RADAUSKAS

PLEMIĘ

Moje plemię hartują ciosy —
Dźwięk tarczy, okutej miedzią —
Jego życie piję jak rzekę.
Pod kopcami rosnących kurhanów
Pokolenia kładą się do snu
Żeby zastępy tych co przyjdą po nas
Rosły jak szumy zboża.

Kazys BRADUNAS

PRZEKRÓJ

Ta bruzda przesiąknięta jest solą,
Sól nie niszczeje —
Świeci jak kryształ.
Przy stole zbierają się duchy
Na świętą ucztę —
To pot naszych ojców.

Tu kamienie są pełne barw —
Barwy nie bledną.
Coraz jaskrawsze są i płoną
Sztandarami śmiertelnych walk —
To krew naszych braci.

Tę ziemię myją ruczaje —
Ruczaje nie wyschną,
Nigdy nie zamarzną.
Ich wodą duchy przy stole
Opryskują się, kończąc swój obrząd —
To łzy naszych matek.

Kazys BRADUNAS

PRZYSIĘGA

Gryząc ziemię, przysięgam świętą nienawiść.
Przed śmiercią i po śmierci ważną jest przysięga.
Ziemia prowadzi mnie jak zakładnika
Z zawiązanymi oczami
Darń mam przy sercu.

Gryząc ziemię, przysięgam śmiertelną wierność.
Przed śmiercią i po śmierci ważna jest przysięga.
Ziemia ogłasza dziś przymierze ze mną
Mówiąc niemymi ustami.
Darń mam przy sercu.

Kazys BRADUNAS

ZMARTWYCHWSTANIE

Wspaniałe będzie nasze ziemskie zmartwychwstanie.
Wyzwolony spod ruin i śmierci i wiedzy
Mój duch, wezwany, niosąc w dłoni kreta,
Zatrzyma się przed słońcem w wiosenne południe.

Nade mną, w trawie, będą leżeć wielkie oczy.
Wiatry będą igrały nad grobem umarłych w dzieciństwie aniołów.
Prądy potężne z nieba i z ziemi wytrysną
I będzie przypływ mnóstwa niepłaczących oczu
Otwierających ogromny krajobraz.

Szum ich błysku obudzi studnie i otworzy okiennice.
Drewniana jednooka lalka zacznie nagle biec
Przez wieś, ogłaszając mój powrót.
Drewnianą ręką będzie prowadziła mnie
Szepcząc słowa których w dzieciństwie nie rozumiałem.
Podam jej kreta w blasku słońca
(Jej twarz dziewczęca będzie czysta, jak u Vermeera van Delft),
I pójdziemy brzegiem z szeroko otwartymi oczami
Patrząc na muskularnych aniołów powstających z grobu
I na padających bogów
Których długo będą trzymały w rękach biedne dzieci.

Alfonsas NYKA-NILIUNAS

WIZJA

W święto błogosławienia wiosennych pól i ziemi
Radość była w domu moich praojców.
Wieczorem jasne światła kładły się pod oknami
I słychać było dźwięk śmiechu.

Z dalekiego zachodu, z północnego mrozu przychodząc,
Zebrały się plemiona w domu moich praojców
I przemówiły starym, szlachetnym swoim dialektem.
A tajemniczy uśmiech znów się jarzył
Na twarzach pięknych kobiet z pochyloną głową.

Spacerowały pod zielonym cieniem
Dziewczęta jasnowłose i wysokie
Czując pod luźną suknią lekki dotyk wiatru.
Wieczór palcami chłopca muskał im nagie plecy
I w piersiach budził nieznajome drżenie.

Tego wieczoru wino było ciemne, zapach kwiatów
Odurzał i płynął przez ciemność jak ruczaj.
Wielka powódź radosnej rzeki długo w noc
Opowiadała o szczęściu szeptem fali.

I tylko o północy zmrużyły się oczy świateł.
Okryła dom po uczcie powaga snu.
W moim pokoju tylko białą firanką biegł promień księżyca
I w sercu drżało czyste światło wieczoru.

Za oknem była przestrzeń ciemnych i szerokich równin
I na śpiące pagórki wypłynęło żyto.
Przez sad wyszedłem w pole, wołała mnie biała droga
Żebym za marzeniem szedł i szedł.

Naokoło, na krawędzi nieba, czarne lasy
A na łąkach słała się biaława mgła.
Nagle, nie wiem skąd, legendę przypomniałem
O królewskim kwiecie który kwitnie w kraju wschodzącego
[słońca.

...Te różowe płatki kiedy na twarz albo serce człowiekowi padną
Oświeci jego dnie słońce nieśmiertelności...
Z jego ust ulecą nieskażone słowa,
Wzbiją się jak rój złotych pszczół
I napełnią swoim dźwiękiem serca biednych umęczonych ludzi
Każąc im pragnąć

Dni nieśmiertelnych.
W ten wieczór zapomniałem że wieść o kwiecie to legenda.
Byłem młody i wzruszony, płomień uczty
Tęsknotę do krainy cudów zażegł we mnie.
Szedłem polem, polem tej wiosennej nocy wciąż na wschód
Wierząc słowom legendy.

Wiele dni przeszło. Ale w sercu został ślad dziwnej legendy
I pęka wieczorami łańcuch który mnie pęta.
I, wolny, lecę w jasne, legendarne kraje
Skąd wieje ciepły i rzeźwiący wiatr.

Idę znów ziemią drżących i łagodnych cieni,
Mijam drzemiące pola i zarysy gór.
Serce bije mi mocno, czuję zapach królewskiego kwiatu,
Widzę jak dźwiga się na wschodzie słońce.

Wrócę kiedyś do domu praojców, z królewskim kwiatem w ręku.
Wyjdzie mi na spotkanie tłum zachodnich i północnych plemion
Przybyłych na święto błogosławienia ziemi.

Vytautas MACERNIS

SZALONY ZEGARMISTRZ DWUDZIESTEGO WIEKU

Oni nie mają serca, ani śladu serca
W swojej piersi — ci ludzie.
Przykładam o północy
Ucho do skóry,
Sam ją oddarłem — i słyszę jak bije
Żelazny zegar.

Oni nie mają serca. Nie mają sercą.
Przychodzą jak sine widma
Pod moje okna — ale tajemnicy
Nie odbiorą, nie wykradną, nie rozedrą.
Niosę ją mocno w piersi —
Jest tak łagodna, i tak się tuli.

Nie powiem nic. Ziemia szeroka, zielona
Tajemnicę przykryła i milczy.
Wyszedłem na pola za miastem
I wykopałem głęboki dół;
Położyłem zegar na dnie,
Przykryłem darnią i nikt
Nie znajdzie go beze mnie.

Nie powiem nic. Ale zegar grzęźnie coraz głębiej
I rośnie, i rośnie, i rośnie.
I w ciche, jasne księżycowe noce,
Kiedy ucho przytykam
Do wilgotnego bruku — dobrze słyszę
Jak kółka szybko się kręcą
I jak bije żelazny i stary
Wielki zegar ziemi.

Henrikas NAGYS



I.

I słońce ułmiecha się do mnie,
I wiatr bawi się moimi włosami, kiedy chodzę po mieście,
Ale jest mi smutno :

Wszędzie, dokąd się zwrócę,
Obijam się o szorstki i zimny mur :
Róże
I skrzydła motyli są wyciosane z kamienia,
Usta ludzi i oczy ludzi są wyciosane z kamienia,
Od tej chwili, kiedy opuścił mnie Bóg.

II.

Brak nadziei to kamień, którego prąd rzeki nie zdoła dźwignąć.
I tak ten kamień zostaje, trwa w sercu.
Czas przesłoni go mułem, przykryje
Żałobną wodną trawą, i tylko
Bóg chyba będzie wiedział, jak boli mi serce
Jak boli samotne serce.

III.

Patrzę jak zaczyna się ciemność,
Widzę jak zwalone drzewa padają w ciemność.
Tak. To jest początek nocy.
To jest czas nietoperzy.
Wkrótce zupełnie się ściemni, więcej nie zobaczę
Tego białego świata.
Będę słuchał nad rzeką jak w wodę uderza
Wodny młyn starym kołem.

IV.

Ostatnie promienie słońca
Są miękkie jak dłoń dziecka :
Nie można się nimi nacieszyć
Nie można ich zapomnieć
Jak nie można zapomnieć pierwszej miłości
Dawno minionej.

Vladas SLAITAS

NIECH PADA DESZCZ

Kiedyśmy stali
Pod gałęziami,

Słyszeliśmy
Jak cicho
Drżał między liśćmi wiatr.

I noc nas wiązała i łączyła,
I deszcz nas wiązał i łączył,
Deszcz bez zamiaru
I deszcz bez bólu.

A kiedyśmy szli
Dalej —
W szarych zatokach
Słyszeliśmy
Ciężkie oddechy okrętów.
A deszcz padał na port,
Na bruk,
I noc i drzewa
I szare zatoki
Były pełne
Dziwnego szmeru.

Niech pada deszcz,
Niech pada,
Deszcz bez zamiaru
I deszcz bez bólu.

Jonas MEKAS

CZAS

Imiona wodom i dniom
Przygotowuje na morzu deszcz,
Brat mój w milczeniu i pieśni,
Bajarz i augur.

Stopione z czasu i szczęścia
Ciche spadanie w noc która dojrzewa.
Klucz do nas, klucz do przeszłości — deszcz
I tyka w piersiach krew.

Jurgis BLEKAITIS

(*Wszystkie wiersze, zarówno własne jak i pozostałych autorów, tłumaczył z litewskiego Juozas* KEKSTAS).

Nota: Vladas SLAITAS, Jonas MEKAS i Jurgis BLEKAITIS, mimo że nie należą do grupy „zemininkai", są jednak do tej grupy bardzo zbliżeni i kroczą jej śladami, współpracując w piśmie „Literaturos Lankai". Najmłodsi ci poeci debiutowali niedawno oryginalnymi tomikami swych wierszy: Vladas Slaitas — „Ludzkie psalmy" (Zmogiskosios psalmes), Jonas Mekas — „Semeniskie idylle" (Semeniskiu idiles) i Jurgis Blekaitis „Imiona wodom i dniom" (Vardai vandenims ir dienoms).

Pociąg nie miał spóźnienia

3

— Teraz — mówi Willi — jedziemy do biura stemplowego. Właśnie o piątej je otwierają.

— Czy możesz mi dać na chwilę mapę? — pyta Andreas blondyna, ale zanim ten wyciągnął ją z plecaka byli już u celu. Przejechali niewielki odcinek szerokiej i melancholijnej c.k. alei i zatrzymują się w dzielnicy willowej, już z widokami na pola, tym razem przed polskim domem. Dach jest zaledwie pochyły, fasada brudno-żółta, wąskie wysokie okna z, przypominającymi Francję, na szaro pomalowanymi okiennicami, o wąziutkich łamliwych szczelinach. To jest polski dom, tu ma być biuro stemplowe, jednak Andreas nie żadnej wątpliwości, że to po prostu burdel. Cały dom jest gęsto zasłonięty bukowym żywopłotem sięgającym piętra, lecz gdy minęli ogród Andreas widzi parterowe okna. Są pootwierane...

Widzi firanki w kolorze brudnego cynamonu prawie ciemno-brązowe w czerwone pasy. — Tu można dostać wszystkie stemple z całego świata, trzeba je tylko znać i nie wahać się. — Stoją przed wejściem ze swoimi bagażami, Willi pociąga dzwonek, trwa dobrą chwilę nim w głuchym, nieprzytulnym domu usłyszeli jakieś ruchy. Andreas czuje, i jest pewien, że są obserwowani; obserwowani są długo, tak długo, że Willi już się niecierpliwi. — Psiakrew — mówi gniewnie — przede mną nie potrzebują nic ukrywać. Chowają wszystko podejrzane, jeśli pod drzwiami stoi ktoś im nieznany. — Wreszcie otwiera drzwi mocno podstarzała dama, słodko uśmiechnięta i z otwartymi ramionami wita Willego: — Zaledwie poznałam — mówi — proszę bardzo, proszę zachodzić, a ci? — mówi wskazując dość nieprzychylnie dwóch pozostałych. — To są bardzo, bardzo młodzi koledzy, za młodzi dla naszego domu.

Weszli wszyscy trzej i złożyli swoje pakunki w przedpokoju.
— Potrzebne nam są stemple na kurier na jutro o 5-ej rano!

Dama patrzy niedowierzająco na obu młodych, jest trochę zakłopotana. Jej siwiejące włosy są niewątpliwie peruką. Wąska, ostro wycięta twarz z szarymi wyblakłymi oczami jest dyskretnie uszminkowana. Ma elegancką suknię w czerwony i czarny deseń, zapiętą bardzo wysoko pod szyją, najwidoczniej dla ukrycia zwiędłej skóry. Powinna nosić bardzo wysoki kołnierz, taki generalski, myśli Andreas.

— Dobrze — mówi dama ociągając się — i... i...?

— Może coś do wypicia i dla mnie dziewczynkę, dla was też? pyta Willi.

— Dla mnie nie — odpowiada Andreas.

Blondyn jest czerwony i poci się z przerażenia. To dla niego musi być straszne, myśli Andreas, lepiej chyba żeby wziął dziewczynę.

Nagle Andreas usłyszał muzykę. Tylko urywek, kilka tonów muzyki. Musiano otwierać drzwi do jakiegoś pokoju z radiem i przez chwilę, gdy drzwi były otwarte, słyszał urywek muzyki, jakby ktoś manipulował radiem... Jazz... żołnierskie śpiewy.. dźwięczny głos i urywek Schuberta... Schubert... Schubert... Już drzwi zamknięte, nic nie słychać, lecz Andreas czuje się tak, jakby go trafiono w serce, otwierając w nim nieznaną, ukrytą tamę: blednie, chwieje się, opiera się o ścianę. Muzyka... urywek z Schuberta... dziesięć lat życia dałbym żeby raz jeszcze całego Schuberta wysłuchać, ale mam tylko dwanaście godzin i trzy kwadranse. Już z pewnością jest piąta.

— A pan — mówi stara dama. Jej usta są obrzydliwe, wąskie, skośnie wycięte, znające tylko pieniądze, podobne do otworu glinianej skarbonki. — Pan — pyta zakłopotana, — pan nic nie chce?

— Muzyki — jęknął Andreas. — Czy można tu kupić i muzykę. — Ona patrzy z niedowierzaniem i niezdecydowanie.... Na pewno wszystko już sprzedawała, stemple, dziewczyny, pistolety... te usta wszystkim już handlowały, lecz nie wiedzą, nie są pewne, czy muzykę można sprzedać.

— Ja... — mówi zwlekając — muzykę... oczywiście. — Zawsze na wszelki wypadek lepsza jest potwierdzająca odpowiedź. Powiedzieć „nie" można później. Jeżeli od razu mówi się „nie" to już interes w ogóle przepada.

Andreas pyta ponownie: — Czy może mi pani sprzedać muzykę?

— Bez dziewczyny nie mogę — śmieje się kobieta.

Andreas zerka boleśnie na Willego. Nie wie co to może kosztować. Muzyka i dziewczyna w dodatku. Lecz niebywałe,

Willi od razu zrozumiał spojrzenie i woła: — Chłopie drogi, pomyśl o hipotece! Istnieje przecież polska hipoteka, wszystko do nas należy.

— Dobrze — odpowiada Andreas starej — biorę muzykę i dziewczynę. — Widocznie drzwi spoza których dochodziła muzyka zostały otworzone przez trzy dziewczyny stojące teraz w korytarzu. Dwie brunetki, jedna miedzianowłosa. Słyszały rozmowę handlową, śmieją się. Willi wita dawną znajomą — miedzianowłosą, dziewczyna obejmuje go a do starej woła: — Przyślij mu *śpiewaczkę operową*. — Brunetki śmieją się, jedna z nich zabiera blondyna, kładzie sobie jego rękę na ramieniu. Blondyn dostaje spazmów, chwieje się jak trzcina na wietrze, brunetka chwyta go, podtrzymuje i szepcze: — Nie bój się, mój chłopcze... nie trzeba się bać! — W gruncie rzeczy to dobrze, że blondyn szlocha, Andreas też chciałby płakać. Wody wstrzymywane dotąd przez tamę pchają go gwałtownie w kierunku, gdzie ściana została przebita. Nareszcie i ja będę mógł płakać, ale nie w obecności tej glinianej skarbonki znającej tylko pieniądze. Może będę płakał przed tą „śpiewaczką operową"?

— Tak — mówi szyderczo pozostała bez przydziału brunetka, — jeśli zachciało mu się muzyki poślij go do operowej śpiewaczki — odwraca się a Andreas, wciąż jeszcze oparty o ścianę, słyszy znów otwierane drzwi i znowu dolatuje go urywek muzyki, ale to już nie Schubert... to coś z Liszta... Liszt także jest piękny... Liszt także może mnie zmusić do płaczu, myśli, trzy i pół roku już nie płakałem...

Blondyn szlocha jak dziecko na piersiach brunetki, a jego płacz jest teraz inny, już nie słychać w nim bagien Siwaszu, tylko ból, dużo bólu. Miedzianowłosa, o łagodnym wyrazie twarzy, mówi do obejmującego ją Willego: — Kup mu śpiewaczkę operową, on jest taki miły, naprawdę taki miły z tą swoją muzyką. — Ręką posyła „miłemu" całusa i powtarza: — On jest taki młody i miły, musisz, mój stary, kupić mu i operową śpiewaczkę i fortepian...

— Hipoteka, cała lwowska hipoteka jest dla nas! — woła Willi.

Andreas idzie teraz ze starą po schodach, później wzdłuż korytarza z wieloma zamkniętymi drzwiami, wchodzi do pokoju z kilkoma wygodnymi fotelami, otomaną i fortepianem...

— To jest mały bar dla intymnych uroczystości — mówi stara. — To kosztuje sześć papierków za całą noc, a operowa śpiewaczka kosztuje na całą noc dwa i pół papierka, nie licząc tego co pan zechce otrzymać z baru.

Andreas zapadł w jeden z foteli, tylko skinieniem głowy

potwierdza starej, jest bardzo rad, gdy wreszcie zostaje sam. Na korytarzu słyszy wołanie starej: „Olina... Olina...

Powinienem był tylko fortepian wynająć, myśli, tylko fortepian, lecz znów wstrząsnął się na myśl, że znalazł się w tym domu. Zdesperowany podchodzi do okna i odsuwa zasłonę. Na dworze jeszcze jest widno. Po cóż to sztuczne zaciemnienie, ostatni raz widzę światło dzienne, czemuż je zasłaniać? Słońce stoi jeszcze nad pagórkiem i świeci bardzo ciepło i łagodnie na ogrody i wille. Powinni teraz jabłka zbierać, jest koniec września, tu też jabłka dojrzewają w tym czasie. A w Czerkasach znów jest kocioł zamknięty i „zapchajdziury" będą ich odrzucać. Wszystko będzie odrzucone, wszystko, a ja siedzę tu, przy oknie, w jakimś burdelu, w „biurze stemplowym" gdy tylko dwanaście i pół godzin życia jeszcze mi pozostaje, gdy powinienem modlić się, modlić, klęczeć, lecz jestem bezsilny, nie mogę się przeciwstawić tamie, otworzonej uderzeniem, które mnie tam na dole sięgnęło, uderzeniem sztyletu-muzyki. To dobrze, że pozostanę całą noc tu, z tym fortepianem. Zwariowałem, właśnie fortepian, dlaczego fortepian? Dobrze że Olina przyjdzie, ta „śpiewaczka operowa". Mapy nie mam! zapomniałem, a muszę koniecznie dowiedzieć się co jest czterdzieści kilometrów za Lwowem... koniecznie... to nie może być Stanisławów, nie może być, nie dojadę już do Stanisławowa. Między Lwowem i Czerniowcami.... jak ja pewnie jeszcze niedawno o Czerniowcach myślałem! Z początku gotów byłem zakładać się, że zobaczę jeszcze Czerniowce, przedmieścia Czerniowiec... a tu tylko czterdzieści kilometrów... jeszcze dwanaście godzin...

Zląkł się bardzo cichutkiego szmeru jakby kota wsuwającego się do pokoju. W drzwiach stoi „śpiewaczka operowa", ostrożnie zamyka drzwi za sobą. Jest mała, bardzo delikatna, zgrabna i ładna, ma z tyłu wysoko zawiązane bardzo ładne, złociste blond włosy. Czerwone pantofle, blado zielona suknia. Gdy skrzyżowały się ich spojrzenia, uczyniła gest jakby chciała zrzucić suknię...

— Nie! — woła Andreas.

W tej samej sekundzie żałuje już że tak twardo krzyknął. Wrzeszczałem już tak raz, myśli. „Śpiewaczka operowa" patrzy na niego nie tyle obrażona, co zdziwiona. Wyjątkowo bolesny ton jego głosu ujął ją. — Nie, nie trzeba — mówi Andreas ciszej.

Podchodzi do niej, wraca z powrotem, siada, natychmiast wstaje i pyta: — Czy mogę mówić po imieniu?

— Tak — mówi bardzo miękko — na imię mi Olina.

— Ja wiem, mnie na imię Andreas.

Olina siada na fotelu, który Andreas jej podsunął, przygląda mu się zdziwiona, niemal zalękniona. Andreas podchodzi do drzwi, przekręca klucz. Siedząc obok niej widzi teraz jej profil, piękną linię nosa, ni to okrągłego, ni to ostrego. Nos i usta, nos Fragonarda, myśli. Wygląda jakby rozpustnie, lecz równie dobrze mogłaby być niewinna, tak niewinnie zepsuta jak właśnie pasterki Fragonarda; zresztą ma polską twarz i polski kark, giętki i zwierzęcy.

Andreas częstuje papierosem, lecz nie ma zapałek — ona szybko wstaje, otwiera szafę, wyładowaną butelkami i pudełkami, bierze zapałki, lecz nim je podała, zapisuje coś na leżącym w szafie kawałku papieru.

— Muszę wszystko zapisywać — powiada — nawet taki drobiazg.

Palą i spoglądają na złocisty krajobraz ogrodów lwowskiej dzielnicy willowej.

— Byłaś śpiewaczką operową? — pyta Andreas.

— Nie, tylko mnie tutaj tak nazywają, gdyż studiowałam kiedyś muzykę. Myślą, że jeśli ktoś muzykę studiował to musiał być śpiewaczką operową.

— Więc nie śpiewasz?

— Owszem, ale śpiewu nie uczyłam się, śpiewać mogę, ot tak... tylko.

— A co studiowałaś?

— Fortepian — mówi spokojnie i cicho — chciałam być pianistką.

Niezwykłe, myśli Andreas, i ja chciałem być pianistą. Ostry ból ściska mu serce. Chciałem być pianistą, to było marzenie mojego życia. Grałem już zupełnie znośnie, wcale dobrze, tylko szkoła ciążyła nade mną jak ołów. Najpierw trzeba było zrobić maturę, nic bez matury nie idzie, więc musiałem przede wszystkim mieć już szkołę za sobą, a jak już miałem ją za sobą to był rok 1939, i musiałem iść do służby pracy. Jak miałem już i służbę pracy za sobą wybuchła wojna. Teraz już mija cztery i pół roku jak nie mam możności dotknąć fortepianu. Marzę o tym równie dobrze jak inni marzą aby zostać kiedyś dyrektorem gimnazjum. Ale ja chcę być pianistą, niczego na świecie nie kochałem tak jak fortepianu, ale nic z tego. Najpierw matura, później służba pracy, później wojnę zaczęli, te świnie... Ból tkwi mu w gardle i nigdy nie czuł się tak nieszczęśliwy jak w tej chwili. Dobrze że tak cierpię. Może łatwiej będzie mi darowane, że siedzę tu w lwowskim burdelu obok „operowej śpiewaczki", która kosztuje na całą noc dwieście pięćdziesiąt marek, bez zapałek i bez fortepianu, który kosztuje sześćset. Może wszystko będzie mi darowane, za ten ból, który mnie wprost okalecza; jestem sparaliżo-

wany bólem, tylko dlatego że ona powiedziała dwa słowa: pianistka i fortepian. Zwariowany jest ten ból, siedzi mi w gardle, jak trucizna, i zapada powoli wciąż głębiej, przez przełyk do żołądka i rozłazi się po całym ciele. Przed pół godziną pijąc Sauterne'a byłem jeszcze szczęśliwy, gdyż myślałem o tarasie w Le Treport, gdzie Oczy były przy mnie tak blisko, a teraz przeżuwam ból, siedzę w burdelu obok tej pięknej dziewczyny, której mogłaby mi zazdrościć cała bohaterska i zwycięska niemiecka armia.

Lecz jestem zadowolony że tak cierpię, że padam z bólu, gdyż cierpię, cierpię szalenie w nadziei, że wszystko będzie mi darowane, także i to, że w ostatnich dwunastu godzinach nie klęczę i nie modlę się, nie modlę się w obliczu śmierci. Lecz gdzież tu mogę paść na kolana? Nigdzie na świecie nie mogę tego uczynić bez przeszkód. Chyba powiem Olinie by pilnowała drzwi, pozwolę by Willi zapłacił sześćset marek za fortepian i pięknej śpiewaczce dwieście pięćdziesiąt, nie licząc zapałek, postawię Olinie butelkę wina by nie nudziła się nadmiernie, i...

— Co ci jest? — pyta Olina. W jej łagodnym głosie, od chwili gdy tak gwałtownie wykrzyknął „Nie", wciąż brzmi zdziwienie.

Spogląda na nią i jest mu bardzo przyjemnie patrzeć w jej piękne oczy, szare, bardzo łagodne i smutne. Musi jej odpowiedzieć.

— Nic — odpowiada, lecz zaraz potem zmusza się do wielkiego wysiłku, by z zatrutego bólem gardła wykrztusić kilka zaledwie słów: — Czy ukończyłaś studium fortepianowe?

— Nie — odpowiada krótko. Dalsze naleganie byłoby okrucieństwem. Rzuca papierosa do dużej popielniczki stojącej na podłodze między ich fotelami. Po chwili pyta cicho: — Mam ci to opowiedzieć?

— Tak! — Nie ma odwagi spojrzeć w jej szare oczy, tak idealnie spokojne.

— Dobrze — ale nic dalej nie mówi, patrzy w podłogę, wreszcie podnosi głowę i pyta znienacka: — Ile masz lat?

— W lutym skończyłbym dwadzieścia cztery...

— W lutym skończyłbyś dwadzieścia cztery, skończyłbyś... nie skończysz?

Patrzy na nią zdziwiony. Jak ona subtelny ma słuch! Nagle rozumie że musi jej wszystko powiedzieć, tylko jej. Jedynie ona winna wiedzieć, że jutro rano musi zginąć, jutro rano, kilka chwil przed, lub po szóstej...

— Ach, ja tylko tak powiedziałem — mówi i dodaje niespodziewanie: — Jaka miejscowość leży czterdzieści kilometrów za Lwowem... w kierunku Czerniowiec?

Olina jest coraz bardziej zdziwiona. — Stryj — odpowiada. Stryj? Co za dziwna nazwa, myśli Andreas, muszę ją odnaleźć na mapie. Ale, na Boga, muszę jeszcze modlić się za Żydów ze Stryja. Na pewno w Stryju są jeszcze Żydzi... Stryj.... tam się to stanie, pod Stryjem umrę... żaden Stanisławów i nie Kołomyja i daleko, daleko od Czerniowiec. Stryj! Tam mój kres! Może tego wcale nie ma na mapce Willego...

— W lutym skończysz dwadzieścia cztery lata, zabawne, ja również — mówi Olina — urodziłam się dwunastego lutego 1920 roku.

Patrzą sobie długo w oczy, wreszcie Olina nachyla się ku niemu, odległość foteli jest jednak zbyt duża, więc wstaje, zbliża się i chciałaby go otoczyć ramionami, lecz Andreas wzbrania się: — Nie, nie to, nie gniewaj się, może później... wytłumaczę ci... ja... ja jestem urodzony piętnastego lutego...

Olina nie obraża się, jest uśmiechnięta, zapala papierosa, mamy czas, myśli, wynajął pokój i mnie na całą noc, jest zaledwie szósta...

— Chciałaś mi opowiadać — przypomina Andreas.

— Tak — odpowiada. — Jesteśmy oboje w jednym wieku, to ładnie, tylko o dwa dni jestem starsza. Z pewnością jestem twoją siostrą... — Śmieje się. — Może na prawdę jestem twoją siostrą?

— Opowiadaj jednak... bardzo proszę!

— Już opowiadam. Otóż chodziłam do konserwatorium w Warszawie. Chciałeś o moich studiach usłyszeć, czyż nie tak?

— Tak.

— Znasz Warszawę?

— Nie.

— Aha. Otóż Warszawa to duże i ładne miasto, a konserwatorium było w domu podobnym do tego, tylko park dookoła był dużo, dużo większy. Podczas przerw spacerowaliśmy po parku i flirtowali. Mówiono mi że jestem bardzo zdolna, byłam w klasie fortepianowej. Początkowo myślałam o czembalo, lecz z braku takiej klasy, poszłam do fortepianowej. Na wstępnym egzaminie kazano mi zagrać małą, bardzo prostą sonatę Beethovena. To było niebezpieczne. Te małe, proste rzeczy zamazuje się tak łatwo, lub ujmuje się je nazbyt patetycznie. Najtrudniej jest proste rzeczy dobrze zagrać. To był Beethoven pierwszego okresu, prawie jeszcze klasyczny, prawie Haydn. Bardzo wyrafinowane zadanie na egzamin wstępny, rozumiesz?

— Tak — odpowiada i czuje że się rozpłacze.

— Zdałam bardzo dobrze. Uczyłam się później i grałam aż... no... aż nadeszła wojna. Była jesień trzydziestego dziewiątego. Dwa lata nauki. Dużo się nauczyłam i dużo flirtowałam. Lubi-

łam pocałunki i więcej też, rozumiesz? Umiałam już zupełnie dobrze grać Liszta i Czajkowskiego. Z Bachem nie było tak łatwo, choć tak bym chciała grać go dobrze. No i przyszła wojna... Park za konserwatorium był tak cudowny, były tam ławki i altany; urządzaliśmy czasem festyny, graliśmy, tańczyli... raz był festiwal Mozarta... wspaniały. Umiałam już zupełnie dobrze Mozarta. No i przyszła wojna! — Ucina nagle opowiadanie. Andreas patrzy pytająco. Jej włosy jakby się zjeżyły nad fragonardowskim czołem. Twarz zesztywniała.

— Dajmy spokój — mówi gniewnie — rób ze mną to co inni robią!

— Nie! Opowiadaj dalej!

— Tego nie można ocenić i zapłacić — mówi ze zmarszczonym czołem.

— Można, zapłacę ci taką samą monetą. Opowiem ci także. Wszystko...

Olina nie odpowiada. Patrzy w podłogę i milczy. Andreas przygląda się jej z boku i myśli: jednak ona wygląda na prostytutkę. Pożądanie tkwi w każdej żyłce tej pięknej dziewczyny, i nie jest niewinną pasterką, raczej jest rozpustna. Sprawia mu niewymowną przykrość fakt, że jednak Olina jest tylko sprzedajną dziewczyną. Marzenie było tak piękne.. Olina mogłaby równie dobrze stać gdziekolwiek przy dworcu Montparnasse. Jest rad że ból, który zniknął na kilka chwil, znów wraca... Tak było cudownie słuchać jej łagodnego głosu i opowieści o konserwatorium...

— Nudzę się — mówi nagle Olina. Mówi to zupełnie obojętnie.

— Napijmy się wina — odpowiada Andreas.

Olina wstaje, niemal służbowym krokiem podchodzi do szafy i spoglądając na półki wylicza bez zainteresowania: — Jest czerwone, jest białe, Mosel zdaje mi się.

— Dobrze, napijmy się Mosela!

Przynosi butelkę, przysuwa mały stoliczek, podaje korkociąg i stawia szklanki. On otwiera butelkę, nalewa wino i patrząc w jej gniewną twarz mówi:

— Wypijmy za nasz rocznik tysiąc dziewięćset dwudziesty.

Jej uśmiech jest wymuszony. — Dobrze, ale nie będę więcej opowiadać.

— Czy teraz ja mam opowiadać?

— Daj spokój! Wy umiecie tylko o wojnie bredzić. Słyszę to od dwóch lat. Zawsze o wojnie. Gdy już skończycie... zaczynacie opowiadać o wojnie. To bardzo nudne.

— Więc czego byś chciała?

— Chciałabym cię uwieść. Jesteś jeszcze niewinny? Prawda?

— Tak — mówi Andreas i jest przerażony jej gwałtownym skokiem.

— Wiedziałam, doskonale to wiedziałam!

Patrzy na jej podnieconą, zaróżowioną twarz, i błyszczące oczy i myśli: to zastanawiające, ze wszystkich kobiet jakie widziałem, najmniej pragnę tej, choć jest piękna i mógłbym ją mieć natychmiast. Oh! nieraz przeszywała mnie — wbrew woli i wiedzy — myśl: jak piękne jest posiadanie kobiety. Ale żadnej tak słabo nie pożądałem jak tej. Muszę jej to opowiedzieć, wszystko muszę jej to opowiedzieć, wszystko muszę jej opowiedzieć...

— Olina — mówi wskazując fortepian. — Olina, zagraj mi tę małą sonatę Beethovena.

— Obiecaj mi, że będziesz mnie... że będziesz mnie kochał.

— Nie — odpowiada spokojnie — siądź tutaj. — Sadza ją w fotelu, ona patrzy na niego w milczeniu.

— Uważaj — mówi — teraz ja będę ci opowiadał.

Spojrzał w okno. Słońce już zaszło i tylko słabe resztki światła zalegały jeszcze nad parkiem. Niedługo potrwa a nawet śladu słonecznego światła nie będzie w ogrodzie i już nigdy, nigdy nie zobaczy świecącego słońca, ani nawet małego promyka. Zapada ostatnia noc, a ostatni dzień minął jak inne, bez pożytku, bez sensu. Trochę się modlił, trochę wypił wina a teraz siedzi w burdelu. Czeka aż się ściemni zupełnie. Nie wie jak długo to trwało, zapomniał o dziewczynie, o winie, o całym domu, widzi jeszcze w oddali niknące w ciemności wierzchołki lasu, słabo oświetlone ostatnimi bryzgami słońca. Kilka jaskrawych świateł pysznie czerwonych i niewypowiedzianie pięknych na wierzchołkach drzew. Delikatna korona światła, ostatniego światła jakie może oglądać. Nigdy... jednak jeszcze chwilę, chwilkę na najroślejszym drzewie, najwyżej sięgającym i mogącym jeszcze chwycić złoty promień, który trwa tylko pół sekundy... i znika zupełnie. Jeszcze trochę, myśli z zapartym oddechem... jeszcze odrobina światła nad wierzchołkiem... śmieszny maleńki promyk słoneczny, a ja jestem jedynym człowiekiem na świecie, który zwraca na to uwagę. Wciąż jeszcze... wciąż jeszcze, jak uśmiech bardzo wolno niknący... jeszcze odrobina, i koniec! Światło znikło, słoneczna latarnia zgasła i nigdy jej nie zobaczę...

— Olina — mówi cicho i czuje że teraz może mówić i pokonać ją, gdyż zmrok już zapadł. Kobietę można zwyciężyć tylko w ciemności. Niezwykłe, myśli, czyż tak jest naprawdę? Ma wrażenie, że Olina tylko do niego należy, tylko jemu jest pozostawiona. — Olina — powtarza cicho — jutro rano muszę zginąć. Tak — mówi cicho w przerażoną jej twarz — nie lękaj się! Jutro rano umrę. Jesteś pierwsza i jedyna, która dowiaduje się o tym.

Wiem z całą pewnością: muszę umrzeć. Właśnie słońce zaszło. Pod Stryjem umrę...

Zerwała się i patrzy nań przerażona: — Zwariowałeś — szepcze pobladłymi ustami.

— Nie, wcale nie zwariowałem, to tak jest i musisz w to uwierzyć. Musisz też uwierzyć, że nie zwariowałem, że jutro wczesnym rankiem umrę i musisz mi jeszcze zagrać małą sonatę Beethovena.

Patrzy na niego wciąż przerażona i szepcze: — To... to niemożliwe.

— Wiem na pewno, a ty mi to jeszcze potwierdziłaś mówiąc o Stryju. To właśnie tam. Ta straszna nazwa Stryj. Cóż to za słowo? Stryj? Dlaczego muszę zginąć pod Stryjem? Dlaczego najpierw było między Lwowem a Czerniowcami... później Kołomyja... później Stanisławów... wreszcie Stryj. Powiedziałaś „Stryj" i natychmiast zrozumiałem, że to właśnie tam.

Olina podbiegła do drzwi, patrzy na niego przerażonym wzrokiem.

— Stój! Musisz zostać ze mną. Nie mogę już wytrzymać w samotności, jestem także człowiekiem. Zostań przy mnie Olino. Nie jestem wariatem. Nie krzycz.

Olina z przerażenia nie słyszy nic, nie rozumie jego słów. Patrzy tylko wylękłym wzrokiem, a on nagle uprzytamnia sobie jak straszny jest jej zawód. Gdyby naprawdę był szaleńcem, stałaby teraz przy nim całkowicie bezsilna. Wysłano ją do jakiegoś pokoju, bo ktoś zapłacił za nią dwieście pięćdziesiąt marek; dwieście pięćdziesiąt — jest bardzo kosztowną, małą lalką, „operową śpiewaczką", a musi iść tak jak żołnierz na front. Musi, choć jest operową śpiewaczką, choć jest kosztowną, małą lalką. Straszne życie. Zostaje wysłana do jakiegoś pokoju i nie wie kogo tam zastanie. Starego, młodego, pokrakę czy urodziwego, świnię czy niewinnego. Nie wie a idzie; stoi teraz pełna strachu i zgrozy i z przerażenia nie słyszy co on mówi.. To naprawdę wielki grzech iść do burdelu, myśli Andreas. Tam poślą po prostu do jakiegoś pokoju... Głaszcze teraz delikatnie jej rękę, za którą ją przytrzymał i dziwne — w jej oczach słabnie wyraz lęku. Głaszcze dalej i zdaje mu się jakby głaskał dziecko. Przy żadnej kobiecie nie odczuwałem takiego braku pożądania jak przy niej. Dziecko... Nagle widzi: biedna, mała i brudna dziewczynka na przedmieściu Berlina, bawiąca się w nędznym ogródku między barakami... jakieś dzieci wrzuciły jej lalkę do kałuży... i same uciekły. Schyla się, wyciąga lalkę z kałuży; lalka ocieka brudną wodą, niezdarna, zniszczona, lalka z tanich szmatek; długo musi pocieszać i głaskać strapione dziecko, gdyż biedna lalka tak bardzo zmokła... dziecko...

— Dobrze — pyta — nie prawda? — W jej oczach świecą łzy, lecz skłania twierdząco głowę. Prowadzi ją z powrotem na fotel. Zapadł gęsty zmrok i zrobiło się smutno. Siedzi posłusznie, w jej oczach pozostał jednak ślad przerażenia. Podaje jej wino... pije, później wzdycha ciężko. — Jak ty mnie przestraszyłeś — mówi i chciwie wypróżnia szklankę.

— Olina, masz teraz dwadzieścia trzy lata. Spróbuj wyobrazić sobie, że masz dwadzieścia pięć — mówi przenikliwie. Powiedz sobie: mam dwadzieścia pięć lat. To będzie luty 1945. Spróbuj, pomyśl. — Zamknęła oczy, widzi jak jej wargi coś szepczą po polsku, co musi znaczyć: luty 1945.

— Nie — mówi jak przebudzona i wstrząsając głową dodaje: — Nic nie czuję, tak jakby nic w ogóle nie istniało — zabawne.

— A widzisz. Ja, jeżeli myślę o niedzieli, o jutrze... popołudniu, czuję że ono dla mnie nie istnieje. Tak to jest. Nie jestem wariatem. Widzi jak Olina znowu przymknęła oczy i coś cicho szepcze...

— Niezwykłe — mówi cicho. — Luty 1944, też go nie czuję... Nagle woła: — Ale dlaczego nie chcesz mnie kochać, dlaczego nie chcesz ze mną tańczyć? — Podbiega do fortepianu i gra przebojową melodię: *Tańcząc z tobą, jestem w niebie, w siódmym niebie miłości...*

Andreas śmiejąc się prosi: — Zagraj jednak sonatę Beethovena, zagraj proszę...

Lecz Olina gra jeszcze raz „Siódme niebo miłości". Gra bardzo cicho, tak cicho, jak cicho zmrok wlewa się do pokoju przez rozsuniętą zasłonę. Gra ten sentymentalny przebój bez sentymentalizmu. Tony dźwięczą głucho, niemal odrębnie, bardzo cicho, prawie tak jakby znienacka zamieniła fortepian w czembalo.

Czembalo, myśli Andreas, to dla niej odpowiedni instrument. Powinna czembalo studiować...

To co ona gra to już nie jest ten znany przebój, choć gra wciąż tę samą melodię. Jakże piękny stał się ten przebój, myśli Andreas, niesamowite co ona z niego robi. Może studiowała kompozycję i teraz popularną melodię przetwarza w sonatę zwisającą w ciemności. Chwilami skanduje dawną melodię czysto, jasno, bez czułostkowości: „Tańcząc z tobą, jestem w niebie..." chwilami spośród łagodnych, fraszkowych fal, wydobywa całą rafę motywu.

Ściemniło się prawie zupełnie, zrobiło się chłodno, lecz nic go to wszystko nie wzrusza. Muzyka jest tak cudowna, że nie wstałby zamknąć okna, nie ruszyłby się... gdyby nawet trzydzieści stopni mrozu wiało z lwowskich ogrodów... Może to sen

i tylko we śnie jest rok 1943 i ja w szarym mundurze armii Hitlera siedzę w jakimś lwowskim lupanarze. Może to sen, może jestem w siedemnastym, może w osiemnastym wieku i siedzę w salonie mojej kochanki, a ona gra na czembalo tylko dla mnie, całą muzykę świata tylko dla mnie... jestem w zamku jakimś, we Francji, lub w Nadrenii i słucham tonów czembalo w osiemnastowiecznym salonie, granych przez kochającą mnie i grającą tylko dla mnie, jedynie dla mnie. Cały świat do mnie należy w tym mroku; zaraz zapalimy świece, lecz nie zawołamy służby... żadnej służby... ja sam je zapalę zwitkami papieru, zwitki zrobię z książeczki wojskowej, zapalać je będę od kominka. Ale kominek się nie pali, więc sam zapalę najpierw kominek. Chłód i wilgoć ciągną z parku, więc uklęknę przed kominkiem, starannie ułożę drewka, poskręcam całą książeczkę wojskową i podpalę zapałkami, które Olina zapisała, a za te zapałki zapłaci lwowska hipoteka. Będę klęczał u jej stóp, gdy ona z czułą niecierpliwością będzie oczekiwać by ogień rozpalił się na kominku. Jej nogi zziębły przy czembalo; długo, długo siedziała w chłodzie i wilgoci przy otwartym oknie i grała dla mnie, moja siostra, grała tak cudownie, że nie chciałem wstać by zamknąć okno... rozpalę piękny, jasny ogień, nie potrzebna nam jest żadna służba, tylko bez służby! Jak to dobrze, że drzwi są zamknięte...

1943. Straszliwe stulecie; jakże wstrętne stroje noszą mężczyźni; ubóstwiają wojnę i noszą mundury zgniłego koloru. My, myśmy wojny nie ubóstwiali, wojna była uczciwym rzemiosłem, przy którym czasem można było zarobić; ale przy tym rzemiośle nosiliśmy barwne stroje, równie barwne jak lekarze, burmistrze... i dziewczyny . A wy, wy nosicie wstrętne mundury, ubóstwiacie wojnę, walczycie za wasze ojczyzny: obrzydliwe stulecie; 1943...

Mamy całą noc, całą noc przed sobą. Zaledwie dopiero w parku zapadł mrok, drzwi są zamknięte i nikt nie może nam przeszkodzić; cały zamek jest dla nas; wino, świece i czembalo! Osiemset pięćdziesiąt marek nie licząc zapałek; miliony pod Nikopolem! Nikopol!... nic! Kiszyniów... nic! Czerniowce?... nic! Stanisławów? nic! Stryj... Stryj... ta okropna nazwa, jak szrama, jak krwawiąca rana na mojej szyi! Pod Stryjem będę zamordowany. Każda śmierć jest morderstwem, każda śmierć na wojnie jest morderstwem, za które ktoś jest odpowiedzialny. Pod Stryjem!

Tańcząc z tobą, jestem w niebie, w siódmym niebie miłości!

To nie jest sen znikający z ostatnimi tonami tej muzycznej parafrazy, to tylko rozrywa się wątła pajęczynka, jaka nad nim zawisła, i dopiero teraz, w otwartym oknie i w chłodzie zapa-

dającego mroku spostrzega że płakał. Nie wiedział o tym i nie czuł, lecz jego twarz jest wilgotna i delikatne, drobne ręce Oliny ścierają łzy, których maleńkie strumyki spływają po jego policzkach, zbierając się i prawie piętrząc na zapiętym kołnierzu; Olina odpina haftki i chusteczką osusza jego szyję, policzki i oczy, a on jest wdzięczny za jej milczenie...

Ogarnia go trzeźwa wesołość. Olina zapala światło, odwracając twarz zamyka okno, możliwe że także płakała, podchodzi do szafy. Tak niewinnej radości jeszcze nie zaznałem nigdy, myśli; zawsze pragnąłem tylko, zawsze pożądałem nieznanej mi istoty, i pragnąłem jej duszy, a tu nie pragnę niczego... To niezwykłe, żeby poznać takie uczucie dopiero w lwowskim lupanarze, ostatniego wieczoru mego życia, na progu ostatniej nocy mego ziemskiego istnienia, które jutro rano zgaśnie pod Stryjem, zdławione krwawiącą raną...

— Połóż się! Ja zrobię kawę — mówi Olina wskazując małą sofę i włączając elektryczny grzejnik w pełnej tajemnic szafie, — a przy tym będę ci dalej opowiadała...

Kładzie się, ona siada przy nim. Palą oboje, pod ręką, na taboreciku mają wygodnie ustawioną popielniczkę.

— Nie muszę ci chyba mówić — zaczyna że nie wolno ci nic i nikomu powiedzieć o tym co usłyszysz. Zwłaszcza gdybyś... gdybyś nie zginął — zawsze dotrzymasz tajemnicy, wiem. Musiałam przysięgać mojej polskiej ojczyźnie na Boga i wszystkie świętości, że nikomu nic nie powiem, ale gdy opowiadam tobie, to tak jakbym mówiła do siebie; nie mogę nic przed tobą zataić, tak jak nie skrywam przed sobą! Wstaje i uważnie nalewa wrzątek do małego dzbanuszka, a przy tym, w krótkich przerwach ostrożnego zalewania kawy, uśmiecha się do niego. Teraz widzi, że i ona płakała. Po chwili napełnia filiżanki i stawia obok popielniczki.

— W trzydziestym dziewiątym nadeszła wojna. Moi rodzice zginęli pod gruzami naszego dużego domu, a ja zostałam sama w ogrodach konserwatorium, gdzie tyle flirtowałam. Dyrektor został wywieziony, bo był Żydem. Ja straciłam ochotę do dalszych studiów. Niemcy w jakiś sposób zgwałcili nas wszystkich, wszystkich bez wyjątku.

Piją oboje łyk kawy, ona uśmiecha się do niego.

— Niebywałe, jesteś Niemcem, a ja nie czuję nienawiści do ciebie. — Przerywa opowiadanie i znów uśmiecha się do niego. Zadziwiające, myśli Andreas, jak prędko ją zwyciężyłem. Gdy szła do fortepianu, chciała tylko mnie uwieść, a gdy zagrała po raz pierwszy: *Tańcząc z tobą, jestem w niebie, w siódmym niebie miłości*, wszystko było jeszcze niejasne. Gdy zagrała dalej, zaczęła płakać...

— Cała Polska — szepcze dalej jest jednym ruchem oporu. Wy nie macie o tym pojęcia. Nikt się nie orientuje w ogromie ruchu. Trudno znaleźć Polaka niepatriotę. Jeżeli któryś z was sprzedaje nam rewolwer, powinien wiedzieć, że sprzedaje tyle żyć swych kolegów ile jest naboi w rewolwerze. Jeżeli gdziekolwiek jakiś generał czy inny oficer śpi z jakąś dziewczyną i opowiada tylko tyle, że pod Kijowem, czy Pacanowem, czy gdzieś tam, nie otrzymał zaopatrzenia, albo że tylko trzy kilometry się cofnięto, pojęcia nie ma, że to będzie zanotowane, że serce dziewczyny mocniej bije radością niż przy dwudziestu czy dwustu pięćdziesięciu złotych, które dostaje za swą pozorną uległość. Tak łatwo was szpiegować, że mi to bardzo szybko zbrzydło. Trzeba tylko wyciągnąć rękę. Niezrozumiałe —. Wstrząsa głową i patrzy na niego prawie z pogardą. — To jest niepojęte. Jesteście najgadatliwszym narodem świata i sentymentalni do szpiku kości. W jakim jesteś korpusie?

Wymienia numer.

— Nie — powiada — on był z innego. Pewien generał, który mnie czasem odwiedza. Ten gada jak sentymentalny uczniak, który za dużo wypił. „Moi chłopcy, jęczał, moi biedni chłopcy" i w chwilę potem bajdurzył mi w podnieceniu przeróżne, niesłychanie ważne wiadomości. Ma on wielu swoich biednych chłopców na sumieniu... dużo opowiadał. I wtedy... wtedy — dodaje zacinając się — wtedy byłam jak lód...

— Niektórych jednak kochałaś? —pyta Andreas i myśli jak to jest niezwykłe, że sprawia mu przykrość samo istnienie takiej możliwości.

— Tak, czasami rzeczywiście kochałam, lecz bardzo niewielu. — Spogląda na niego i Andreas widzi, że ona znów płacze. Obejmuje jej rękę, podnosi się, nalewa kawę...

— Żołnierzy — szepcze Olina — tak, kilku żołnierzy kochałam... i wiedziałam, że w gruncie rzeczy to jest obojętne iż są Niemcami, których powinnam nienawidzieć. Czy wiesz, że w chwili gdy im się oddawałam, czułam się całkowicie wyłączona z tej straszliwej gry, w której wszyscy bierzemy udział, a w której ja w specjalnym stopniu uczestniczę. Gra polega na wysyłaniu nieznanych ofiar na śmierć. Czy rozumiesz? Jakiś oficer czy generał opowiada mi coś, ja powtarzam to dalej — maszyna rusza — i gdzieś ktoś musi ginąć, ponieważ ja to powtórzyłam dalej, rozumiesz? — Patrzy na niego jak na obłąkanego: — Rozumiesz? Na przykład, mówisz komuś na dworcu: Jedź tym pociągiem, kolego, jedź tym, a nie tamtym, i właśnie ten pociąg będzie napadnięty a twój kolega zginie, dlatego żes mu powiedział: Jedź tym pociągiem. Dlatego było tak pięknie oddać się im, ofiarować się, nic innego jak po prostu oddać się.

Żadnego z nich o nic dla naszej mozaiki nie pytałam, nic nie powtórzyłam, kochałam ich tylko. I to jest straszne że potem wszyscy są zawsze tacy smutni...

— Co ty nazywasz mozajką? — pyta Andreas zachrypłym głosem.

— Całe szpiegostwo stanowi mozajkę. Wszystko jest ponumerowane, pozestawiane, najmniejszy schwycony okruch uzupełnia obraz... powoli to się wypełnia... wielu, bardzo wielu kamyków trzeba, by stworzyć całość... wasz obraz... waszej wojny... obraz waszej armii...

— Wiesz co jest najstraszniejsze? — pyta patrząc na niego bardzo poważnie — to, że wszystko jest bez sensu. Wszędzie morduje się niewinnych. Wszędzie. My też. Zawsze to wyczuwałam... — odwraca od niego wzrok — ale wiesz, przeraża mnie, że należycie zrozumiałam to dopiero gdy weszłam do tego pokoju i zobaczyłam ciebie. Twoje plecy i kark, tam w słonecznej pozłocie — robi ruch ręką w stronę okna, gdzie stoją dwa fotele.

— Wierz mi, to jest prawda. Wysyłając mnie tu, stara powiedziała: „W barze czeka jakiś na ciebie. Zdaje się że nie wiele się dowiesz od niego, ale przynajmniej dobrze płaci". Wówczas pomyślałam sobie: już ja tam coś z niego wyciągnę, albo może będę mogła go pokochać. Żadna z tych ofiar — bywają tylko ofiary i kaci. Ale kiedy cię zobaczyłam, stojącego tam pod oknem, twoje plecy, kark, twoją młodą sylwetkę a tak pochyloną jakby tysiące lat ciążyły ci na grzbiecie, zrozumiałam, że my także mordujemy niewinnych, tylko niewinnych...

Przeraźliwy jest ten milczący płacz. Andreas wstaje, głaszcze przelotnie kark Oliny i podchodzi do fortepianu. Olina patrzy na niego, zdziwiona, opanowuje natychmiast łzy, przygląda się jak Andreas siada przy fortepianie, jak wpatruje się w klawiaturę, jak lękliwie rozpościera ręce nad klawiszami, jak na jego czole wzbiera straszna pionowa zmarszczka, bolesna zmarszczka.

Zapomniał o mnie, myśli Olina, zapomniał o mnie! To okropne. Oni o nas zawsze zapominają jak tylko znajdą się zupełnie sami. Nie myśli już o mnie i nie będzie już o mnie myślał. Jutro rano zginie pod Stryjem... i nie poświęci mi już żadnej myśli, a jednak ja go kocham.

On jest pierwszy i jedyny, którego kocham. Pierwszy. Jest teraz zupełnie sam. Jest obłędnie smutny i osamotniony. Ta zmarszczka rozdzielająca jego czoło jest wypełniona lękiem, a ręce rozpostarł jakby miał chwycić jakiegoś potwora... Jeżeli by tylko mógł grać, jeżeli tylko potrafiłby grać, będzie znów ze mną. Już pierwszy ton mi go zwróci. Mój, mój... mój brat, dwa dni młodszy ode mnie. Żeby tylko umiał grać. Siedzi w nim coś jak okrutny skurcz, coś, co trzyma jego ręce, co bladej jak śmierć twarzy

nadaje wyraz bezmiernego bólu. Nic nie widzę w nim z tego co chciałam mu przez swą grę ofiarować... przez swe opowiadanie, nic z tego w nim nie ma. Tylko ból, tylko jego ból jest w nim.

Andreas nagle z dziką pasją w twarzy uderza klawiaturę i po kilku tonach odwraca się, jej poświęcając pierwsze spojrzenie. Uśmiecha się, a Olina nigdy jeszcze nie widziała tak rozpromienionej twarzy jak ta w matowym, żółtawym świetle lampy, nad czarną masą fortepianu. Ach, jak ja go kocham, myśli Olina, jaki on jest teraz szczęśliwy, jaki mój, w tym pokoju do jutra rana...

Myślała że zagra coś zwariowanego, coś dzikiego z Czajkowskiego lub Liszta, albo coś tak wspaniale rytmicznego — Chopina, gdyż pierwsze jego uderzenia były jak szalone.

Lecz myliła się. Andreas gra sonatinę, małą sonatinę Beethovena, subtelną, małą, a tak trudną. Przez chwilkę obawiała się żeby nie „zamazał", ale gra bardzo ładnie, bardzo ostrożnie, prawie zbyt ostrożnie, jakby niedowierzał swym siłom. Gra z miłością a ona nigdy nie widziała twarzy tak szczęśliwej jak twarz tego żołnierza nad połyskującą czernią fortepianu. Gra sonatinę trochę niepewnie, ale czysto, tak czysto, jak jeszcze nigdy nie słyszała, gra jasno i bezbłędnie.

Ma nadzieję że będzie grał dalej. Jest tak pięknie; leży na sofie, gdzie on leżał przed chwilą, patrzy na gasnącego w popielniczce papierosa: tak chętnie zaciągnęłaby się, lecz nie śmie poruszyć się; najmniejszy ruch mógłby muzyce przeszkodzić; a najpiękniejsza jest ta uszczęśliwiona żołnierska twarz nad czarną, połyskliwą taflą fortepianu...

— Nie — mówi wstając i uśmiechając się — to zbyt mało, to nie ma sensu, najpierw trzeba się nauczyć, a ja się nic nie uczyłem. — Nachyla się nad nią, ociera jej łzy, jest uradowany że płakała. — Nie — mówi cicho — nie wstawaj. Ja także chcę ci opowiadać.

— Dobrze — szepcze — nalej wina i opowiadaj.

Ja jestem szczęśliwy, myśli idąc ku szafie. Jestem szalenie szczęśliwy, choć muszę stwierdzić, że nie umiem grać. Nie stałem się nagle pianistą. Tym gorzej, a mimo to jestem szczęśliwy. Zagląda do szafy i pyta: — Na jakie masz teraz ochotę?

— Czerwone, teraz czerwone — odpowiada z uśmiechem.

Wyjmuje pękatą butelkę i spogląda na ołówek i kartkę. Na kartce jest coś napisane po polsku — to muszą być zapałki — poniżej jakieś polskie słowo i za nim niemieckie „Mosel". Polskie słowo z pewnością oznacza butelkę. Jaki uroczy charakter pisma, jak ona ładnie i miękko pisze, myśli, i pod słowem „Mo-

sel" wpisuje „Bordeaux", a pod polskim słowem stawia kropeczki.

Andreas nalewa wino. — Naprawdę zapisałeś? — zapytuje Olina.

— Tak.

— Naprawdę nikogo nigdy nie oszukałeś?

— Owszem — odpowiada i przypomina sobie nagle dworzec w Dreznie, z przykrą dokładnością czuje w ustach smak tego dworca a w oczach staje mu postać grubego podporucznika.

— Owszem, oszukałem jakiegoś podporucznika. — Opowiada jej tę historię. Olina śmieje się: — Ale to nic tak złego!

— Jednak — odpowiada — to jest bardzo złe, nie powinienem był tego robić, a przynajmniej trzeba było później zawołać: „Wcale nie jestem głuchy!" Milczałem bo wkrótce muszę zginąć, a on tak na mnie wrzeszczał... poza tym, tak byłem obolały, a przede wszystkim zbyt leniwy. Tak — mówi cicho — byłem naprawdę zbyt leniwy żeby to zrobić; było tak przyjemnie mieć w ustach smak życia. Chciałem to sobie najpierw wyjaśnić, pamiętam dokładnie, myślałem: nie wolno ci dopuścić by ktokolwiek był z twego powodu poniżony, choćby to był świeżo upieczony porucznik z równie świeżymi orderami na piersiach. Nie wolno dopuszczać tego, myślałem, a jeszcze mam go przed oczami, jak zmieszany, dotknięty i czerwony odchodził ze stadkiem swoich drwiących podkomendnych. Gdy myślę o jego biednych, głupich ramionach zbiera mi się na płacz. Ale byłem zbyt leniwy, tylko leniwy, by otworzyć usta. To nie był lęk, lecz lenistwo. Ach, myślałem, jak piękne jest jednak życie i cała ta rojąca się masa ludzka. Ten jedzie do swej żony, drugi do kochanki, tamten do małego syna, jest cudowna jesień, i ta parka przy barierze będzie się dziś wieczorem całować pod pięknymi drzewami nad Elbą. Wzdycha. Opowiem ci o wszystkich których oszukałem!

— Ach nie, opowiedz mi coś ładnego... i ważniejszego! — Śmieje się: — Kogoś ty jeszcze oszukał?

— Chcę opowiedzieć ci całą prawdę: co kiedy ukradłem, kogo oszukałem... Podnoszą szklanki, trącają się i pijąc Andreas patrzy na Olinę, wchłania i utrwala sobie w pamięci jej piękną twarz. Nie mogę jej zapomnieć, myśli, ona należy do mnie...

Kocham go, myśli Olina, kocham go...

— Mój ojciec — opowiada cicho — mój ojciec wskutek ciężkich ran zmarł w trzy lata po wojnie. Miałem wówczas zaledwie rok. Matka moja poszła wkrótce za ojcem. Więcej o nich nie wiem. To mi powiedziano pewnego dnia, kiedy musiano mi wyjaśnić że kobieta, którą uważałem za swoją matkę, wcale nią nie była. Wychowywałem się u ciotki, siostry mojej matki, która poślubiła pewnego adwokata. Zarabiał dużo pieniędzy, ale ży-

liśmy stale w wielkiej biedzie. Adwokat pił. Dla mnie było to tak naturalne, że mężczyzna zawsze siedzi przy śniadaniu z ciężką głową i zniechęcony, że kiedy później poznałem innych mężczyzn, ojców moich przyjaciół, myślałem że to są nie mężczyźni. Mężczyźni nie pijani co wieczór i nie robiący przy porannej kawie histerycznych scen, byli dla mnie pojęciem nieistniejącym, „rzeczami których nie ma" jak mówi Hoynhyms u Swifta. Myślałem że jesteśmy urodzeni, aby pozwalać sobie ryczeć na wszystkich, a kobiety — aby pozwalać na siebie krzyczeć, użerać się z komornikami i przekupniami, wyszukiwać nowe pożyczki i kredyty. Moja ciotka była genialna w zaciąganiu długów. Gdy wszystko zdawało się już stracone, była spokojna, brała pigułkę Pervitinu i znikała, a gdy wracała — miała trochę pieniędzy. Uważałem ją za swoją matkę. A tego grubego nalanego potwora z czerwonymi żyłkami na policzkach za ojca. Miał żółtawe oczy, z ust ział odrażający odór piwa, śmierdział starymi drożdżami. Mieszkaliśmy w wytwornej willi, mieliśmy służącą i wszystko, tylko mojej ciotce często brakowało paru groszy na tramwaj. Wuj był znanym adwokatem. Czy to nie nudne? — pyta nagle i wstaje by nalać wina.

— Nie — szepcze. — Nie, opowiadaj dalej. Napełnianie smukłych szklaneczek trwa kilka sekund. Olina przygląda się jego rękom, bladej, wąskiej twarzy i myśli jak też mógł on wyglądać wówczas, gdy miał pięć, sześć czy trzynaście lat, przy owych śniadaniach. Tego tłustego, zapitego typa wyobrażała sobie łatwo, jak wymyślał na marmeladę i chciał żreć tylko kiełbasę. Tak samo widziała i kobietę, pewnie delikatną, i obok niej tego bladego, małego chłopca, zastraszonego, któremu lęk odbierał apetyt, nie ważącego się zakasłać, chociaż ciężki dym cygara drapał go w gardle, lecz kaszel mógłby rozjuszyć tłustego potwora, bo sławny adwokat wychodził z siebie słysząc dziecięcy kaszel...

— Jak wyglądała twoja ciotka? — pyta. — Opisz mi ją dokładnie!

— Była bardzo mała i delikatna.

— Była podobna do twej matki?

— Sądząc z fotografii — tak. Później, jak już byłem większy i coś więcej wiedziałem, zawsze myślałem jak to okropne być musi gdy on... gdy on ją obejmuje, ten wielki, ciężki drab ze swym oddechem, popękanymi żyłkami na wydętych policzkach i na nosie, które ona widzieć musi z tak bliska, tak blisko, i te żółtawe zapijaczone oczy i wszystko. Ten obraz miesiącami prześladował mnie, jak tylko o tym pomyślałem. A ponieważ uważałem go za swego ojca, dręczyło mnie całymi nocami pytanie: Dlaczego zaślubiacie takich mężczyzn. I...

— I ją także, twoją ciotkę, oszukałeś?

— Tak. — Milczy sekundę i patrzy w jej oczy: — To było straszne, wiesz, jak on się kiedyś ciężko rozchorował. Wątroba, nerki, serce, wszystko było zniszczone. Leżał w szpitalu, a my, jakiegoś niedzielnego poranku, pojechaliśmy do niego taksówką, gdyż miał być operowany. Słońce pięknie świeciło, a ja byłem bardzo nieszczęśliwy. Ciotka płakała żałośnie i ciągle mi szeptała, żebym się modlił o pomyślny wynik. Powtarzała mi to ciągle, a ja musiałem jej obiecać, lecz nie modliłem się. Miałem dziewięć lat, wiedziałem że nie jest moim ojcem i nie modliłem się o to żeby operacja się udała. Po prostu nie mogłem się modlić. Nie modliłem się co prawda o niepomyślny wynik, nie, przerażała mnie nawet taka myśl. Ale nie modliłem się także, aby wszystko dobrze się powiodło. Wbrew woli jednak myślałem, jakby to pięknie było, gdyby... tak, tak myślałem. Cały dom dla nas, koniec wszystkich scen... mimo to obiecałem ciotce modlić się za niego, ale nie mogłem. Myślałem wciąż tylko: Boże mój, dlaczego kobiety zaślubiają takich mężczyzn, dlaczego zaślubiają?

— Bo ich kochają — wtrąciła nagle Olina.

— Skąd wiesz? — mówi zdziwiony. — Ona go wówczas, przedtem i potem, kochała i kocha wciąż jeszcze. Kiedyś, jeszcze jako aplikant wyglądał inaczej. Znam jego fotografię zrobioną po egzaminach, w groźnej korporantce, w 1907. Wyglądał inaczej, ale tylko zewnętrznie!

— To znaczy jak?

— Tylko zewnętrznie, rozumiesz. Zdaje mi się, że jego oczy były wówczas takie same. Brzuch tylko nie był tak gruby. Mnie wydawał się straszny na tej młodzieńczej fotografii. Będąc kobietą wyobraziłbym go sobie, jak będzie wyglądał po czterdziestce i nie poślubiłbym go. A ona go wciąż kochała choć to już była tylko ruina, choć dręczył ją i nawet zdradzał. Kochała go bez zastrzeżeń. Nie rozumiem tego...

— Nie rozumiesz tego? — Andreas zdziwiony widzi jak Olina podnosi się i siada blisko przy nim...

— Nie rozumiesz? — powtarza śpiesznie.

— Nie rozumiem.

— To znaczy... nie znasz wcale miłości. Tak, — w tej chwili nie jest już zdziwiony, lecz zaniepokojony jej poważnym, namiętnym, zupełnie zmienionym wyglądem, — tak, bez zastrzeżeń! Miłość zawsze jest bezwarunkowa! — i ciszej pyta: — Nigdy nie kochałeś żadnej kobiety?

Andreas zamyka oczy. Znów czuje ciężki i głęboki ból. O tym także, myśli, to też muszę jej opowiedzieć. Nie może być żadnych tajemnic między Oliną i mną, choć zdawało mi się, że

zachowam wspomnienie nieznanej twarzy, że to marzenie będzie jedynym podarunkiem mego życia, jaki mógłbym zabrać ze sobą... Wciąż ma zamknięte oczy, jest zupełna cisza. Jest przejęty cierpieniem. Nie, myśli, zatrzymam to dla siebie, to jest najwyłączniejszą moją własnością, żyję nim od trzech i pół lat... tym ułamkiem sekundy spod Amiens. Czy było potrzebne aby trafiła tak celnie i dotknęła mnie tak głęboko. Dlaczego miałaby rozrywać zabliźnioną ranę jakimś słowem, które weszłoby we mnie jak sonda nieomylnego lekarza...

Tak, z całą pewnością tak, myśli Olina, on kocha inną. Drży, zaciska palce, zamyka oczy, a ja sprawiłam mu ból. Tym, których się kocha, przeważnie przysparza się bólu, takie jest prawo miłości. On teraz tak cierpi że nawet nie może płakać. Istnieje ból tak wielki, że łzy są przy nim bezsilne. Ach! dlaczego nie jestem tą inną, jego ukochaną. Dlaczego nie mogę przemienić się w ciało i duszę tamtej. Nic, nic z siebie bym nie pozostawiła, ofiarowała się całkowicie, gdybym tylko jej... tylko jej oczy miała. Tej nocy przed jego śmiercią, tej ostatniej i dla mnie nocy, gdyż jeżeli jego nie będzie, wszystko będzie mi obojętne... ach! żebym mogła mieć chociaż jej rzęsy, całą siebie zamienić choćby na jej rzęsy...

— Tak — mówi Andreas cicho; głos jego jest bezbarwny, jakby pozbawiony życia — tak ją kochałem, że zaprzedałbym duszę, żeby przez jedną sekundę dotknąć jej ust. Dopiero teraz uprzytamniam to sobie, teraz gdy mnie pytasz. Może dlatego nie zdołałem jej poznać. Byłem zdolny do zbrodni żeby zobaczyć choć rąbek jej sukni, gdy skręcała za róg ulicy, by ujrzeć z niej coś realnego. A modliłem się za nią co dzień. Jednak to wszystko jest kłamstwo i oszukiwanie samego siebie gdyż zdawało mi się że kocham tylko jej duszę, tylko duszę! A oddałbym te tysiące modlitw za jedyny pocałunek jej ust. Dopiero teraz to rozumiem. — Wstał raptem, a ona była rada, że jego głos znów był żywy, pełen ludzkich cierpień i bólów. Jednocześnie czuła jak on teraz jest osamotniony, jak o niej nie myśli, jak jej nie dostrzega.

— Tak — powiedział w przestrzeń — chyba tylko jej duszę kochałem, ale cóż to jest dusza bez ciała, ludzka dusza bez cielesnej powłoki? Nie mogłem jej duszy pożądać z całą szaloną namiętnością do której byłem zdolny, nie pragnąc aby choć jeden raz uśmiechnęła się do mnie. Ach — machnął ręką — zawsze tylko nadzieja, tylko nadzieja, że ona kiedyś się ucieleśni; — — podnosi głos: — zawsze tylko zwariowane brzemię Nadziei! Która to już godzina? — fuka na nią niespodzianiei choć było to powiedziane szorstko i napastliwie, jak do służącej, Olina jest rada, że pamięta jeszcze o jej obecności.

— Wybacz — dodaje szybko i chwyta jej rękę, ale ona już dawno mu wybaczyła. Spogląda na zegarek i z uśmiechem odpowiada „jedenasta". Ogarnia ją zadowolenie, dopiero jedenasta, jeszcze godzina do północy, jak to dobrze, jak to naprawdę cudownie! Cieszy się jak hałaśliwe dziecko, unosi się na czubkach palców i tańczy: *Tańcząc z tobą, jestem w niebie, w siódmym niebie miłości...*

On patrzy i myśli: to zadziwiające, nie mogę się gniewać. Umieram prawie z bólu, jestem śmiertelnie chory, ona tańczy, choć współczuje mojemu bólowi, a ja nie biorę jej tego za złe, nie gniewam się, nie...

— Wiesz co? — woła gwałtownie się zatrzymując, — musimy coś zjeść, to jest myśl!

— Za nic, nie chcę.

— Dlaczego?

— Bo musiałabyś stąd wyjść. Nie, nie chcę! — woła boleśnie. — Nie możesz ani na sekundę mnie opuszczać. Nie mogę bez ciebie... bez ciebie.. nie mogę już żyć bez ciebie.

— Co? — pyta i nie wie co dalej powiedzieć, gdyż błyska jej iskierka nadziei...

— Tak — potwierdza cicho... — nie możesz ode mnie odejść.

Nie, myśli Olina, to nie to. Nie mnie kocha. I głośno powiada: — Wcale nie muszę wychodzić. W szafie znajdzie się coś do zjedzenia.

To cudowne. W zakamarkach tajemniczej szafy jest owinięty w srebrny papier ser i keksy. Cóż za wspaniała uczta: czerwone wino, keksy, ser! Papieros nie smakuje mu. Dym zeschłego tytoniu przypomina mu wojsko i wywołuje obrzydzenie. W tajemniczej szafie muszą być cygara

— Daj mi cygaro — prosi. Dostaje całe pudełko doskonałych „Majorów", wszystko na rachunek lwowskiej hipoteki. Jak to przyjemnie, stać na miękkim dywanie i przyglądać się jak Olina drobnymi rękami, pieszczotliwie, szykuje na małym stoliku wytwornie skromny posiłek. Gdy skończyła, odwraca się i pyta z uśmiechem: — Nie możesz już żyć beze mnie?

— Tak — potwierdza, a jego serce ciąży mu bardzo i uniemożliwia śmiech. Myśli — powinienem teraz dodać: kocham cię istotnie, lecz to byłoby prawdą i nieprawdą jednocześnie. Gdy jej to powiem, będę ją musiał całować, a to byłoby kłamstwem. Mógłbym tylko z czystym sumieniem powiedzieć: kocham cię, ale musiałbym dodać długie, długie wyjaśnienie; wyjaśnienie, którego treści sam jeszcze nie znam. Jednak oczy jej, tak bardzo łagodne, tak pełne czułości i szczęścia, są przeciwieństwem oczu tamtej, której pragnąłem... jeszcze pragnę.. i powtarza jeszcze

raz wprost w twarz Oliny: — Już nie mógłbym żyć bez ciebie — i uśmiecha się nareszcie.

W tej chwili, gdy znów podnieśli szklanki, by się trącić, gdy już mieli wypić wino za swój rocznik, za swoje zmarnowane życie, w tej samej chwili obojga ręce zaczęły drżeć, usiedli, patrzą zmieszani na siebie: we drzwiach słychać pukanie...

Andreas nie puszcza ręki Oliny, wstaje powoli, idzie do drzwi. Więc taki koniec, myśli, zabiorą mi Olinę, nie chcą żeby ze mną pozostała do rana. Czas jednak trwa i ziemia kręci się nadal. Willi i Blondyn leżą gdzieś tutaj w łóżkach u jakichś dziewczyn, stara na dole czatuje na pieniądze, jej skarbonka gliniana jest wciąż otwarta, stale uchylona. Co ja zrobię jeśli zostanę sam? Już nie będę mógł się modlić, ani klęczeć. Nie mogę już żyć bez niej.. A jednak ja ją kocham. Oni nie mogą...

— Proszę — mówi cicho.

— Olina — słychać głos starej — muszę pomówić z Oliną.

Andreas pobladły i zdesperowany ogląda się. Oddałby pięć ostatnich godzin, żeby mógł choć pół godziny z nią tu pozostać. Oni muszą ją zabrać, a ja chciałbym tylko jeszcze pół godziny być z nią i na nią patrzeć, tylko patrzeć, może niech by jeszcze coś zagrała. Choćby to było znowu: *Tańcząc z tobą, jestem w niebie, w siódmym niebie miłości...*

Olina uśmiecha się do niego. Z tego uśmiechu czuje, że zostanie z nim, co by się nie stało. Jednocześnie — gdy Olina obraca cicho klucz w drzwiach — odczuwa lęk rozstania i wie że już nie pozbędzie się tej obawy i to uczucie sprawia mu radość. — Zostaw mi przynajmniej rękę — szepcze do niej. Teraz Olina z ręką w jego dłoni uchyla drzwi, rozpoczyna się szybka rozmowa po polsku, podniecone szepty, obie kobiety walczą, gliniana skarbonka atakuje. Olina cofa się do pokoju nie zamykając drzwi. On wciąż trzyma jej rękę, patrzy niepewnie w jej oczy. Ona również pobladła i nie wygląda zbyt pewna siebie.

— Jest generał. Daje dwa tysiące. Całkowicie zwariował. Musi tam szaleć na dole. Masz jeszcze jakieś pieniądze? Musimy różnicę wyrównać, bo inaczej...

— Mam! — wypróżnia spiesznie kieszenie. Ma kilka banknotów wygranych od Willego. Olina szczebiocze coś przez drzwi po polsku.

— Prędzej! — szepcze, już liczy pieniądze. — Trzysta, prawda? Ja nic nie mam. Nic! — mówi z pasją. — Owszem, mam pierścionek, to będzie pięćset — on więcej nie wart — razem już osiemset.

— Płaszcz! — woła Andreas.

Olina niesie na korytarz trzy setki, pierścionek i płaszcz. Wraca — jest jeszcze mniej pewna siebie. — Za płaszcz poli-

czyła mi tylko czterysta, pierścionek sześćset, dzięki Bogu. Trzynaście setek! Masz coś jeszcze? Prędzej! — dodaje szeptem: — Jeżeli on zniecierpliwi się i tu przyjdzie, jesteśmy straceni.

— Książeczka wojskowa!

— Doskonale! Dawaj prawdziwa książeczka wojskowa jest dużo warta.

— I jeszcze zegarek.

— Tak — śmieje się nerwowo. — Masz jeszcze zegarek! A czy chodzi?

— Nie!

Olina niesie do drzwi książeczkę i zegarek. Znów podniecone szepty po polsku. Andreas wybiega za nią. — Mam tu jeszcze pulower — woła, — a może rękę, albo nogę! Może wam się przyda, doskonała, wspaniała noga ludzka.. noga prawie niewinnego człowieka? Nie możecie tego zużytkować? Jako resztę rachunku. Jest tam jeszcze coś do dopłaty? — Mówi to rzeczowo, bez podniecenia, wciąż nie wypuszczając ręki Oliny ze swej dłoni...

— Nie — słychać głos glinianej skarbonki — ale buty, twoje buty wystarczą na wyrównanie reszty.

Zwykle trudno jest ściągnąć buty, a cóż dopiero gdy się je ma na nogach od czterech dni. Ale jakoś powiodło mu się to równie prędko zdjąć, jak kiedyś włożyć, gdy krzyki atakujących Rosjan zbliżały się do jego stanowiska. Za pośrednictwem drobnej ręki Oliny podaje butv na zewnątrz.

Drzwi znów są zamknięte. Olina cała drżąca stoi przed nim.

— Ja nic nie mam — płacze. — Nic! Suknie należą do starej. Moje ciało też, a moja dusza, mojej duszy ona nie chce. Tylko diabeł chce mieć dusze, ludzie są gorsi od diabła. Daruj mi — szlocha — nic nie mam, nic!

Andreas przyciąga ją do siebie i głaszcze jej twarz. — Chodź — szepcze — chodź, tak pragnę cię kochać... — Ale ona podnosi twarz i uśmiecha się. — Nie, nic, daj spokój, to teraz nie ma znaczenia!

Na korytarzu znowu słychać śmiałe kroki, ale, dziwne, oboje już niczego nie lękają się, uśmiechają się do siebie.

— Olina — woła głos za drzwiami. Znów ten polski świergot. Olina uśmiechając się tłumaczy pytanie: — Kiedy musisz wyjść?

— O czwartej.

Olina zamyka drzwi nie przekręcając klucza, wraca i mówi: — O czwartej zabierze mnie samochód generała.

Sprząta ser, na który jej drżące ręce rozlały wino, zdejmuje zabrudzoną serwetę, nakrywa stół na nowo. Andreas widzi tłące

się jeszcze cygaro. Świat był bliski końca, cygaro jednak nie zgasło, a jej ręce są spokojniejsze teraz niż kiedykolwiek.

— Przyjdziesz?

Tak, siada naprzeciw niej, odrzuca cygaro, oboje patrzą w milczeniu na siebie przez kilka minut, oboje rumienią się i są bardzo zawstydzeni, gdyż oboje wiedzą że modlą się żarliwie, oboje modlą się tu, na tej kanapie w burdelu....

— Jest teraz północ — mówi Olina, gdy zaczęli jeść... Już jest niedziela, myśli Andreas... Niedziela; stawia nagle szklankę, odkłada napoczęty keks, straszny skurcz obezwładnia mu szczęki i ręce, i wydaje się oślepiać oczy; nie chcę umrzeć, myśli i bezwiednie bełkocze... Ja... ja nie chcę umrzeć.

To chyba obłęd, ten zapach farby, który nagle poczułem... miałem wtedy zaledwie siedem lat gdy malowali płot w ogrodzie: to był pierwszy dzień wakacji ,wuj Hans wyjechał, w nocy padał deszcz, z rana świeciło słońce w wilgotnym ogrodzie... było tak cudownie... tak ślicznie, mogłem z łóżka wdychać zupełnie wyraźnie zapach ogrodu i farby, którą pociągano właśnie płot ogrodowy, zieloną farbą... i mogłem pozostać w łóżku... były wakacje, wuja Hansa nie było i miałem dostać na śniadanie czekoladę, ciotka Marianna obiecała mi to z wieczora, gdyż dostała jakąś nową pożyczkę... kiedyśmy dostawali nowe pożyczki to najpierw kupowaliśmy coś dobrego. Teraz czuję najwyraźniej ten zapach farby, to jest obłęd... tu nie może pachnąć tamtą zieloną farbą. Tu, ta blada twarz, to jest Olina, polska prostytutka i szpieg... nie, nic w tym pokoju nie może tak gwałtownie pachnąć farbą i tak wyraźnie przypominać dzień z mojego dzieciństwa. — Nie chcę umrzeć — bełkoczą jego wargi — nie chcę tego wszystkiego porzucać... nikt nie może mnie zmusić bym wsiadł do tego pociągu, który... jedzie przez Stryj, nikt na świecie nie zmusi mnie. Boże mój, to byłby może akt łaski gdybyś odebrał mi rozum. Ale nie odbieraj mi go! Nie, za nic! Choćby nie wiem jak bolesny był w tej chwili zapach tamtej zielonej farby, pozwól mi raczej cierpieć niż postradać zmysły... i głos ciotki Marianny, mówiący mi że mogę jeszcze poleżeć... bo wuja Hansa nie ma...

— Co to jest? — pyta nagle przerażony. Nie zauważył kiedy Olina wstała. Siedzi teraz przy fortepianie, usta jej drżą w pobladłej twarzy.

— Pada — mówi cicho; wygląda jakby jej było niewypowiedzianie ciężko otwierać usta, zaledwie znajduje siłę na słaby gest w kierunku okna.

Tak, ten spokojny szum, który go oprzytomnił niby raptowny a potężny ton organów, to był tylko deszcz... padało na park burdelowy... na wierzchołki drzew, na których ostatni raz oglądał

promienie słońca. — Nie — woła gdy Olina dotknęła klawiszy... — nie — ale w tej chwili czuje łzy i pamięta, że jeszcze nigdy w życiu nie płakał... te łzy to życie, to dziki potok, który utworzył się z niezliczonych strumyków... wszystko w nim zlewa się i wypływa boleśnie... zielona farba pachnąca wakacjami... i straszne zwłoki wuja Hansa ułożone w gabinecie w dusznym zapachu gromnic... wiele, wiele wieczorów z Paulem i boleśnie piękne próby fortepianu... szkoła i wojna, wojna... wojna i nieznana twarz, której pożądał... i po tym oślepiającym, mokrym potoku płynie jak drgający krążek blada i bolesna jedyna rzeczywistość: postać Oliny.

To wszystko wymaga subtelnej melodii Schuberta: płaczę jak jeszcze nigdy w życiu, płaczę tak, jak może płakałem przy narodzinach, kiedy po raz pierwszy poraził mnie blask dziennego światła... Nagle brzmi w jego uchu akord, przerażający do głębi serca akord, to Bach, przecież ona nie umie grać Bacha...

To jest jak wieża, która buduje się sama i wzrasta bez przerwy o nowe piętra. Wieża rośnie, porywa go ze sobą, jakby z głębi ziemi został wyrzucony w górę nagłym wytryskiem źródła, jakby to źródło z dziką siłą rwało w górę poprzez wieki ciemności do światła. Wypełnia go bolesne szczęście, gdy wbrew swej woli, a jednak świadomie i trzeźwo daje się ponosić tej samowznoszącej się wieży, na fali bolesnego i prawie niematerialnego szczęścia. A jednak doświadcza całego bólu i pełnego wysiłku wspinaczki; to jest duch, to jest jasność, żadnych już ludzkich błądzeń. Muzyka niewiarogodnie czysta i jasna o zniewalającej potędze. To jednak jest Bach, ona nigdy nie umiała grać Bacha... może ona w ogóle nie gra... może to aniołowie grają... aniołowie jasności... śpiewają w coraz jaśniejszej i coraz bardziej przejrzystej wieży... światło, światło, o Boże... to światło...

— Przestań — woła przerażony, a ręce Oliny odbijają się od klawiszy, jakby wyrwane jego głosem...

Andreas trze obolałe czoło i w łagodnym świetle widzi Olinę nie tylko wystraszoną jego głosem, ale całkowicie wyczerpaną i zmęczoną, bezgranicznie zmęczoną: wspinała się na tak niewypowiedzianie wysoką wieżę używając tylko swoich delikatnych rąk... jest senna, ściąga kąciki ust jak dziecko nie mogące już płakać ze zmęczenia; włosy rozwiązały się... jest blada i głębokie cienie okrążają jej oczy...

Podchodzi do niej, unosi i układa na sofie; ona przymyka oczy, wzdycha i słabo, słabiutko potrząsa głową, jakby chciała powiedzieć: tylko spokoju... nic więcej nie chcę, jak tylko chwili spokoju... cisza, jest tak dobrze, Olina usnęła... jej twarz pochyla się na bok..

Andreas oparł łokcie na stoliczku, głowę ułożył na dłoniach, odczuwa także niezmierną senność. Jest niedziela, myśli, już pierwsza, jeszcze trzy godziny, nie wolno mi, nie chcę i nie powinienem spać; przygląda się Olinie przyjaźnie i czule. Ta czysta, delikatna, zmęczona, mała i blada twarz dziewczyny, śpiąc ledwie dostrzegalnym uśmiechem wyrażała szczęście. Nie powinienem spać, myśli, czuje jednak, jak senność nieodparcie go zmaga... nie powinienem zasnąć. Boże, nie dopuść żebym miał zasnąć, daj mi patrzeć w tę twarz... musiałem, musiałem przyjść tu do tego lwowskiego lupanaru, żeby doświadczyć, że istnieje miłość bez pożądania, tak ja Olinę kocham... nie powinienem zasypiać, muszę się przyglądać tym ustom, temu czołu i tym subtelnym złotym lokom nad jej twarzą i ciemnym cieniom niewypowiedzianego wyczerpania w jej oczach. Grała Bacha, Bacha którego nigdy nie umiała, a właśnie go zagrała na szczytach ludzkiej możliwości. Nie powinienem usnąć... jest tak chłodno... już czeka okrutna wrogość poranku za ciemną zasłoną nocy... jest zimno i nie mam nic aby ją okryć... płaszcz przeszabrowałem, serwetę zbrudziliśmy... leży gdzieś poplamiona winem. Ale moja kurtka, mogę ją okryć kurtką... przykryć nią jej odkryte ramiona, ale jednocześnie czuje, że brak mu sił by wstać i zdjąć mundur, że zmęczenia nie może unieść ręki, a usnąć nie powinien. Mam tak nieskończenie dużo do zrobienia, tak nieskończenie dużo. Tylko troszkę odpocznę tu z głową opartą na dłoniach, później wstanę, zdejmę kurtkę, okryję Olinę i będę się modlił... chcę klęczeć przed tym tapczanem co tyle grzechów widział, klęczeć przed tą czystą twarzą, która mnie nauczyła miłości bez pożądania... nie powinienem zasypiać... nie, nie, nie powinienem...

Jego spojrzenie po przebudzeniu było podobne do ptaka porażonego w podniebnym locie, podającego w nieskończoność rozpaczy. Ale uśmiechnięte oczy Oliny schwyciły go. Zląkł się szalenie, że już jest za późno... za późno by śpieszyć na miejsce swego przeznaczenia. Za późno by śpieszyć na jedynie ważne spotkanie. Jej uśmiechnięte spojrzenie podchwyciło jego wzrok a na męczące go pytanie odpowiada cicho: „Jest pół do czwartej... nie bój się!" Dopiero teraz czuje jej rękę spoczywającą na swojej głowie.

Jej twarz leży na tej samej płaszczyźnie co i jego. Brak tylko drobnego ruchu głowy by móc ją całować. Szkoda, że jej nie pożądam, myśli, szkoda, że nie jest z mojej strony żadną ofiarą to, że jej nie pożądam... żadnym poświęceniem że jej nie całuję i że nie pragnę miłosnej zatraty.

Dotyka jej warg swoimi i nic. Patrzą na siebie zdziwieni i śmieją się. Nic. To jest jak bezsilne odbicie pocisku od nieznanego pancerza.

— Muszę poszukać ci czegoś na nogi, dobrze? — mówi cicho.

— Nie, nie zostawiaj mnie — mówi Andreas — ani na sekundę nie możesz mnie zostawić. Nie myśl o butach. Mogę umierać w skarpetkach, wielu już umierało w skarpetkach. Ci, którzy uciekali w panicznym strachu przy nagłym zjawieniu się Rosjan marli od ran w plecy, z twarzami zwróconymi w stronę Niemiec. Rana w plecy to największa hańba dla Spartanina. Wielu tak zginęło, zostaw te buty, jestem tak zmęczony...

— Nie! — odpowiada i patrzy na swój zegarek. — Trzeba było oddać zegarek, a miałbyś swoje buty. Zawsze się myśli, że już nic się nie ma do oddania, a ja zapomniałam o zegarku. Oddam teraz zegarek za twoje buty. Nie będzie nam już potrzebny zegarek... nie będzie...

— Nie będzie potrzebny — powtórzył cicho i wzrokiem ogarnął pokój. Dopiero teraz zauważył jakie to wszystko było nędzne: stare tapety, stare fotele, tam pod oknem, i zmęczony tapczan.

— Tak — mówi cicho Olina, — chcę cię uratować, nie lękaj się. — Uśmiecha się do jego bladej, zmęczonej twarzy... — Ten samochód generała niebiosa nam zesłały. Zaufaj tylko i wierz mi: Wszędzie dokąd cię zaprowadzę — będzie życie. Wierzysz mi? — Andreas potakuje, a ona powtarza mu jakby składała przysięgę: — Wszędzie dokąd cię zaprowadzę — będzie życie, chodź! — Jej ręce spoczywają na jego głowie. — Są zapadłe, małe wioski w Karpatach, gdzie nikt nas nie znajdzie. Kilka domków, mała kaplica i nie ma partyzantów. Już kilka razy byłam w jednej takiej kryjówce, trochę próbowałam się modlić i grałam na starym szpinecie u proboszcza, słyszysz? — Szuka jego wzroku, który znów błądzi po brudnej tapecie, na której widnieją ślady rozbijanych butelek i odciski palców. — Grałam... słyszysz?

— Słyszę — dławi się, — ale ci dwaj, nie mogę ich samych zostawić. Niemożliwe!

— Ach nie, oni, z nami! Nie da rady!

— A szofer? — pyta — co zrobisz z szoferem? — Patrzą teraz sobie w oczy i jest coś niemal wrogiego w ich spojrzeniach. Olina próbuje śmiać się. — Od dzisiaj — mówi cicho — od tej chwili nie będę niewinnych wydawać w ręce katów. Ach! Ty musisz mi zaufać. To nie byłoby trudne z tobą samym. Po prostu zatrzymać gdziekolwiek samochód i uciec.. daleko, na wolność... Ale z twoimi dwoma... to się nie uda.

— Dobrze, musisz mnie w takim razie zostawić. — Podniósł rękę aby jej przerwać: — Nie, tu nie mogę ustąpić. Albo — albo.

Musisz to zrozumieć. Kochałaś przecież niektórych z nich, musisz to zrozumieć, prawda?

Powoli osuwa się na piersi jej głowa i Andreas zrozumiał, że to jest potwierdzenie dopiero wtedy gdy usłyszał jej ciche:
— Dobrze... spróbuję...

Olina czeka już z ręką na klamce, on jeszcze raz obrzuca wzrokiem ten brudny pokój, mały polski bar, potem wychodzi za nią na słabo oświetlony korytarz. Ale ten pokój-bar był wspaniały w porównaniu z korytarzem. Szkaradny, zimny szary odór burdelowego korytarza o czwartej nad ranem. Liczne drzwi przypominały korytarz w koszarach. Wszystko obdarte. Ta nieszczęsna nędza.

— Chodź — mówi Olina otwierając jakieś drzwi. Jej pokój: bardzo ciasny z najpotrzebniejszymi narzędziami jej rzemiosła — łóżko, mały stolik i dwa krzesła, miednica na trójnogu żelaznym, obok dzban na wodę, mała szafa pod ścianą. Tylko co najpotrzebniejsze, jak w koszarach...

Wszystko jest tak nierealne, siedzieć na łóżku, przyglądać się jak Olina myje ręce, jak z szafy wyciąga obuwie, zdejmuje swoje czerwone pantofle i wkłada inne. O, jest lustro, w którym może uzupełnić swoją urodę. Właśnie obmywa ślady łez i pudruje się na świeżo. Nie ma bowiem okropniejszego widoku od zapłakanej prostytutki. Olina musi jeszcze malować wargi, podkreślić brwi i oczyścić paznokcie. Wszystko robi zwinnie, jak żołnierz szykujący się na alarm.

— Musisz mi zaufać — mówi głosem jasnym i nerwowym. — Wyratuję cię, słyszysz? Ciężko będzie, jeżeli bezwarunkowo chcesz tych dwóch zabrać, ale dam radę. Wiele można...

Nie dopuść bym oszalał, modli się Andreas, nie dopuść bym oszalał przy okrutnej próbie uchwycenia rzeczywistości. To wszystko nie może być rzeczywiste, ten pokój burdelowy, nędzny i odrapany, pełen obmierzłych oparów, ta dziewczyna przed lustrem cicho coś mrucząca, gdy jednocześnie jej palce zwinnie szminkują usta. To wszystko nie może być rzeczywiste, i to przemęczone moje serce, niczego więcej nie pragnące, i te moje mazgajowate myśli, które niczego nie żądają, nie chcą jeść, nie chcą palić, nie chcą pić, i moja dusza, obrabowana z wszelkich tęsknot; chciałbym tylko spać, spać...

Może już nie żyję. Jaki może być sens tego wszystkiego, tej pościeli, którą automatycznie zakryłem jak się należy, gdy siada się na łóżku, pościel, która nie jest brudna, ale i nie jest czysta, ta wyszarzała, pełna tajemnic pościel, ani brudna, ani czysta... i ta dziewczyna przed lustrem, która teraz poprawia brwi, ciemne, delikatne brwi na bladym czole.

— Tam będziemy polować i wesoło łapać ryby, jak kiedyś, dawno temu! Znasz to? — pyta śmiejąc się Olina.

— To jest niemiecki wiersz. Archibald Douglas. Rzecz o mężczyźnie wygnanym z ojczystego kraju, rozumiesz? A my, my jesteśmy wygnani w naszej ojczyźnie, w sercu naszej ojczyzny i nikt tego nie może pojąć. Roczniki 1920. Tu chcemy polować i wesoło łowić ryby, jak kiedyś, za dawnych czasów. Słuchaj!

Ona naprawdę nuci tę balladę, a Andreas myśli, że miarka już się przebiera, szary zimny ranek w polskim burdelu, i aria Löve'go, którą teraz słyszy.

— Olina! — znów ten bezbarwny głos za drzwiami.

— Tak?

— Rachunek. Podaj go. I szykuj się, samochód już podjechał...

— To jednak jest rzeczywistość, ten papier który podaje dziewczyna końcem palców; kartka na której wszystko jest zapisane, poczynając od zapałek, które mam jeszcze w kieszeni, zapałki, które otrzymałem wczoraj o szóstej wieczorem.

Tak rozpłynął się czas, ten nieuchwytny czas, i nic a nic nie zrobiłem w ciągu tego czasu i nic innego nie mogę zrobić, jak tylko zejść na dół za tą świeżo poprawioną pięknością, aby uregulować rachunek...

— Ach te polskie dziewczyny — mówi Willi, — nadzwyczajne! To jest namiętność, mówię ci, rozumiesz?

— Tak.

Hall jest równie nędznie umeblowany. Kilka kulawych krzeseł, ławka, wydeptany dywan, wyglądający jak poszarpany papier i palący Willi. Jest mocno zarośnięty i szuka papierosów w swych pakunkach.

— Jesteś z nas najbardziej kosztowny, mój drogi. Co prawda i ja też taniej nie wypadłem. Ale ten, nasz młody przyjaciel blondyn, prawie nic nie kosztował. Hę! — trąca w bok drzemiącego blondyna. — Sto czterdzieści sześć marek — śmieje się głośno. — Wygląda, że naprawdę spał u dziewczyny, uczciwie spał sobie. Zostało jeszcze dwieście marek, więc wsunąłem je pod drzwi jego małej, niech ma napiwek, rozumiesz, skoro go tak tanio uszczęśliwiła. Masz przypadkiem jeszcze papierosy?

— Mam.

— Dziękuję.

Jak nieznośnie długo Olina w gabinecie starej coś rozprawia, o czwartej rano. To jest pora kiedy cały świat śpi. Nawet w pokojach dziewczyn jest cicho, a w dużej poczekalni jest ciemno. Drzwi, z których dochodziła muzyka, są ciemne, widzi się i czuje te ciemne pomieszczenia. Tylko przed domem mruczy sil-

nik rasowego wozu. Olina jest wciąż za czerwonymi drzwiami, wszystko jest rzeczywiste. To musi być rzeczywistość...

— Myślisz że ten generalski... samochód zabierze nas?

— Myślę!

— Hm. To musi być Maybach, poznaję po motorze. Rasowe pudełko. Nie zaszkodzi gdy wyjdę i pogadam z kierowcą. To z pewnością jest jakiś kapral.

Willi podnosi swe paczki, otwiera drzwi; rzeczywiście jest noc, szaro zawoalowana noc, z matowym kręgiem światła, rzuconym na park przez oczekujący samochód. Chłodna i bezlitośnie rzeczywista jak wszystkie wojenne noce, pełna zimnych gróźb, pełna groźnego szyderstwa; przywołująca wspomnienie tych nocy grozy, wszędzie wiszącej ponad brudnymi dziurami... ponad piwnicami... ponad wielu miastami kulącymi się ze strachu... tych strasznych nocy, które o czwartej nad ranem osiągają szczyt swej najokropniejszej potęgi. Straszne, niewypowiedzianie przeraźliwe, wojenne noce. Właśnie stoi taka noc tu, za tymi drzwiami... noc pełna okropieństw, noc bez ojczyzny, a także bez małego, bez najmniejszego ciepłego kąta, gdzie można by się ukryć, jedna z tych nocy wskrzeszanych przez donośne głosy...

Ona jednak naprawdę myśli, że zdoła mnie uratować. Andreas śmieje się. Ona myśli, że można się prześlizgnąć przez tę starannie zaciągniętą sieć. To dziecko wierzy, że istnieje jakaś ucieczka... wierzy, że znajdzie drogę, która ominie Stryj. Stryj. To słowo spoczęło we mnie w chwili mych narodzin. Leżało głęboko, głęboko, nieznane, nie budzone, było ze mną gdy byłem jeszcze dzieckiem i może przeszył mnie złowrogi dreszcz, wówczas w szkole, gdyśmy się uczyli o odgałęzieniach Karpat, i kiedy odczytałem na mapie słowa: Galicja, Lwów, Stryj, pośród żółtobiałych plam. Zapomniałem o tych dreszczach. Ileż razy zarzucano na mnie wędkę śmierci, lecz nigdy o mnie nie zahaczyła; potrzeba było maleńkiego słówka, by wreszcie ryba chwyciła...

Stryj... to małe, straszne słowo, krwawe słowo, wstało i rozszerzyło się w posępną chmurę, rzucającą cień na wszystko. A ona myśli, że znajdzie drogę, która ominie Stryj...

Zresztą jej projekt nic mi nie mówi. Nie wabi mnie ta mała wioska w Karpatach, gdzie ona chce grać na starym szpinecie... to są tylko obietnice i pokrzepienia, a horyzont, w którego stronę musimy się rzucić by osiągnąć cel jest ciemny i niepewny...

Nareszcie otwierają się drzwi i Andreas jest zdziwiony bladością twarzy Oliny. Jest w futrze, zgrabny berecik włożyła na piękne, luźno związane włosy, na ręku nie ma zegarka, gdyż Andreas ma swoje buty na nogach. Rachunek jest zapłacony. Uśmiech starej nie zostawia niedomówień. Jej ręce są splecione na zasuszonym łonie. Gdy żołnierze wzięli już swoje bagaże

i Andreas otwierał drzwi, stara, uśmiechając się, wymieniła jedno słowo: Stryj. Olina tego nie słyszała, już była na zewnątrz.

— Ja także — mówi cicho Olina, gdy już siedzieli w samochodzie — ja także jestem skazana. Ja także zdradziłam swoją ojczyznę spędzając noc z tobą zamiast wypytywać generała. — Ściska jego rękę i uśmiechając się mówi: — Ale pamiętaj, co ci powiedziałam: Wszędzie, dokąd cię zaprowadzę, jest życie.

— Tak — potwierdza Andreas. Cała noc przesuwa się w jego pamięci jak gładka nić, którą rozwija się i natrafia na supeł nie dający mu spokoju. Stryj, powiedziała stara, a skąd ona mogła wiedzieć że Stryj... nic przecież nie mówiłem jej o Stryju, a tym bardziej nie mogła jej Olina wymienić tego słowa...

Taka jednak musi być rzeczywistość: dostojnie mruczące auto, oświetlające kręgiem łagodnego światła bezimienne ulice. Drzewa, czasem domy przesycone ciemnością. Przed nimi dwa karki otoczone podoficerskimi naszywkami, oba prawie jednakowe, solidne niemieckie karki. Od nich wolniutko przepływa ku tylnym siedzeniom dym z papierosów. Obok niego z lewej strony blondyn, drzemiący jak dziecko wyczerpane zabawą, z prawej, przylegające puszyste futro Oliny i jedwabista nić wspomnień cudownie spędzonej nocy, snująca się wciąż prędzej i prędzej, lecz zawsze zatrzymująca się przy tym samym, dziwnym węzełku, w chwili, kiedy stara powiedziała: Stryj....

Andreas pochyla się by spojrzeć na słabo oświetlony zegar pod kierownicą. Szósta godzina, odczytuje. Punkt szósta... Wstrząsa nim zimny dreszcz. Boże, Boże, myśli, cóż ja uczyniłem z moim czasem, nic nie zrobiłem, nigdy nic nie umiałem zrobić, muszę więc modlić się, modlić się za wszystkich. W tej chwili Paul wstępuje na stopnie ołtarza i zaczyna: *Introibo*. I także jego usta zaczynają układać się do słowa: *Introibo*.

Andreas także szepcze: *Introibo*...

Auto pędzi bezszelestnie. Zalega przejmujący chłód i złowroga cisza, w której niesamowicie brzmi oschłe pytanie Willego :

— Dokąd właściwie wieziesz nas, kolego?

— Do Stryja — odpowiada nierealny głos.

W tej chwili pada straszliwy cios zadany niewidzialną ręką. Auto rozszczepia się jakby rozprute potężnym nożem, metalowy kadłub staje dęba, skręca się i wywraca wśród krzyków przerażenia jadących. Po kilku sekundach słychać jedynie syk wżerających się płomieni...

— Mój Boże, myśli Andreas, czy wszyscy są zabici?... a moje nogi... moje ręce.. czy tylko głowa mi została?... nie ma tu nikogo?.. Oto leżę na tej pustej drodze, moje piersi przytłacza

ciężar całego świata, tak wielki, że nie mogę wydobyć słowa modlitwy...

Czyżbym płakał? myśli nagle, gdyż czuje jak coś wilgotnego spływa z jego policzków: Nie, to nie łzy!... W bladym brzasku, jeszcze nie ozłoconym przez słońce, widzi jak ze szczątków wozu zwisa nad jego głową ręka Oliny. To krew z tej ręki kroplami sączy mu się na twarz... i już nie wie czy tym razem naprawdę nie płacze...

K o n i e c.

Heinrich BÖLL

(Autoryzowany przekład S.W. Kozłowskiego)

Kraj

Literatura po dziesięciu latach

Zastanówmy się jaka jest zasadnicza trudność pisania o dyskusjach literackich w Polsce, zamykających dziesięciolecie. Nie można ich traktować w oderwaniu od lokalnych warunków, od ściśle centralistycznego systemu, który wymaga, żeby literatura i sztuka dostarczała masom ,,podręczników życia'' to jest żeby wskazywała wzory zachowania się i odczuwania. Z drugiej strony działalność literacka i artystyczna jest tak stara, towarzyszyła człowiekowi w tak różnych perypetiach historycznych, że zwężenia perspektywy musimy dokonywać na siłę. Jest faktem, że główne gatunki literatury : poezja, powieść, dramat nie są przystosowane do celów jakie im się stawia. Mają za sobą długi rozwój i prawa im właściwe. Być może te prawa nie muszą trwać wiecznie. Jednak to co się dzisiaj odbywa w Polsce jest czymś jak użycie konia do ciągnięcia traktora. Ponieważ podkreśla się, że prawa gatunków powinny być zachowane (powieść ma ciekawić, poezja wzruszać etc.), powstaje sprzeczność i ona to stanowi, w różnych ujęciach, przedmiot wypowiedzi Partii, Instytutu Badań Literackich i Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Zagadnienie wychowawczego wpływu dzieła sztuki jest pasjonujące, bo nie proste. Powieść np. najbardziej zdawałoby się powołana do roli pedagogicznej, wcale nie po to się uformowała. Zaspakajała ona potrzebę nie nauki życia, ale łez i wypieków, to jest popychała do niej ciekawość emocjonalna. Człowiek niezdolny do zobaczenia swego losu, który nigdy nie jest zakończony (poza samą chwilą śmierci) szuka innego losu na stronach książki, identyfikuje się z nim i równocześnie może go ogarnąć, a więc jest i wewnątrz i na zewnątrz. Namiętności w powieści — i wszelka rzeczywistość, która służy autorowi za materiał — są wzmocnione czy sprowadzone do ich ekstraktu. Wystarczy, żeby czytelnik zwąchał, że prowadzi go się za rękę, a więc że autor zamiast przy wyciąganiu tego ekstraktu kiero-

wać się tylko zasadą jedności dzieła, jest skrępowany jakąś inną zasadą, a zainteresowanie słabnie, identyfikacja z bohaterami jest niemożliwa. ,,Literatura wychowuje'' — tak przynajmniej twierdzi się od stu lat w Rosji i w Polsce. Nie ma lepszej polskiej powieści niż ,,Trylogia'' napisana ,,ku pokrzepieniu serc''. Jednakże intencja Sienkiewicza po pierwsze kładzie ten utwór w sensie wyższej literatury i słusznie nie ma on żadnej międzynarodowej rangi. Po drugie, dążenie do staropolskiej cnoty i malowniczości jest ogólne — bajka w kostiumach epoki — a nawet najbardziej socrealistyczna postać, Kmicic (grzesznik nawrócony) pojawia się jako element melodramatu to jest jego moralność (zastana i tylko przez Sienkiewicza podjęta) służy kompozycji. Sienkiewicz napłodził naśladowców Kmicica, ale niejako mimo woli. Mniszkówna też stworzyła wzory, nie to było jej chęcią.

Łatwo o pomieszanie myśli pisarza (zamiaru który nadaje dziełu jedność) z celem pedagogicznym. Kto komunikuje myśl, nawraca przez to innych na swój sposób myślenia. Ale czy nawet autorzy-moraliści kiedykolwiek sądzili że da się rzeczywistość przystrzyc tak, aby pouczyć jak zachować się w sytuacjach niepowtarzających się nigdy? Jeżeli występują w ich książkach przeważnie postacie ,,negatywne'' to nie tylko dlatego że otaczało ich wadliwe społeczeństwo, przede wszystkim dlatego, że między praktyką a sferą pragnień jest zawsze dystans bolesny (*). Sprzeczność pomiędzy dążeniem do dobra i bzykaniem na lepie konkretu stanowi właśnie konstrukcję losu — ona daje łzy i wypieki czytelnikom. Moraliści mają oburzenie konstatujące, sprawa jak ma zachowywać się człowiek jest dla nich za duża, żeby dotykali jej inaczej niż okólnie.

Zilustruję to na przykładzie. Czytałem niedawno powieść ,,The Cleft in the Rock'', amerykańskiego autora F.K. Franklina. Rzecz dzieje się na dalekiej Północy i ciekawa jest jako socjologiczny opis podboju stref arktycznych. Na bezludnej wysepce w archipelagu Aleutów pracuje ekipa robotników. Są doskonale płatni, doskonale chronieni przed zimnem i nie jedzą, a żrą stosy befsztyków i słodkiego ciasta. Raj? Ładny raj. Ci ,,construction stiffs'', jak się ich nazywa, są dziką bandą trwającą na poziomie czysto fizjologicznym, jedyną wartością dla nich jest sex — i dyrekcja dba o tę ich potrzebę, bo statek kompanii wozi ich co sobota do wioski tubylczej na innej wyspie, gdzie cała żeńska połowa ludności, od lat trzynastu do sześćdziesięciu, z zapałem oddaje się prostytucji. O tubylcach to przede wszystkim można powiedzieć, że chorują na choroby weneryczne i wymierają na gruźlicę — jako że nie są obywatelami amerykańskimi, na tysiąc chorych przypada jedno szpitalne łóżko. W wiosce jest doktór, inteligentny, bezsilny i zapijający się do delirium, nauczyciel-idiota oraz właściciel fabryki

(*) Oczywiście nie jestem po stronie praktyki życia, ani jego rzekomo niezłomnych praw.

konserw rybnych, drań i nieszczęśliwy rogacz. Co do bohatera powieści, Maxa Bregmana, to jest on sanitariuszem ekipy. Niestety ,,kike'' to znaczy po polsku ,,parch'' — i z tego powodu w wojsku w czasie wojny złamano mu dwa razy nos a antysemicka ekipa (w której na dobitek złego są i ,,Polacks'') stale go prowokuje. Masakrowanie Bregmana przez młodego Włocha, majstra ekipy, tworzy oś powieści. Bregman (pensja 650 dolarów miesięcznie plus utrzymanie) jest z wykształcenia psychologiem, dziwacznie się zabłąkał na Północ; wrażliwy, słaby, tchórz, nie może znieść poniżenia i popełnia akt oporu, a jednocześnie dobroci za który godzi się zapłacić — oto problem moralny książki. Poślubia małą tubylczą prostytutkę, bo to oznacza, że będzie można ją odwieźć samolotem do przeciwgruźliczego szpitala ,,na kontynent'' — ale dziewczyna należy do siłacza Włocha, którego uwielbia. Bregman zginie. Jego samobójstwo nie przekreśla jego zwycięstwa : aktu szaleńczego, niczym nie uzasadnionego poza ,,głosem serca''.

Powieść Franklina, jedna z masy książek wyrzucanych co roku przez maszynę wydawniczą, nie zostanie pewnie uwieńczona nagrodą, jak to spotkało Ażajewa ,,Daleko od Moskwy'', gdzie mówi się o innych metodach podboju Północy. Czy Franklin jest moralistą ? Chyba tak. Czy jest pedagogiem ? Nie. Czy Ażajew jest pedagogiem ? Tak : wskazuje jak powinien zachowywać się partyjny na odpowiedzialnej placówce. Nie spełnia jednak w żadnym stopniu wymagań jakie stawiamy moralistom. Te są duże : powinni być wrażliwi na nieszczęście człowieka. Zapewne znaczy to, że nie powinni przymykać oczu na żadne szczegóły. Gdyby Franklin skoncentrował się na budowie wznoszonej przez ekipę (bestialski Włoch jest duszą przedsięwzięcia i niewątpliwie bohaterem pracy) otrzymalibyśmy utwór Ażajewa. Ale cel pedagogiczny nie został osiągnięty przez rosyjskiego pisarza. Nie mogąc współczuć z bohaterem (bo brak nam losu czyli komplikacja, jak ją znamy z własnego doświadczenia, została uproszczona) rozpraszamy naszą uwagę na zerkanie za kulisy (kim są podwładni ,,czarnoroboczy'', ile i czy zarabiają, skąd się wzięli na Północy), a więc interesuje nas ,,brud życia''. I właśnie pedagogiczne, oczyszczone powieści mają ten niezamierzony efekt, podobny do efektu pruderyjnych utworów pozwalających na najśmielsze fantazje erotyczne. Stąd w Polsce dreszcz zachwytu u czytelników, kiedy autor pokaże pończoszkę to jest stwierdzi dziwną prawdę, że rzeczywistość ma nie tylko suknię ale i nogę.

Jednak kto stara się przedstawiać świat taki jaki jest idzie wbrew tej filozofii, która głosi zatarcie przeciwieństwa między wolą dobra i jego porażką, która neguje, że za czystość się płaci, filozofii z zasady głęboko anty-tragicznej, bo według niej samobójstwo bohatera ,,The Cleft in the Rock'' będzie tylko przegraną i niczym więcej. Tutaj natykamy się na łamigłówkę. Odkładając książkę Franklina mówimy ,,to straszne''. Wnioski wyciągniemy zgodnie z własnym temperamentem : albo — że

tak nie powinno być, że trzeba to zmienić, albo — że, niestety, co można poradzić. Dominuje samo uczucie dotknięcia prawdy, katarsis poprzez tragizm. Powstaje pytanie jak ludzie odpowiedzialni za dobre samopoczucie obywateli powinni odnosić się do niedość wesołej literatury. Szkopuł na tym polega, że utwór Franklina jest powieścią, a więc porusza, budzi ,,łzy i wypieki''. Natomiast Ażajew i cała twórczość pomijająca ,,brud'' nie wstrząsa wcale czytelnikiem.

Z pedagogicznym walorem poezji jest jeszcze gorzej, ale dlaczego, o tym można by nieskończenie mówić. W każdym razie z innych zupełnie przyczyn niż się najczęściej sądzi na emigracji. Poezja nie koniecznie żywi się ,,wewnętrznością'' czy ,,duszą'', a nawet jest zbytniej subtelności wroga. Potrzebuje uczuć krzepkich, nieraz wulgarnych, żeby służyć łączności człowieka z człowiekiem. Ze zgrozą odkryłem, że młodzi poeci londyńscy, w niczym nie przypominający emigrantów tak jak się ich wyobraża sobie w kraju i nie bez sympatii czytający Gałczyńskiego ,,Podróż Bulwiecia do Ciemnogrodu'', — że ci poeci Mickiewicza uważają za niższego od Norwida. Nie myślę Norwidowi odmawiać rangi — ale to dowód, że zupełnie nie rozumieją o co w poezji chodzi i że padają ofiarą pomieszania pojęć. Nie rozumieją jakie znaczenie ma obiektywizacja, której szczytem w wierszu polskim jest ,,Pan Tadeusz''.

Jeżeli minione dziesięciolecie tak znacznie ustępuje w poezji dziesięcioleciu 1918-1928, to nie dlatego, że skończyła się pieśń izolowanej jednostki. A zresztą wielka poetka Maria Pawlikowska, uważana za najbardziej subiektywnie kobiecą, która sama jedna przeważyłaby szalę — czy na pewno była takim filigranem z zamkniętego pokoju? Czy raczej nie kierowała się chytrością, nie wysuwała złośliwie języka układając swoje ,,liryki'', które dla jednych są dzisiaj tylko echem indywidualnych przeżyć, a dla innych okrutną myślą ukrytą w kwiatach? Safo słoweńska była mądra. Obiektywizowała pod pozorem wyznań, jej ,,ja'' jest i jej głosem i głosem ponad-osobowym.

Nie widzę powodu grzebać się w źródłach konfliktu między poezją i pedagogią, jeżeli wszystko co trzeba zostało powiedziane w ,,Republice'' Platona. W dodatku, skazując poezję na wygnanie, odwołuje się on do jeszcze starszej tradycji :

A żeby poezja nie posądzała nas o twardość i niegrzeczność — powiada — *przypomnijmy jej, że istnieje długotrwała kłótnia między poezją i filozofią. Niezliczone są ślady tego dawnego antagonizmu, na przykład wiersze które mówią o ,,kundlu co szczeka na swego pana'', o ,,mocarzu w próżnej gadaninie głupców'', o ,,gromadzie mędrków'', o ,,wytwornych myślicielach w łachmanach''* (ks. X.) (*).

Dzisiaj nie wie się skąd Plato wziął te fragmenty. Przypominają one do złudzenia ciągłe ataki Mickiewicza na mędrków i filo-

(*) Posługuję się przekładem angielskim Francis Macdonald Cornford'a, Oxford, At the Clarendon Press, 1951.

zofów. Natomiast niektóre ustępy ,,Republiki'' mogłyby być zaczerpnięte z wypowiedzi Partii w Polsce, gdyby te ostatnie stawiały kropkę nad ,,i''.

Przedmiot widziany z odległości — powiada Plato — *nie wygląda na te same rozmiary jak kiedy jest blisko, prosty kij wygląda jak przełamany, kiedy część jego jest pod wodą, a ta sama rzecz wydaje się wypukła albo wklęsła oku wprowadzonemu w błąd przez kolory. Wszelkie konfuzje tego rodzaju mają miejsce w naszych umysłach; i różne łudzące sztuczki, jak malarstwo sceniczne czy czarodziejskie zaklęcia, wykorzystują tę właśnie słabość naszej natury.*

. . . .

Czym jest artysta? Czy ma on wiedzę, albo poprawne przekonania? Czy z bezpośredniego doświadczenia o przedmiotach które portretuje wie on, które z jego przedstawień są dobre, a które złe? Czy kiedykolwiek zyskał poprawne przekonania będąc zmuszonym słuchać kogoś kto wie i może mu powiedzieć jak rzeczy powinny być przedstawiane?

. . . .

A jednak będzie dalej prowadzić swoją pracę, nie wiedząc w jakim stopniu jego przedstawienia są rozsądne, a w jakim nierozsądne. Jak wolno przypuszczać, odtwarza on to tylko, co zadawalnia smak czy otrzymuje poklask ciemnego tłumu.

Możliwość wychowania pochodzi stąd, że człowiek jest stale w walce ze sobą. Stąd też pochodzi niebezpieczeństwo poezji. Spokojny charakter, panujący nad swoimi namiętnościami, nie pociąga poety; opisuje on uniesienia, rozpacze, krzyki bólu (przede wszystkim Plato godzi w poezję dramatyczną do której zalicza Homera. ,,Poezja'' może tu oznaczać również wiele wieków później narodzoną powieść).

Mamy więc niezłe argumenty przeciwko poecie i możemy go uznać za odpowiednik malarza, do którego jest podobny w dwojaki sposób: jego twory są marne, gdy się je osądza według wzorów rzeczywistości i prawdy, a zwraca się on nie do wyższej części duszy, przeciwnie, tak jak malarz, do niższej. Będziemy więc w pełni usprawiedliwieni, nie przyjmując go do uporządkowanego państwa, ponieważ podnieca on i wzmacnia element który zagraża rozumowi.

Plato po tych wywodach przybiera ton słodki.

Niemniej, należy to oświadczyć, jeżeli poezja dramatyczna, której celem jest dawać przyjemność, wykaże racje dla których powinna istnieć w dobrze rządzonym społeczeństwie, będziemy skłonni przyjąć ją z powrotem, bo jesteśmy świadomi jej wdzięku; grzechem tylko byłoby zdradzić to, co uważamy za prawdę.

. . . .

Trzeba być całkiem pewnym, że możemy przyjąć do naszego państwa tylko poezję, która głosi chwałę bogów i dobrych ludzi. Jeżeli pójść dalej i dopuścić miodopłynną muzę w wierszu lirycznym czy epicznym, wtedy rozkosz i ból zagarną sobie miejsce należne prawu i zasadom zawsze uznanym wspólną zgodą za najlepsze.

. . . .

Jest słuszne więc, aby, zanim wróci z wygnania, poezja ogłosiła swoją obronę wierszem lirycznym albo inną miarą. I, sądzę, powinniśmy pozwolić jej zwolennikom, którzy ją kochają, ale nie są poetami, bronić jej prozą, wykazując, że jest ona nie tylko źródłem przyjemności, ale pożytku dla społeczeństwa i życia ludzkiego.

Przypuszczam, że to wystarczy. Wspomniałem o obiektywizacji, która cechuje np. ,,Pana Tadeusza'' i z Pawlikowskiej robi poetkę bardziej dramatyczną niż liryczną. Jest to jednak obiektywizacja zupełnie innego rodzaju, niż ta jakiej żądają filozofowie. Dziesięć ostatnich lat w Polsce poucza nas, że choć są dalecy od platonizmu, rzeczywistość ma dla nich ,,rdzeń'' racjonalny który przenikają, podczas kiedy artyści i poeci są, według nich, igraszką pozorów, gorzej, bo są narażeni na nacisk podświadomości (klasowej).

Problem bardzo współczesny. Jeżeli się stoi na stanowisku, że środki produkcji nie powinny należeć do osób prywatnych, że państwo ma być hygieniczno-oświatowo-wychowawczym organizmem, jak powinni postępować rządzący ? Tak duża to skala rozważań, że grozi tu zabrnięcie w zanadto teoretyczną dyskucję.



Główne daty dla literatury dziesięciolecia to ,,przełom'' po Zjeździe Szczecińskim 1949 roku, następnie po okresie mocnej ręki i coraz większej apatii pisarza i czytelnika tzw. ,,odwilż'' 1954, wreszcie ,wyprostowanie linii'' latem 1955. Liberalizacja pozwoliła zobaczyć jaka na ciele pacjenta pojawi się wysypka. Z niezliczonych drobnych kontrowersji można wyłowić dwa na prawdę ważne, centralne punkty polemik.

Trzeba powiedzieć, że sprawa ujawniania i osądzania zła istniejącego jeszcze w naszym życiu — pisze Leon Kruczkowski (,,Nowa Kultura'' z dnia 3 lipca 1955) — *jako jednej z niezbędnych funkcji literatury socjalistycznej, była poważnym źródłem trudności z jakimi zmagali się dotąd pisarze Polski Ludowej. Zagadnienie to przez kilka lat stawiane było niejasno i niepewnie, często zupełnie fałszywie, niekiedy wręcz tchórzliwie. Ileż to razy pisarz poruszony groźnym zjawiskiem, albo* daremnie *szukał takiego sposobu postawienia go przed społeczeństwem, żeby i wstrząsnąć jego świadomością i zarazem wykazać, że to tylko przeżytek ,,starego'', nieuchronnie skazany na wyparcie przez zwycięskie ,,nowe'' — albo po prostu cofał się przed podjęciem trudnego tematu ! Ileż to razy ,,cenzura wewnętrzna'' ostrzegała go że wróg tylko czeka na ujawnienie takiej czy innej słabości, tego czy innego błędu, że nie należy dawać żeru szeptającemu* (?) *kołtunowi.*

Wykazywać istotę zła istniejącego jeszcze w naszym życiu — kontynuuje Kruczkowski — *docierać do jego źródeł broczących tuż obok źródeł naszej siły, naszych wielkich i pięknych osiągnięć — oto jeden z ważnych obowiązków stojących przed pisarzem-komunistą. Przed jednym tylko powinna go ostrzegać jego ,,cenzura wewnętrzna'' : przed traktowaniem tego zła jako zjawiska metafizycznego. A tymczasem właśnie dzisiaj w ,,odwil-*

żowych" dyskusjach literackich wypłynęła u nas podstępna, z gruntu fałszywa i zatruta teza „immanentnego zła" w socjalizmie.

Czy ustrój nasz rodzi naprawdę „własne zło"? Czy pod tym względem miał by on nie różnić się od ustroju kapitalistycznego? Czy taka właśnie jest zasadnicza płaszczyzna konfliktów naszej współczesności? Nie — jak najbardziej nie!

Oto pierwszy punkt centralny — i jesteśmy tu znów przy naszych wstępnych rozważaniach o powieści. Gra toczy się nie o literaturę, ale o samą koncepcję człowieka. Mam osobiście wstręt do wszelkiej myśli statycznej która twierdzi, że „wszystko już było" i że przemiany ustrojowe nie polepszą ludzkich losów. Historia zaiste byłaby wtedy stęchłą sadzawką. Jeżeli jednak pisarz, jak Kruczkowski, wypowiada zdania, które przytaczam, robi to wrażenie jednego z tych szaleństw, które rodzą się kiedy z całej przeszłości gatunku ludzkiego robi się *tabula rasa*. Jest to zaczynanie wszystkiego od nowa, kiedy nie można zacząć od nowa. Drobny szczegół jest pominięty: że człowiek jest zwierzęciem. Czymś więcej niż zwierzęciem również. Kruczkowski i jemu podobni z zimną krwią przechodzą jednak nad doświadczeniem, które zebrała ludzkość chociażby w ciągu ostatnich trzech tysiącleci. Zło widzą tylko we własności prywatnej. Zapominają, że ta jest tylko jedną z wielu odmian walki i dążenia do dominacji człowieka przez człowieka. Jeżeli to ma być metafizyka, to niech pokażą co nią nie jest. W stadach ptaków istnieje tzw. przez biologów angielskich „pecking order" to jest że górująca jednostka ma prawo dziobać wszystkie inne, następna w hierarchii wszystkie prócz tej pierwszej, najniższa natomiast jest dziobana przez całe stado. Oto w tłumaczeniu na nasz język: Zło — nie wspominając o sercu ludzkim, które pragnie wszechświata a dostaje miłość do innego człowieka, który będzie mu wydarty przez czas albo śmierć. Przypominać zanadto starą mądrość — to wulgarne. Ale zapominać o niej — to narażać się na zemstę wulgarnej materii, którą się gardzi.

Największą zaletą demokracji ludowej są spory zasadnicze podobne do sporów teologów — z tym rezultatem, że umysł wychowany w burżuazyjnej miękkości nie rozumie z nich nic. Jednak nowy ustrój nie wyda nowego człowieka jeżeli jego teoretycy nie będą odróżniać rzeczy możliwych od niemożliwych. Głównym warunkiem górowania jakiegoś ustroju nad innym jest uświadomienie sobie przeszkód i granic. Stwarzając, niezależnie od likwidacji własności prywatnej, wszelkie warunki do dominacji człowieka przez człowieka, a raczej funkcjonariusza przez funkcjonariusza, ma się nadzieję poprawić niedobrych ludzi przy pomocy kazań. Słabe środki.

Klasyczny argument przeciwko tezie „immanentnego zła" powołuje się na przeżytki kapitalizmu, na „stare" którego w ciągu dziesięciu lat nie dało się wyplenić. Ci co go używają zachowują się jakby nie czytali pism rosyjskich, gdzie podobny niepokój wyłania się po latach bez mała czterdziestu.

Powstaje podejrzenie, że powieść nabrała takiego rozpędu od swoich początków w XVII wieku, tak wiele zagarnęła obserwacji, że trudno jej stać się nagle „pierwszą naiwną". Ale kto żąda dla niej po prostu „wolności" pomija specyficzne zadania jakie przed nią stawia każdy okres — te np. które zadecydowały o charakterze dzieł Dickensa, pokazującego cenę jaką należało płacić za industrializację Anglii. Przypuszczam, że mała przydatność literatury wiąże się z kwestią tzw. paruzji to jest wypełnienia się czasów — pierwsi chrześcijanie czekali na powrót Chrystusa przez kilka pokoleń, po czym zaczęli urządzać się w świecie. Literatura, jak się zdaje, spełnia swoje funkcje tam gdzie słabnie wiara w raj ziemski, która zresztą może być potężną podnietą do osiągnięć grup ludzkich np. przez mistyczny kult produkcji. Oczywiście w zestawieniu z Najwyższym Celem literatura jest tylko głupią zabawą. Z drugiej strony jednak brak nadziei przemian, a więc stagnacja społeczeństw, doprowadza literaturę i sztukę do zwyrodnienia. W tej podwójności granic zawiera się coś jak zasadnicza sprzeczność człowieka. W Polsce więc chyba warunki do tworzenia wielkich dzieł powstaną nie wcześniej, aż „paruzja" nieco się zamgli a stopniowa poprawa, poprzez krytykę istniejących instytucji, będzie przedstawiała się jako możliwa.

Teraz drugi punkt centralny czy też herezja. Podstaw do niej dopatruję się w artykule Leszka Kołakowskiego („Światopogląd i Krytyka", „Nowa Kultura" z 16 stycznia 1955). Krytykując dogmatyzm jako chorobę marksistów powiada on:

W życiu społecznym marksizm wydobył zjawiska kierujące procesami historycznymi, zasadnicze determinanty dziejów, nie wyczerpujące wszakże życia ludzkiego; przy pomocy pojęć oznaczających te zjawiska — takich jak siły wytwórcze, klasy, narody, baza i nadbudowa, prawa dziejowe itd. — przy pomocy tych kategorii można opisać naczelne linie dziejowych procesów: nie można opisać wszystkiego co się dzieje w życiu społecznym a co bywa często ważne i godne uwagi — jeżeli nie dla filozofów, to w każdym razie dla wielkiej części uczestników i współtwórców tego życia".

W innym miejscu artykułu:

Wszystko co było poza tym (poza uznanymi terminami, przypisek mój), *było lekceważone i ignorowane na mocy milcząco przyjętego, a fałszywego i niebezpiecznego przekonania, że wszystkie poglądy które nie dają się sformułować w aparacie pojęciowym, opracowanym i przyswojonym dotychczas przez marksizm, nie są w ogóle godne uwagi i nie należy starać się ich zrozumieć.*

I jeszcze jeden fragment:

Rezultaty tej sytuacji ujawniły się w sposób jaskrawy w niektórych opłakanych doświadczeniach literatury pięknej, kiedy usiłowała ona zredukować swoje zainteresowanie życiem ludzkim od zakresu zjawisk, teoretycznie opisanych i skatalogowanych przez doktrynę filozoficzną, staczając się tym sposobem do prymitywnego symbolizmu, w którym ludzie reprezento-

wali wyłącznie pewne kategorie socjologiczne wyuczone przez pisarza i a priori wyznaczające schematy ludzkich działań.

Stwierdzenia Kołakowskiego odpowiadają prawdzie. Młodzi krytycy literaccy z Krakowa, nie koniecznie zresztą nawiązując do tego artykułu — cytuję go, bo wprowadza od razu w sedno — wystąpili z tezą, że poznanie artystyczne jest inne w gatunku od poznania naukowego (to jest poprzez marksizm). W istocie, jeżeli postacie utworów literackich nie mają wyłącznie reprezentować kategorii socjologicznych *wyuczonych przez pisarza,* musi się on zdobyć na samodzielność. To znaczy musi się odwołać do własnej percepcji rzeczywistości, innej niż percepcja filozofa. Tutaj wskakujemy w sam środek kontrofensywy malarzy i poetów przeciwko atakom Platona. Reakcja Partii i Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk szła po linii platońskiej : potępiono ,,subiektywizm'' i zapytano na czym ostatecznie ma opierać się pisarz jeśli nie zastosuje teorii naukowej, wyjaśniającej rzeczywistość (a więc obnażającej jej ,,rdzeń'').

Dyskusja, gdyby toczyła się dalej, nie mogłaby się ograniczyć do przeciwstawienia : filozof-artysta. Na jej horyzoncie już jest pytanie w jakim stopniu wolno przenieść metody i kompetencje nauk ścisłych (XIX wieku) w sferę zjawisk społecznych czyli na ile usprawiedliwiona jest pewność siebie ,,czynników miarodajnych'' zapewniających, że Plato był tylko filozofem, a oni reprezentują coś więcej, bo Naukę. Nie sposób tutaj nawet zbliżyć się do tego splotu trudności najważniejszych dla naszego stulecia. Istotna jest tu i ,,dwu-pedałowość'' marksizmu: pedał materialistyczny i pedał dialektyczny, które przyciska się na przemiany, stosownie do potrzeby, a także odpowiadające im dwa elementy : naukowy i profetyczny, więź między którymi jest co najmniej niejasna (materia poddana prawom ścisłego determinizmu pracuje żeby wydać szczęśliwe społeczeństwo ludzkie). Ważniejszy jeszcze jest sposób w jaki używa się Marksa. Tak np. Kardelj oświadczył niedawno, że wiedza nasza o prawach rządzących rozwojem społeczeństw, a w szczególności społeczeństw likwidujących prywatną własność środków produkcji, jest bardzo niekompletna. Niezwykle ciekawe sformułowania pisarzy jugosłowiańskich w czasie ich ostatniego zjazdu (jesień, 1954) zrozumiałe się stają w świetle tego umiaru jugosłowiańskich polityków. Gdyż jeżeli wiedza jest niekompletna, to pisarz może przyczynić się do jej wzbogacenia, czerpiąc z jemu właściwych percepcji. Marks był zdania, że z dzieł Balzaka można więcej nauczyć się o Francji pierwszej połowy stulecia niż ze wszystkich razem dzieł historyków i teoretyków. Balzac na pewno jednak nie zawdzięczał swoich bohaterów teorii naukowej. Autor który w Polsce na to się powoła, usłyszy że podwójne poznanie — artystyczne i naukowe — wystarczało w epokach improwizacji, nie może wystarczyć dziś. Taką mniej więcej treść miało — dyskretne zresztą — jak na ciernisty temat przy-

stało, przywołanie do porządku młodych krytyków, przede wszystkim Flaszena.

Dążyłem do wykazania powagi sporów jakie przypadły na rok 1955. Z tego względu pominąłem nurty uboczne i starałem się przedostać poza ,,zasłonę dymną'', to jest częstą mętność używanych terminów.

Czesław MIŁOSZ

Notatki z podróży

Młody pisarz belgijski, Guy Fenaux, brał udział w warszawskim Festiwalu Młodzieży. Oto garść wrażeń z kilkunastodniowego pobytu w Kraju, przede wszystkim w Warszawie, spisanych dla czytelników ,,Kultury''.



Warszawa. Wita nas dworzec prostotą swych peronów i szarzyzną murów. Jest to budynek tymczasowy. Jakby mała stacja prowincjonalna, pełna wielkich ambicji. Ale wkrótce powstanie wspaniały dworzec główny.

Wygląd ulicy jest smutny. Mury z cegły, brudne, tramwaje wlokące się po szynach, pośpiech widoczny u ludzi — i kioski, przy których kilka osób popija piwo. I skądś pachnie pączkami. Wiele domów zburzonych. W ocalałej izbie mieszka rodzina, czekając aż zostanie ukończony sąsiedni blok, gdzie otrzyma skromne pomieszczenie. Wiele domów zburzonych. Na odgruzowanym placyku gromada wyrostków gra w koszykówkę. Wiele domów zburzonych. Wielka aleja przebiega środkiem, obrzeżona chodnikiem. Już położono szyny tramwajowe w stronę kilku buildingów czerwieniących się świeżą cegłą. To nowa Warszawa, zastępująca pomału dawną.

Tramwaj toczy się powoli. Na platformach ścisk, a reszta pękami zwisa na stopnie. Pomimo iż wewnątrz wozu jest jeszcze miejsce. Tylko że, jadąc na stopniach, można ujść uwadze konduktora. A gdyby nalegał, wystarczy zeskoczyć w biegu...

Na prawo kilka ocalałych budynków. Są to najczęściej partery. To wszystko co ocalało. Po lewej stronie widać przygotowania do budowy metra (która prawdopodobnie nie ruszy z miejsca z powodu podskórnej wody). Wreszcie ogromny plac, będący salą zabaw dla mieszkańców Warszawy, w pośrodku którego wznosi się jodła: Pałac Kultury i Sztuki, choinka podarowana Polsce na gwiazdkę przez Związek Sowiecki.

Z bliska Pałac robi wrażenie. Góruje nad stolicą całą swą wysokością, powiększoną jeszcze o antenę telewizyjną. Z daleka jednak razi ta jodła, posadzona w pośrodku brzóz. Zresztą nie cieszy się sympatią warszawian, opowiadających sobie taki dowcip: ,,Skąd Warszawa jest najpiękniejsza? — Ze szczytu Pałacu, bo stamtąd go nie widać''.



Cudzoziemcowi przechodzącemu się ulicami Warszawy rzuca się w oczy wielki trud podnoszenia z ruin. Po mieście chodzi się jak po budowie. Pomimo częstych jeszcze wyrw w ścianach ulic, budynki wypierają coraz bardziej martwą przestrzeń. Pięknymi niewątpliwie osiągnięciami, gdy chodzi o architekturę, jest most Śląsko-Dąbrowski, łączący lekkim łukiem oba brzegi Wisły i gmach P.P.R.-u, solidny, lecz nie pozbawiony elegancji. No i stadion ukończony ostatnio.

O ile jednak kamienie ulegają odnowie, wydaje się, że ludzie pozostali takimi jakimi byli. Reżym komunistyczny nie potrafił wykorzenić indywidualizmu Polaków, indywidualizmu, który rzuca się w oczy. Wystarczy usłyszeć jak dyskutują, zobaczyć jak się ubierają: dalecy są od konformizmu. Wystarczy obserwować ich na ulicy, w tramwaju, w ogonkach przed kinami, czy w sklepach, aby zauważyć, że żaden z nich nie przepuści okazji aby nie wcisnąć się na lepsze miejsce, przed innych. Jest to bardzo podobne do tego co widujemy we Francji. Indywidualizm ten znika dopiero w chwili uświadomienia sobie przynależności do tej samej rodziny etnicznej i kulturalnej.

Do Gdańska jechałem w nocy. Pociąg był przepełniony, ludzie ściśnięci w przedziałach. Byli to chłopi, studenci lub pracownicy jadący do Sopotu na urlop. Mogłem bez najmniejszych trudności nawiązać rozmowę, gdyż Polacy przepadają za cudzoziemcami, tym bardziej od czasu gdy są pozbawieni kontaktów z zagranicą. W przedziale poznałem dziennikarkę, pisującą do jednej z gazet prowincjonalnych, i młodego studenta architektury. Rozmawialiśmy po niemiecku. Wkrótce rozmowa zeszła na Powstanie. Młody student nie wahał się zaprzeczyć swej rozmówczyni, kiedy mówiła o walce pomiędzy „czerwonymi" i „białymi". Była, jak wynikało z jej słów, członkiem partii, podczas gdy student do partii nie należał. Dziennikarka twierdziła, że wojska sowieckie zatrzymały się u bram Warszawy ze względów strategicznych, student zaś utrzymywał, że Rosjanie obawiali się oporu „białych", który to opór mógłby był zaistnieć gdyby wkroczyli za prędko.

Do dyskusji wtrącali się inni towarzysze podróży, chcąc wiedzieć co mówiliśmy, zapytując kim jest cudzoziemiec; nic więc dziwnego że do samego Gdańska nie zmrużyłem oka.

Podobną wolność słowa zauważyłem również w Gdańsku. Młody student architektury chciał za wszelką cenę, abym zaszedł do niego. Była to rodzina mieszczańska. Pani domu, w szlafroku i pantoflach, podała nam śniadanie. (Była to macocha, matka studenta zmarła w obozie). Potem poprosił mnie do siebie ojciec mego przygodnego znajomego. Wszedłem do pokoju, w którym zgromadzone zostało całe bogactwo domu: kilimy o dziwacznych wzorach, porcelana, ceramika, a na murach rodzinne portrety.

W towarzystwie obu panów, ojca i syna, spędziłem cały dzień. Oprowadzali mnie po Gdańsku odbudowanym przez złotników. Na każdym domu znać opiekę rąk delikatnych, tych które odnowiły freski i przywróciły do życia dawne szyldy. Ojciec chciał mi pokazać wszystko. Podkreślał zasługi i jakość pracy Polaków i starał się mnie przekonać, że Gdańsk nigdy nie był miastem niemieckim. Tłumaczył mi również, że Rosjanie tylko dlatego oswobodzili Polskę, ponieważ leżała na drodze do Niemiec, dokąd maszerowali. Syn uśmiechał się, i jakby na usprawiedliwienie dodawał: „Ojciec ubóstwia swe miasto i stąd ten szowinizm".

◆

W Warszawie, na przystanku tramwajowym. Naprzeciw kiosk tytoniowy i kobieta sprzedająca jabłka. Na ulicy kilka osób; kobiety w letnich sukienkach (z brzydkiego materiału), mężczyźni w marynarkach ale bez kra-

watów i dzieci błyskające opalenizną poprzez rozpiętą koszulkę. Kolega częstuje mnie papierosem. W tym momencie jakiś młody Polak — może skuszony zagraniczną paczką papierosów? — daje nam do zrozumienia, że chciałby również zapalić. Zdziwiony, robię głośną uwagę, po francusku, na temat gestu młodego Polaka. W chwilę potem podchodzi do nas starszy pan, mający w zachowaniu swym wiele dystynkcji, i ofiarowuje nam paczkę polskich papierosów. Było coś wzruszającego w uprzejmości z jaką starał się nadrobić nietaktowne postąpienie swego rodaka. Gest ten, lepiej niż długie przemówienia, wyraża poczucie solidarności narodowej istniejące u każdego Polaka, i jego dumę że jest Polakiem.



Polak niczym się nie przejmuje, bywa egoistą, jest zdolny do szczodrości, nie uznaje dyscypliny i zawsze daje sobie jakoś radę. Nie przejmuje się, kiedy godzinami każe ci czekać przy okienku, gdzie przybyłeś po drobną informację. Niezdyscyplinowanie uderza na każdym kroku. Policjanci kierujący ruchem ulicznym w Warszawie muszą mieć chyba anielską cierpliwość, mając do czynienia z okropnym „elementem pieszym".

Egoizm Polaka da się wytłumaczyć latami wojny i niedostatków, potrafi jednak być również bardzo hojny a gościnność jego nie ma równej pod słońcem. Często czułem się aż zażenowany, widząc jak wspaniałe gotowano mi przyjęcie — czy to w Gdańsku, w Warszawie, czy w Nowej Hucie — ponieważ znałem zasoby, przeważnie bardzo skromne mych gospodarzy.

Polak zawsze daje sobie jakoś radę. Pewnego dnia zaczepiła mnie Polka mówiąca słabo po francusku. Chciała żebym jej pomógł. Otóż na czas trwania Festiwalu otwarto specjalne sklepy dla uczestników. Ceny były wprawdzie te same co gdzie indziej, ale towar był w lepszym gatunku, eksportowy. W jednym z tych sklepów kupiłem dla pani X. trzy i pół metra materiału na ubranie dla jej męża. Tłumaczyła mi że życie jest ciężkie, zarobki nie wielkie, a za to ceny wysokie. I odeszła z kuponem pięknego, jak mówiła „eksportowego" materiału pod pachą.



Do Polski pojechałem w ramach Festiwalu Młodzieży. Korzystałem z klimatu wytworzonego przez odprężenie genewskie, ale nie wydaje mi się by moje kontakty z Polakami były sztuczne.

Widziałem naród, przy ogromnej pracy; jego poziom życiowy ulega na pewno poprawie. Widziałem naród w pełni odbudowy i w pełni uprzemysłowienia. Widziałem ludzi, którzy skarżyli się na reżym i innych, którzy nie narzekali. Ale nie widziałem nędzy, w pełnym, materialnym sensie tego słowa. Istnieje tam przymus moralny. Jest czymś co widać i obecne czynniki kierownicze wcale nie skrywają swego *kierowania*. Pomimo to przymus ten nie wpłynął na zasadnicze cechy narodu polskiego, jak to mogłem zauważyć. Polacy są nadal indywidualistami; zachowali poczucie humoru i dar ciętej krytyki. Są przywiązani do tego co najbardziej polskie: do tradycji rodzinnych i do religii.

Pierwszą rzeczą jaka uderzyła mnie po przyjeździe do Polski jest jej zachodniość. Może się mylę, ale wydaje mi się, że zarówno wpływy Kościoła pośród ludu, jak również wpływy Francji (wybiegające na pewno poza szczupłe grono intelektualistów) są zawsze żywe. Naród polski jest jeszcze ciągle najbardziej łacińskim pośród Słowian.

Guy FENAUX

(Przekład M. Pankowskiego)

Śmierć i pogrzeb Wincentego Witosa

31 *października* 1945. — Dziś przyszła do nas, do Warszawy, depesza o śmierci Witosa. Umarł o 6,30 rano, w szpitalu Ojców Bonifratrów w Krakowie. Chociaż byłem na taką wiadomość przygotowany, ale jak przyszła zrobiła duże wrażenie. Zawsze w życiu tak bywa. Wiadomo, że coś ma nadejść nieodwołalnie i człowiek z góry uodpornia się na tę chwilę, ale gdy nadejdzie, wszystkie poduszki, jakimi się poobkładał, nie chronią od wstrząsu. Przyzwyczaiłem się od wielu lat patrzeć na Witosa nie tylko jako na głowę stronnictwa ludowego, ale także jako na jedną z najwybitniejszych postaci naszego życia publicznego, poza tym interesował mnie jako człowiek i jedyne w swoim rodzaju w Polsce zjawisko. Bosonogi młody drwal, spieszący o świcie po mokrej rosie do lasów księcia Sanguszki, z czasem trzykrotny premier rządu Rzeczypospolitej Polskiej. Pierwszy chłop na tym stanowisku. Było w tej karierze coś niezwykłego, coś z awantury wcale nie gorszej od zdobycia bieguna, czy postawienia światowego rekordu. Jaka siła wyniosła Witosa na tak zawrotną dla niego wysokość? Czy może ciśnienie mas chłopskich, pchających się do życia i władzy, czy też własne jego wybitne ja, które te masy nieraz urabiało i pchało w obranym przez niego kierunku? Prawda z pewnością leży pośrodku, w połączeniu obu tych czynników.

W każdym razie mam świadomość tego, że zeszedł ze świata jeden z ostatnich ludzi, którzy kształtowali historię lat niepodległych, w dodatku opuścił nas w momencie, kiedy znaleźliśmy się w zażartej walce z nową siłą, jakiej Polska uległa.

Nadpłynęły wspomnienia. Obraz za obrazem, jedno zdarzenie za drugim. Witosa znałem mało. Przed jego powrotem w roku 1938 z emigracji, z Czech, widywałem go od czasu do czasu

---

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

w domu mego ciotecznego brata, dr. Zygmunta Gralińskiego, dawniej posła z ,,Wyzwolenia'', z którym razem w tych czasach mieszkałem. Spotykanie Witosa i innych wybitnych polityków ułatwiał poniekąd fakt, że w domu abstynenta Gralińskiego pełniłem funkcje jak gdyby podczaszego i stąd pamiętam, że Witos nie gardził kieliszkiem dobrej wiśniówki, aczkolwiek na tym polu niczym wybitnym się nie odznaczał i taki na przykład Niedziałkowski bił go na łeb na szyję. Nie zajmowałem wówczas w hierarchii partyjnej Stronnictwa Ludowego takiego stanowiska, które by mnie zbliżało do jego głowy — Witosa, toteż dając pilne baczenie na kieliszki, byłem raczej tylko uważnym słuchaczem tego, co mówił. Uderzył mnie wówczas spokojny rozum i wewnętrzna powaga tego człowieka. Odnosiłem się do niego z dużą atencją, której nie mogła w żaden sposób zrozumieć nasza służąca Janinka, dziewczyna świeżo przybyła ze wsi, która na ten temat wypowiadała, a ściślej mówiąc wymrukiwała pod nosem, dość sarkastyczne uwagi. Gdy jej tłumaczyłem, że Witos to były premier, czyli kierownik rządu, czyli główna osoba, która rządziła Polską, także jej, Janinki, powiatem, gminą, wsią oraz nią samą, — Janinka wzruszała ramionami i na wszystko miała tylko jedną odpowiedź :

— Ale przecie to jest zwyczajny chłop.

Gdy podawała Witosowi półmisek, zezowała w jego stronę i w ruchach jej można było zauważyć pewien odcień lekceważenia. Na szczęście spostrzegali to tylko wtajemniczeni. Przyniosła ona z jakiejś zabitej deskami wsi wyraźny podział ludzi na trzy kategorie i w początkach pobytu w naszym domu dawała temu wyraz, anonsując gości nie z nazwisk, a z jej własnego przydziału do odpowiedniej grupy społecznej :

— Przyszedł jakiś pan... przyszedł jakiś chłop... — lub — przyszedł jakiś Żyd... W ten ostatni sposób oznajmiła kiedyś przybycie wybitnego ekonomisty, profesora Tennenbauma. Cóż robić ! Janinka, nie zdając sobie sprawy z tego, chorowała na jedną z licznych odmian tzw. ,,kompleksu pańszczyźnianego'', według którego władza należała do panów, a praca do chłopów. Witos, który zwalczał tę popularną chorobę wsi polskiej, dążąc zaciekle do równouprawnienia chłopów w życiu publicznym, sam zresztą nie był wolny od jej niektórych objawów.

A oto Witos na ławie oskarżonych, w niesławnej pamięci procesie brzeskim. Będąc sam adwokatem w Warszawie, przesiadywałem godzinami na sali sądowej, chłonąc z wrażliwością lat młodych wszystko, co się dookoła działo. Nie pokazałem się tylko w czasie badania policjantów z powiatu miechowskiego, by nie być przez nich rozpoznanym. Towarzyszyłem bowiem Kazimierzowi Bagińskiemu, gdy prowadził dwa tysiące chłopów z tego powiatu na Kongres Centrolewu w Krakowie i razem przekroczyliśmy kordon policji z bagnetami na karabinach, która zastąpiła pochodowi drogę, za co Bagińskiego pociągnięto do odpowiedzialności właśnie w tym procesie.

Na ławie oskarżonych znane i wybitne postacie z Herszem

(jak mówił akt oskarżenia) Liebermanem na czele, a obok niego Witos. Na ławie obrońców kwiat polskiej palestry, z Leonem Berensonem na pierwszym miejscu. Na sali dużo znajomych, zasłuchanych twarzy i atmosfera zrozumienia tego, co się na niej rozgrywa. Przysłuchując się procesowi, wyraźnie odczuwałem nie tylko tę krzywdę, jaka spotkała oskarżonych, ale także tę, jaką wyrządzono krajowi czy historii polskiej. Rzucało się w oczy, że Witos odgrodził się od sądu i natarczywych prokuratorów Grabowskiego i Rauzego jakimś niewidzialnym murem. Mówił do nich z wyraźnego dystansu, z wysoka, z wielką naturalną godnością. Nie raz w pytaniach sędziów wyczuwało się zażenowanie. Końcowe przemówienie Witosa było skończonym majsterszytkiem. Pozbawione jakichkolwiek zwrotów retorycznych, bez zbędnych słów, uderzało prawdą i trafnością ocen. Widać było, że mówił prawdziwy mąż stanu.

Gdy w roku 1938 Witos wrócił z Czech do kraju, sytuacja moja w Stronnictwie Ludowym była już odmienna. W międzyczasie zostałem wybrany jego prezesem na Województwo Białostockie, a więc posunąłem się znacznie w górę po drabinie partyjnej. Witos, mimo że już chory i z trzęsącą się ręką, objeżdżał każde województwo i ja go również zawiozłem autem do Białegostoku na zjazd działaczy stronnictwa. Dziwne było to pierwsze zetknięcie się delegatów chłopskich z nieobecnym przez kilka lat przywódcą, którego nazwisko na wsi stało się już legendą. Nie wiadomo dlaczego, chłopi ustawili się na niewielkim podwórzu w dwuszereg. Gdy Witos wyszedł z auta, chłopi zdjęli czapki. Witos zdjął także swoją i ruszył wzdłuż dwuszeregu. Nie padł żaden okrzyk, cisza jak makiem zasiał. Witos wzruszony, z lekkim uśmiechem mijał stojących, patrząc im w twarze zwilgotniałymi oczyma. Chłopi stali bez ruchu i słowa, wpatrzeni w niego jak w obraz. W tym spojrzeniu mógł wyczytać wszystko : żal, że się postarzał i jest chory, skargę że jest bieda, zmęczenie pracą i opozycją, słowem całą tę gamę uczuć, które rodziła w Polsce przedwojennej niewesoła chłopska dola. Szedłem za Witosem zażenowany tą ciszą, która wyraźnie ciążyła na spotkaniu. Gdy skończył ten przegląd, stanął, chciał coś powiedzieć, wreszcie odwrócił się i bez słowa wszedł na salę, a chłopi za nim. To milczące powitanie popularnego przywódcy tak odbiegało od zwyczajowych polskich okrzyków i wiwatów, a jednocześnie tyle w sobie miało niewypowiedzianych uczuć, że pozostało w mej pamięci do dziś dnia.

W czasie zebrania Witos coraz to zadawał mi pytania o poszczególnych delegatów. A to jak się nazywa, a skąd pochodzi i tym podobne. Odpowiadałem jak umiałem, nie wahając się mówić ,,nie wiem'', gdy nie znałem nazwiska któregokolwiek z osiemdziesięciu obecnych. Uderzyła mnie ilość tych pytań i pewna w nich natarczywość. Powód ich wyjaśnił mi sam Witos w czasie krótkiej przekąski przed powrotem do Warszawy, mówiąc z uśmiechem :

— Jak na człowieka, który stale mieszka w Warszawie, znacie mecenasie dość dobrze swoich terenowych działaczy.

Okazało się, że Witos po prostu i zwyczajnie egzaminował mnie, by się przekonać, czy postarałem się poznać tych ludzi, którzy wybrali mnie swoim prezesem.

Druga pochwała, jaka mnie spotkała z jego ust, miała już wartość dość problematyczną. Witos, omawiając na posiedzeniu Naczelnego Komitetu Wykonawczego Stronnictwa Ludowego wrażenie swoje z objazdu ośrodków stronnictwa w całej Polsce, gdy doszedł do Województwa Białostockiego, powiedział dosłownie :

— Województwo to było zawsze słabe i tylko trochę się w nim poprawiło, ale muszę powiedzieć na jego pochwałę, że jest to jedyne województwo, w którym nikt nie próbował wprowadzić mnie w błąd.

Obecni przygryźli wargi i pospuszczali oczy. Widocznie w słowach Witosa było źdźbło prawdy.

Witos nie lubił socjalistów. Trudno mi powiedzieć czy doktrynę, czy przywódców. Liczył się z P.P.S., znając popularność wśród chłopów hasła współpracy chłopsko-robotniczej, ale od czasu do czasu urządzał demonstrację swej niechęci. Stałem się kiedyś biernym uczestnikiem takiego pokazu.

Na krótko przed wybuchem wojny, Zygmunt Graliński zawiadomił mnie nieco zdziwiony, że u niego w mieszkaniu odbędzie się spotkanie Witosa, Rataja i jego z Pużakiem, Niedziałkowskim i jeszcze innymi wybitnymi socjalistami i że prezes Witos życzy sobie, żebym na nie przyszedł. Byłem również zaskoczony tym zaproszeniem, które wyglądało na pewne wyróżnienie. Zjawiłem się punktualnie i z nabożeństwem ściskałem dłonie przybywających kolejno uczestników zebrania. Gdy już wszyscy byli obecni, Witos przeprosił zebranych i wziąwszy mnie pod rękę, wyprowadził na balkon. Tam, przez blisko pół godziny wypytywał mnie o jakieś nieważne organizacyjne sprawy. Udzielając stereotypowych odpowiedzi na tematy dobrze mu znane, zachodziłem w głowę, jak Witos mógł sobie wybrać na rozmowę ze mną taką chwilę, kiedy parę wybitnych osób czeka na niego w sąsiednim pokoju. Po pół godzinie podziękował mi grzecznie za ,,wartościowe opinie'' i wróciliśmy do bladych z obrazy uczestników zebrania. Pożegnawszy się, wyszedłem natychmiast.

Wieczorem, przy kolacji zapytałem Zygmunta, co miał znaczyć cały ten incydent. Wyjaśnienie było bardzo charakterystyczne dla taktyki Witosa :

— Urządził sobie rozmowę z tobą na balkonie, by pokazać socjalistom, że nie przywiązuje zbytniej wagi ani do ich osób, ani do rozmowy z nimi.

Tak to raz w życiu stałem się ,,narzędziem w ręku Witosa'', mówiąc stylem przedwojennej ,,Gazety Polskiej''. A może więcej razy ?

Dość jednak wspomnień! Śmierć Witosa w takiej chwili jest dla nas i dla kraju ciężkim ciosem. Jego miejsce zajmie Mikołajczyk. Z jakim skutkiem?

3 *listopad* 1945. — Dziś rozlepiono klepsydry i ogłoszono nekrologi z podpisem Bieruta, które mówią, że Witos był wiceprezydentem Krajowej Rady Narodowej. W istocie był nim i nie był, bo chociaż nominacji nie odrzucił, ale też nie dokonał żadnego aktu w tym charakterze. Sytuacja dość niejasna. Czym się Witos kierował, nie zajmując wyraźnego stanowiska? Może po prostu był ciężko chory? Trzeba to będzie w przyszłości zbadać.

4 *listopad* 1945. — Od czasu pogrzebu Piłsudskiego Kraków nie widział takich tłumów i takiej powszechnej żałoby. Ze szpitala przeniesiono zwłoki Witosa do kościoła Najświętszej Panny Marii w Rynku. W olbrzymim pochodzie wojsko, szkoły, bractwa, cechy, zakony, księża w czarnych ornatach i białych komżach, a ponad nimi rozwiane chorągwie i krzyże. Ta rzeka przepływa przez wielotysięczną, zbitą, milczącą masę ludzi, wpatrzoną w przesuwającą się wolno ponad głowami trumnę. W tłumie słychać płacz, zagłuszany przez wstrząsający żałobny śpiew, który mnie zawsze przyprawia o dreszcz, i głos bijących na trwogę dzwonów, niesiony na skrzydłach spłoszonych, krążących gołębi. Za tłumem stoją nieruchomymi rzędami piękne historyczne budynki Krakowa, zapadłe w zadumę. Widziały wiele pogrzebów królów, ale po raz pierwszy widzą pogrzeb chłopskiego drwala i nie mogą przyjść do siebie ze zdumienia.

Ulegam nastrojowi żałoby, która ogarnęła o tej godzinie cały Kraków, przepaja każdy jego kamień i przenika do każdego zakątka każdej duszy ludzkiej. Ale wrodzony sceptycyzm podszeptuje krytyczne uwagi:

— Skąd ta powszechna żałoba? Przecież popularność Witosa wiązała się ze wsią, skąd więc te tysiączne miejskie tłumy, nieraz w przeszłości wrogie wobec niego?

Odpowiedź przyszła, gdy po mszy trumnę wyniesiono na Rynek. Tam na mównicę, ustawioną na wspaniałym tle Sukiennic i kościoła Mariackiego, wszedł ubrany na czarno Bolesław Bierut, by pożegnać prochy Zmarłego.

Na historyczny rynek krakowski, który tyle przeżył w swoim istnieniu, spadła martwa cisza. Każdy na Rynku pojął dramat tego widowiska. Oto byłego premiera tego rządu, który w 1920 roku odparł najazd bolszewicki na Polskę, żegna agent sowiecki, którego nowy najazd osadził w Polsce i nazwał jej prezydentem.

Z tłumu buchnęła nienawiść jak płomień. Niewypowiedziana żadnym gestem, żadnym okrzykiem, a bijąca w Bieruta spotęgowaną ciszą, wśród której rozlegały się głucho jego obłudne frazesy.

Teraz zrozumiałem, że Kraków żegnał w Witosie szlochami i żałobą przeszłość, dwadzieścia lat niepodległości, z którą nazwisko jego łączyło się nierozerwalnie. Tłum przenikała jedna myśl: Witos w grobie, Bierut na mównicy. Symbol zmiany, którą każdy w tej chwili odczuwał w całej jej wadze.

Po przemówieniach naszych przedstawicieli, uformował się olbrzymi pochód i poszedł w kierunku Wisły. Tutaj, przy moście, Bierut złożył kondolencje córce Witosa, Masiowej, i odjechał ze świtą. Z tysiącznych piersi wyrwało się westchnienie ulgi. Atmosfera oczyściła się, jak po burzy. Ze zmarłym zostali sami swoi. Trumna, złożona na zwyczajnym chłopskim wozie i otoczona konnymi banderiami Krakusów, ruszyła w ostatnią podróż Witosa do jego rodzinnych stron.

6 *listopad* 1945. — Jestem w Wierzchosławicach i rozglądam się ciekawie po wsi, która wydała Witosa. Zabudowania porządne, wygląda zamożnie. Myślę o Witosie. Tu wyrósł, dotąd zawsze wracał. Do tej wsi i ziemi, której miał około dwudziestu morgów, tęsknił tak bardzo na wygnaniu w Czechosłowacji. Przywieźli go tutaj na chłopskim wozie. To taki sam symbol jak spinka pod szyją, na której Witos nigdy nie zawiązał krawatu. Nie mogłem się powstrzymać od tego, by na nią nie zerkać, gdy go spotykałem. W tej spince wyrażała się określona myśl polityczna, granicząca nawet z urazem. Witos był przesadnie wrażliwy na to, by go chłopi nie posądzili, że wysokie godności zabrały go z ich środowiska, że ,,spaniał''. Spinka w kołnierzu koszuli miała podkreślać, że wciąż należy do nich.

Pochód szedł z Krakowa trzy dni i przebył osiemdziesiąt osiem kilometrów. Prowadzili go od parafii do parafii miejscowi księża. Wszędzie wzdłuż drogi tysiące chłopów, stojących z gołymi głowami na przenikliwym zimnie w żałobnym skupieniu, wszędzie bramy triumfalne, banderie konne, delegacje, sztandary, kwiaty, szpalery młodzieży, bicie dzwonów i żałobny śpiew. Wieńce przywieźli na czterech drabiniastych wozach. W Bochni na Rynku, wielka manifestacja całej okolicznej ludności. Trumna otoczona góralami i krakusami. To samo w Brzesku i Wojniczu. Do Wierzchosławic dotarł pochód długi na kilka kilometrów.

Dziś tutaj zebrało się około stu tysięcy chłopów. Od czasów manifestacji w Nowosielcach nigdy ich tylu nie zgromadziło się razem. Jest zimno i pochmurno, ale deszcz nie pada. Okoliczne błonia, pastwiska, drogi i podwórza zapchane wozami i ciężarówkami. W studniach zabrakło wody. Ścisk wszędzie nieopisany. Jest około siedemdziesięciu księży. Z Warszawy przybyli premier Osóbka, Grabski, Szwalbe i inni. Jestem wśród naszych, więc udaje mi się dostać przy pomocy straży porządkowej do kościoła parafialnego, którego ściany pękają od ścisku. Pcha się przede mną do wrót przystojny młody człowiek w alianckim mundurze i czarnym berecie. Jest to tak rzadki

widok, że wszyscy patrzą na niego z ciekawością i nawet zbiegli się fotografowie. Gdy zwrócił do nich głowę, wydaje mi się, że to Ksawery Pruszyński. W kościele zaduch, masa płonących świec i głębokie, pełne przejrzystych aluzji do obecnej sytuacji, kazanie. Stoję w zbitej masie mokry od potu i myślę, co by to było, gdyby Witos poleciał był w czasie wojny do Anglii. Może by żył jeszcze. Był już ulokowany w pobliżu tajnego lotniska, skąd go miał zabrać aliancki samolot, ale do odlotu nie doszło. Jedni mówią, że Witos był zbyt chory, by można było ryzykować podróż samolotem, drudzy — że Mikołajczyk w Londynie stwarzał coraz to nowe przeszkody, licząc się z tym, że w razie przybycia Witosa będzie musiał ustąpić miejsca i pierwszeństwa. W rezultacie Witos nie poleciał i do ciężkich przeżyć niemieckiej okupacji, spędzonej częściowo w więzieniu, dołączyły się nowe cierpienia. Aresztowany przez NKWD., był już wieziony do Rosji, ale na interwencję Bieruta, Gomułki i innych, którzy obawiali się złego wrażenia w kraju, zawrócono go z powrotem do Wierzchosławic. Był tutaj pod stałą kontrolą Bezpieki i nim go wzięto do szpitala w Krakowie, milicjant legitymował wszystkich przyjezdnych, zmierzających do jego domu.

Po nabożeństwie trumnę wyniesiono przed kościół i umieszczono na wzniesieniu, okrytym wzorzystymi kilimami. Stąd Witos przyjął ostatnią defiladę. Otwarła ją kompania wojska z orkiestrą, a za nią przemaszerowały niezliczone delegacje ze sztandarami i tysiączne tłumy. Dominuje kolor zielony, barwa ruchu ludowego.

Poszedłem wraz z innymi za trumną, na cmentarz. Chmury płyną nisko tuż nad kępami nagich drzew. Pod nogami, jak zwykle na wiejskim cmentarzu, długa, nie koszona, jesienna zrudziała trawa. Zapinam szczelnie kurtkę, bo zimno. Naokoło dobrze znane, smutne i wymęczone twarze towarzyszy ze stronnictwa. Mikołajczyka wśród nas nie ma, gdyż przebywa w Stanach Zjednoczonych na jakiejś konferencji. Szkoda, że nie mógł tu przybyć. Wiem od naszych krakowian, że Witos umarł z żalem do niego, wprawdzie bowiem Mikołajczyk odwiedził go zaraz po przyjeździe z Moskwy do Polski, ale rozmowę potraktował zdawkowo, ot tak jak z człowiekiem, z którym nie potrzeba się już liczyć. Witos odczuł to głęboko. Naturalnie Mikołajczykowi to wiele nie zaszkodzi, bo popularność jego pochodzi stąd, że każde dziecko wie, iż powrócił on do Polski w porozumieniu z rządem angielskim i amerykańskim, by ją wyzwolić według planu, jaki z nimi ułożył. Peperowcy się z tego śmieją, ale niech im będzie na zdrowie. Ten się śmieje, kto się ostatni śmieje. Mikołajczyk nie byłby taki głupi, żeby przyjechać na własne ryzyko i tak bez niczego.

Przy wejściu na rozległy cmentarz brama z napisem : „Moje będzie za grobem zwycięstwo !" Zastanawiam się, jak to rozumieć, ale przyznam się, że chciałbym także wiedzieć, czyje będzie zwycięstwo na ziemi, ich czy nasze. Zejście ze świata

Witosa jest wydarzeniem politycznym dużej wagi, które wywrze swój wpływ na sytuację w kraju. Każdy na cmentarzu jest tego świadom.

Przemawiają teraz kolejno Osóbka, Grabski i nasi, a wśród nich rówieśnik i przyjaciel zmarłego Władysław Witek, który odczytuje ostatnią wolę Witosa, wręczoną mu 10 czerwca 1942 roku. Wszyscy w skupieniu słuchają tego posłania zza grobu, czytanego łamiącym się ze wzruszenia głosem przez starego, siwego jak gołąb, poważnego Witka:

,,Moje postanowienie. Postanawiam i proszę, aby zwłoki pochowano na cmentarzu parafialnym w Wierzchosławicach, w grobie zwyczajnym. Pragnę bowiem być na zawsze wśród tych, z których wyszedłem, którym w pierwszym rzędzie zawdzięczam moje wywyższenie, z którymi całe swoje życie pracowałem i wspólną dolę znosiłem. Nie mam im za złe, że mnie nieraz zrozumieć nie mogli, czy nie chcieli. Niech nie pamiętają, jeżeli kiedy błądziłem. Tylko głos publiczny miarodajny może moje postanowienie zmienić.''

W tym testamencie wyraził Witos całą swoją życiową filozofię: ,,urodziłem się chłopem, żyłem jak chłop i po śmierci chcę być wśród chłopów, chyba że...'' Zmarły, pisząc te słowa w roku 1942, miał pełną świadomość tego, że nie tylko zasłużył się wsi polskiej, ale całemu narodowi i jeśli ten zechce umieścić go wśród swoich zasłużonych, ostatnia jego wola nie może temu stanąć na przeszkodzie.

Odszedłem w czasie długich przemówień na bok i natknąłem się na... patrol sowiecki. Trzech żołnierzy z pepeszami, w futrzanych czapkach, wolno spacerowało w tę i z powrotem po głównej alei cmentarza, paląc papierosy. Zatrząsłem się z oburzenia. A więc nowa władza nawet w takiej chwili nie zawahała się przypomnieć nam o sobie. Patrzyłem na ludzi, krążących wśród grobów. Mężczyźni na widok żołnierzy odwracali głowy, kobiety spluwały. Każdy odczuwał ich obecność na tym pogrzebie jako świętokradztwo. Nagle od strony grobu rozległa się salwa, a po niej dwie następne i dźwięki orkiestry, grającej ,,Jeszcze Polska nie zginęła!''. Wszyscy zastygli w skupieniu, z twarzami zwróconymi w stronę grobu. Gdy ostatnie tony umilkły, poszedłem w stronę bramy. Po drodze minąłem żołnierzy sowieckich, którzy odwróceni plecami do tłumu, załatwiali się spokojnie pod murem cmentarnym, jakby na znak, że służba ich się skończyła.

7 *listopad* 1945. — Przyjechałem rano do Krakowa po całonocnej podróży rozklekotanym autem. Nasze drogi robią wrażenie, jakby wszystkie gruchoty z całego świata zwieziono do Polski i teraz po nich krążą. Nigdy w życiu nie widziałem w Polsce tylu różnych marek i w takim złym stanie. Nasz psuł się co parę kwadransów, a poza tym gęsta mgła prawie uniemożliwiała jazdę. Mimo to pchaliśmy się wolno

naprzód po to, by wreszcie wylądować w głębokim rowie, na szczęście bez fizycznych obrażeń. Wyciągnęła nas stamtąd na stalowej linie ciężarówka, którą wracali Wiciarze z Grójca.

W Krakowie asystuję przy kładzeniu podpisów pod aktem połączenia, zawartym przez ,,lubelskie'' Stronnictwo Ludowe i nasze. Z tamtej strony składają podpisy Stanisław Bańczyk i Bolesław Ścibiorek, który żąda jeszcze dla siebie w ostatniej chwili stanowiska sekretarza generalnego. Tego ostatniego znam dobrze z okresu okupacji niemieckiej. Był moim podwładnym, jako kierownik Walki Cywilnej na okręg łódzki. Natomiast Bańczyka znam raczej ze słyszenia. Przyglądam mu się z zainteresowaniem. Więzień w Piotrkowie z czasów sanacyjnych, z pewnym więc urazem do przeszłości; był pierwszym ludowcem z ,,tamtej strony'', który przejrzał na oczy i wrócił do nas z powrotem. Bańczyk zaimponował tym, że jeszcze należąc do obozu rządowego, pierwszy przypuścił publiczny atak na wszechwładną Bezpiekę, zarzucając jej w śmiałym przemówieniu, wygłoszonym przed Krajową Radą Narodową, popełnienie szeregu ciężkich bezprawi. Komunistów to rozwściekliło i byliśmy ciekawi, jaki za to Bańczyk zapłaci rachunek.

Podpisanie aktu zjednoczenia podniosło nas na duchu. Pójdziemy więc do walki liczniejsi i wzmocnieni. Witos z zaświatów oddał jeszcze jedną usługę ruchowi, któremu całe życie służył.

8 *listopada* 1945. — Nocowałem w Kielcach, dokąd w drodze do Warszawy przyjechałem autem z Krakowa razem ze Stanisławem Wójcikiem i Wincentym Bryją. Rano wyjechaliśmy w dalszą drogę dość wcześnie. Pogoda typowo jesienna, zimno i pochmurno. Pół drzemiąc, przetrawialiśmy wrażenia minionych dni. Nawet gadatliwy szofer Władek zamilkł i skupił się na prowadzeniu. Nagle bums i stanęliśmy z boku drogi. Kicha nawaliła. Władek szybko założył zapasowe koło, ale nim ruszyliśmy, minęło nas jakieś osobowe auto z twarzami, przypatrującymi nam się w przelocie z tym specjalnym wyrazem, który mówi: ,,jak to dobrze, że to nie nam się wydarzyło''.

Wkrótce wjechaliśmy w las. Patrzyłem machinalnie przed siebie, gdy nagle z niewielkiej odległości spostrzegłem scenę, która podziałała na mnie jak prąd elektryczny. Trąciwszy sąsiadów, szepnąłem: ,,Patrzcie!''

Przed nami na szosie stało auto, które nas minęło, a obok jego pasażerowie. O parę metrów, na brzegu lasu dwóch ludzi kierowało pistolety maszynowe w stojących na szosie. Jeden z nich już nas zauważył i daje znaki, by się zatrzymać. Władek bez pytania zaczął zwalniać, ale jechaliśmy tak szybko, że z rozbiegu minęliśmy dwóch młodych ludzi, kierujących już teraz pistolety w ślad za nami. Miałem dość czasu, by ich obejrzeć. Buty z cholewami, skórzane pasy na krótkich kurtkach, na głowach zniszczone czapki. Twarze blade, wpadnięte, zarost od paru

dni nie golony, w płonących oczach czujność i napięcie. W głowie mam jedno pytanie : bandyci, prowokatorzy z U.B. (bo byli i tacy), czy... partyzanci ?

Zostawiliśmy ich w tyle o jakie trzydzieści metrów. Nie można ryzykować, trzeba uciekać. Prawie jednym głosem krzyknęliśmy : ,,Gazu !''. Władek nacisnął pedał i wyskoczyliśmy przed siebie, jak z procy. Pochyleni naprzód, z głowami opuszczonymi na piersi, czekamy na salwę. Cisza, nikt nie strzela. Władek gna jak szalony. Wyjrzeliśmy przez tylne okienko. Auto i ludzie stali w miejscu. Odetchnęliśmy z ulgą, ale Władek pędził dalej, motor wył i żwir pryskał naokoło.

Gdy zwolniliśmy, dogoniło nas wkrótce zatrzymane auto. Kazałem Władkowi do nich podjechać. Gdy się samochody zrównały, krzyknąłem :

— Kto to był ? Co się stało ?

Blada, wystraszona męska twarz wychyliła się z okna pędzącego wozu i odkrzyknęła :

— Partyzanci ! Wzięli pieniądze i żywność ! Mówili, że nie jedli od paru dni.

Mężczyzna spojrzał mi porozumiewawczo w oczy, machnął ręką i dodał :

— Niech im pójdzie na zdrowie. Bóg z nimi !

Opadłem na siedzenie i powtórzyłem do siebie : ,,Bóg z nimi''.

A więc stałem się świadkiem jednej z licznych scen tragedii, rozgrywającej się na ziemiach polskich, której na imię ,,Agonia Podziemia''. Po niezliczonych polskich lasach błąkają się niedobitki zbrojnych oddziałów, z orłami na czapkach, z ryngrafami na piersiach, nie pogodzone z przegraną, walczące z zaciętymi zębami o głodzie i chłodzie już tylko dla honoru, dla protestu, bez nadziei na zwycięstwo, same i opuszczone. Ni to zakon rycerski, ni to banda wydziedziczonych, zmuszona głodem do wystawania po drogach. I zaraz myśl uparta, dręcząca mnie od dawna : jakby ich uratować ? Zaczęliśmy w trójkę roztrząsać ten temat. Sprawa oglądana z każdej strony miała w kraju jedno tylko rozwiązanie : ujawnienie, czyli w języku urzędowym amnestia, poza tym nic.

Westchnąłem głęboko i powtórzyłem jeszcze raz : ,,Bóg z nimi''.

Stefan KORBOŃSKI

Powyższy rozdział jest fragmentem nowej książki Stefana KORBOŃSKIEGO pt.

W IMIENIU KREMLA...

która ukaże się wkrótce w ramach ,,Biblioteki ,,Kultury''.

Metamorfozy polsko-niemieckie

Trzy lata temu na łamach ,,Der Monat'' Franz Borkenau pisał, że największym błędem polityki pruskiej był fakt, iż ,,straż nad Renem'' uważała za ważniejszą niż ,,straż na Wschodzie''. Gdy Austrii zbrakło, jej miejsce zajął tuzin małych państewek, które były całkowicie poronionymi tworami (Missgeburten).

Jeżeli za pięć czy za piętnaście lat ,,kurtyna żelazna'' zostanie zwinięta może się okazać, że owe wschodnio-europejskie ,,Missgeburten'' są krajami o rozbudowanym przemyśle i o potencjale wojskowym znacznie przewyższającym niemieckie dywizje w NATO. Może się również okazać, że nikt tam nie reflektuje na niemieckie ,,przywództwo'' ani na statut młodszego partnera.

Od Bałtyku po Odrę i Nisę powstają fabryki i zakłady przemysłowe. Ale nie inżynierowie niemieccy je budują i nie niemieccy majstrzy ustawiają w nich maszyny i obrabiarki. Uprzemysłowienie Europy wschodniej jest faktem o wielkich konsekwencjach politycznych.

Iluż Niemców sądzi, że przy sprzyjających okolicznościach byłoby rzeczą możliwą w drodze rozmów (i przetargu) z Sowietami odzyskać ziemie nad Odrą i Nisą. W moim przekonaniu z każdym rokiem tego rodzaju transakcja staje się coraz mniej prawdopodobna. Kazać Polakom oddać Ziemie Odzyskane byłoby równoznaczne z całkowitym skompromitowaniem reżymu i partii zarówno w Polsce jak i w Wschodnich Niemczech. Krok taki pociągnąłby za sobą wzmożenie uczuć antyrosyjskich w największym kraju satelickim to jest w Polsce, w skali trudnej wprost do wymierzenia. Ponieważ każde państwo w tym rejonie ma jakąś ,,kwestię'' niemiecką całe imperium wschodnio-europejskie taką decyzją zostałoby wstrząśnięte do podstaw.

Ci, którzy straszą możliwością nowej wersji układu Ribbentrop-Mołotow nigdy nie zadają sobie trudu by odmalować choć-

by najogólniej rozwój sytuacji który musiałby poprzedzić zawarcie tego typu układu. Taki układ byłby możliwy tylko wówczas, gdyby w jakiś cudowny sposób Niemcy Wschodnie zostały uwolnione i przyłączone do zachodnich — Polska natomiast pozostała nadal w ramach sowieckiego systemu. Choć w polityce XX-go wieku wszystko jest możliwe z gamy możliwych rozwiązań powyższa ewentualność jest mało prawdopodobna.

I wreszcie pytanie w polityce zasadnicze: gdzie jest zysk?

W chwili gdy Ribbentrop lądował w Moskwie na lotnisku udekorowanym hitlerowskimi flagami — Niemcy były pierwszą militarną potęgą świata. Były dla Sowietów cennym partnerem. Lecz dziś tabela potencjałów uległa radykalnej zmianie. Sowiety są potęgą światową Nr 2 — a Niemcy nie mają ani jednej dywizji. W mojej opinii Niemcy nie posiadają żadnych szans odbudowania swojej pozycji do poziomu równorzędnego partnera Sowietów.

Imperium satelickie w wschodniej Europie z każdym rokiem staje się bardziej cenne dla Moskwy. Z każdym rokiem rośnie jego wkład gospodarczy do sowieckiej puli.

Możliwości ewentualnego przetargu sowiecko-niemieckiego należy rozpatrywać na tym tle. Nie może być mowy o porozumieniu niemiecko-rosyjskim kosztem Polski bo rozbiór Polski nie wchodzi w ogóle w grę. Polska bowiem jest w całości okupowana i Rosja oddając Niemcom ziemie nad Odrą i Nisą de facto odstępowałaby część terytorium imperium sowieckiego. Niemcy nie mają niczego do zaoferowania co warte byłoby takiej ceny.

Dr Robert Ingrim w jednym z artykułów wystąpił z tezą, że ...,,od klęski broni Niemców to, że znaleźli się w jednym worku z Polakami''. Autor przez to rozumie, że... ,,z pozostawieniem Niemców Wschodnich ich smutnemu losowi pogodziłoby się wielu. Ale te nadzieje krzyżuje fakt, że w takiej sytuacji i inni satelici pozostaliby na stałe w niewoli''.

Osobiście jestem wręcz odmiennego zdania. Jeżeli Niemcy wschodni zostaną pozostawieni ich smutnemu losowi to będzie to w znacznej mierze konsekwencją faktu, że znaleźli się w jednym worku z Polakami. W innej sytuacji — za pewne ustępstwa na innym polu — Rosja może by się zgodziła na ,,Anschluss'' wschodnich Niemiec. Ale tu nie chodzi o reżym wschodnio-niemiecki. Istotą problemu jest fakt, że jak się zlikwiduje jeden reżym satelicki, jak się wyrazi zgodę na wolne wybory w jednym kraju ujarzmionym — struktura imperium satelickiego zostanie podważona. Polacy, Czesi czy Węgrzy mogliby uznać, że wyzwolenie wschodnich Niemiec jest początkiem nowej ery i dać wyraz tym nastrojom w sposób trudny do opanowania.

Wielu publicystów niemieckich podtrzymuje teorię, że Stalin wywianował Polaków ziemiami nad Odrą i Nisą tylko w tym celu by z jednej strony wykopać trwałą przepaść pomiędzy obu narodami, a z drugiej strony zapewnić Rosji atutową kartę w ewentualnej grze z Niemcami.

Powyższa teoria jest bez sensu. W wyniku drugiej wojny światowej przepaść między Polakami a Niemcami była tak olbrzymia, że nie było żadnej potrzeby jej pogłębiać. Niemcy leżały w gruzach i Stalin nie miał ani powodu ani potrzeby szukać atutów ponieważ w odniesieniu do Niemiec wszystkie atuty miał w ręce.

Alarmy Moskwy na temat możliwości odrodzenia się militaryzmu niemieckiego były od samego początku propagandowym pociągnięciem taktycznym. Rosja do dziś nie przestaje straszyć świata militaryzmem i neo-hitleryzmem niemieckim, jednak bez wahania opuściła wielki sojusz anty-niemiecki.

Teoria o ,,przepaści'' i ,,atucie'' jest anachronizmem ponieważ traktuje Niemcy za potencjalnego partnera Rosji w oparciu o niesławny choć niezbyt odległy przykład paktu Ribbentrop-Mołotow. Teoria ta sugeruje również, że Rosja nie dokonała jeszcze ostatecznego wyboru i być może... wybierze Niemcy za partnera-spólnika. A wówczas Niemcy jako warunek wstępny wysuną żądanie zwrotu ziem nad Odrą i Nisą.

Rosja już dawno dokonała wyboru. Trzeba tylko spojrzeć na scenę europejską nie z perspektywy Bonn lecz z perspektywy Moskwy, Warszawy, Pragi.

Ilekroć rozważam ten cykl zagadnień powracam w myślach do konferencji w Monachium sprzed siedemnastu laty. Była to bowiem ostatnia prawdziwie europejska konferencja bez udziału Rosji i bez udziału Stanów Zjednoczonych. Jest to niezmiernie ważna data. W tym bowiem czasie zamknął się nieodwołalnie pewien okres dziejów naszego kontynentu. Stało się bowiem oczywiste, że Europa przestała być zdolna do wytworzenia zdrowego ,,balance of power''. Bez pomocy z zewnątrz, bez interwencji poza-kontynentalnej nie byliśmy w stanie uniknąć supremacji Niemiec.

Hitler wysunął politycznie logiczny wniosek, że jeżeli Europa ma być nadal rządzona przez europejczyków to tymi europejczykami muszą być Niemcy.

Historycznym dziedzicem Monachium jest Moskwa — nie Bonn. Rosjanie są dziś najpotężniejszym narodem europejskim i rozumują identycznie jak Hitler. Jeżeli Europa ma być rządzona przez europejczyków to tymi europejczykami muszą być Rosjanie. Ich wszystkie akcje podejmowane na kontynencie zmierzają do tego celu.

Dramat monachijski toczy się nadal tylko nie w premierowej obsadzie. Siedemnaście lat temu nie byliśmy w możności bez pomocy z zewnątrz uniknąć panowania Niemiec. Obecnie bez pomocy z zewnątrz nie jesteśmy w możności oprzeć się dominacji Sowietów. Lecz Historia nie powtarza się nigdy i w tym miejscu analogie się kończą.

Hitler utrudnia obiektywne, realistyczne myślenie nawet tym Niemcom, którzy byli jego przeciwnikami od samego początku. Bo przecież tak niedawno każda z rogatek Berlina prowadziła do jednej z stolic Europy. Narzuca się pozornie oczywi-

sty wniosek : Hitler odszedł ale naród niemiecki został. Ten sam naród.

W okresie, który dzieli nas od roku 1939 zaszły epokowe przemiany w politycznym położeniu Niemiec. Rosja dzisiejsza nie jest Rosją sprzed siedemnastu laty. Z źle uzbrojonej, głodującej ,,Bolszewii'' przemieniła się w światowe atomowe mocarstwo. I w tym wypadku Hitler oddaje złą przysługę, gdyż zza grobu sufluje analogię-pobożne-życzenie... że imperium sowieckie spotkać musi los Trzeciej Rzeszy.

Pobożne życzenia powtarzają się znacznie częściej i uporczywiej niż Historia. W mojej opinii zarówno Niemcy jak i Polacy winni przyjąć za prawdopodobnę, że Rosja pozostanie wielkim mocarstwem (atomowym) nawet wówczas kiedy przestanie być komunistyczna. W epoce atomowej zawodzą analogie z okresów poprzednich. Przyczyny, które w XIX-tym wieku spowodowałyby nieuchronnie wybuch zbrojnego konfliktu, w XX-tym wieku mogą (a może nawet muszą) znaleźć inne rozwiązanie.

Oczywiście nie można wykluczyć możliwości konfliktu zbrojnego. Sądzę jednak, że mylą się ci politycy niemieccy, którzy żywią nadzieję że w chwili wybuchu wojny z Sowietami, względnie poważnego zaostrzenia sytuacji międzynarodowej — Anglosasi chcąc pozyskać Niemców uznają oficjalnie ich roszczenia do ziem nad Odrą i Nisą.

Gdyby w takiej sytuacji Stany Zjednoczone i Wielka Brytania wydały oświadczenie, że po ukończonej wojnie ziemie nad Odrą i Nisą wrócą do Niemiec —akt taki pociągnąłby za sobą bardzo poważne konsekwencje.

Dziesiątki milionów dolarów zainwestowane w Free Europe i w inne agendy amerykańskie można by uznać za wyrzucone w błoto. Armia polska pod dowództwem Rokossowskiego, czy kogokolwiek innego, walczyłaby *z przekonaniem* w obronie granicy na Odrze i Nisie. Nie byłoby rzeczą możliwą stworzyć na Zachodzie armii czy choćby korpusu polskiego. A stworzenie takiej jednostki posiadałoby przecież wielkie znaczenie polityczne i praktyczne. Sztandar polski po tej stronie barykady działałby jak magnes skupiając zbiegów z armii Rokossowskiego.

Polaków z nowej emigracji jest w świecie około 520.000. Wraz z dawnym wychodźtwem Polonia liczy ponad 6 milionów i stanowi największy ,,emigracyjny'' naród świata. Ogłoszenie deklaracji przesądzającej los ziem nad Odrą i Nisą na korzyść Niemiec uniemożliwiłoby mobilizację Polaków na Zachodzie w sensie wojskowym, politycznym czy propagandowym. Równocześnie tego rodzaju akt zniszczyłby w jednym dniu cały kapitał przyjaźni i sympatii jaką naród polski w Kraju żywi dla świata zachodniego.

Anglosasi nie raz ale dziesięć razy zastanowiliby się nad celowością pozyskania opinii niemieckiej za taką cenę. Niemcy oddający się tego typu złudzeniom, jedenastu oficerów niemieckich urzędujących w Fontainebleau biorą za jedenaście armii wyposażonych w artylerię atomową.

Toteż nie ulega wątpliwości, że Anglosasi nie wydaliby żadnego oświadczenia a na naciski niemieckie odpowiedzieliby, że sprawa ziem nad Odrą i Nisą zostanie załatwiona ...w traktacie pokojowym. Równocześnie tak Polakom na Zachodzie jak Niemcom w NATO doradzono by by porzucili dyskusje, które wpłynąć mogą ujemnie na jedność sojuszniczą. My, Polacy — tego typu doświadczenia mamy już za sobą.



Trzeba stwierdzić obiektywnie, że tysiącletnia wschodnia polityka niemiecka leży w gruzach. Pozostały tylko kościoły i miasta zbudowane na prawie magdeburskim z charakterystycznym rozplanowaniem rynku i ulic. I miejsca po koncentracyjnych obozach.

Od czego należy zacząć, na czym oprzeć nową niemiecką politykę wschodnią?

Niemcy muszą się na coś zdecydować. Jeżeli pragną wypracować nową politykę wschodnią winni trzeźwo zdać sobie sprawę z faktu, że ich jedynym, dosłownie jedynym kapitałem zakładowym w wschodniej Europie jest nienawiść do Sowietów. Idąc po tej linii winni unikać wszystkiego co propaganda komunistyczna może wyzyskać przeciwko nim. Przede wszystkim winni unikać wszystkiego co cementuje solidaryzm polsko-rosyjski.

Tradycyjny schemat : Niemcy w porozumieniu z Rosją parcelujący Polskę — jak uczy doświadczenie — nie jest bynajmniej jedynym możliwym rozwiązaniem. Możliwy jest bowiem jeszcze inny wariant a mianowicie sojusz polsko-rosyjski wymierzony przeciwko Niemcom.

Tak jak z polskiego punktu widzenia porozumienie niemiecko-rosyjskie wróżyło zawsze katastrofę, tak i odwrotnie porozumienie polsko-rosyjskie stanowi potencjalne zagrożenie Niemiec. Wniosek stąd prosty, że de facto istnieje zasadnicza zbieżność naszych interesów w odniesieniu do Rosji. Ponieważ w polskim interesie nie leży porozumienie niemiecko-rosyjskie a w interesie Niemców nie leży porozumienie polsko-rosyjskie — jedynym oczywistym rozwiązaniem jest porozumienie polsko-niemieckie. Tylko pełne porozumienie polsko-niemieckie przywróci równowagę polityczną i gospodarczą w tej części kontynentu i uniemożliwi Rosji wygrywanie dwóch największych narodów środkowo-wschodnio-europejskich jednego przeciwko drugiemu.

Moi niemieccy przyjaciele i koledzy po piórze powiedzą : wszystko to pięknie — ale dlaczego za porozumienie polsko-niemieckie płacić mają tylko Niemcy?

Moja odpowiedź jest następująca. Szanse byście mogli wrócić do Wrocławia wbrew woli Polaków są minimalne. Epoka „prywatnych wojen" w Europie należy do przeszłości. Nawet jeżeli przyjmie się za technicznie możliwe, że Moskwa zdecydowałaby się polecić Polakom zwrócić te ziemie — to ceną za

ów ,,przekaz'' byłoby oderwanie Niemiec od Zachodu z perspektywą całkowitego ich skomunizowania. Innymi słowy — jedyna realna droga powrotu Niemców do Wrocławia wiedzie poprzez porozumienie polsko-niemieckie. Wierzę, że wielu Niemcom jest to nie w smak, niemniej to jest jedyna obiektywna ocena problemu.

Rewizjonizm jest anachronistyczną, na emocjonalnych odruchach opartą polityką. Podważa jedyny fundament ewentualnej nowej niemieckiej polityki wschodniej i ustawicznie podsyca niewygasłe ogniska nienawiści do Niemiec.

Czytając pewne wypowiedzi rewizjonistów odnosi się wrażenie, że ci ludzie wierzą, iż w chwili gdy Rosja wycofa się na granicę z 1939, wraz z ,,żelazną kurtyną'' ...znikną fabryki, huty, zakłady przemysłowe,armie narodowe państw ujarzmionych i w tę po-sowiecką pustynię wejdą Niemcy. Nikt w Bonn do tej pory nie zauważył, że proporcja sił Europy wschodniej w stosunku do Niemiec a w szczególności stosunek potencjałów Polski i Niemiec — uległ trwałej przemianie.

U dna tych nieporozumień leży tradycyjne przeświadczenie z którego Niemcom trudno się jest wyzwolić — że los wschodniej Europy jest w gruncie rzeczy funkcją stosunków niemiecko-rosyjskich.

Tak kiedyś w pewnym stopniu było, lecz dziś nie jest. I z tym Niemcy muszą się pogodzić. Los wschodniej Europy włącznie z wschodnimi Niemcami jest funkcją polityki amerykańsko-rosyjskiej. Jeżeli Rosja zostałaby pokonana — jej roli nie obejmą Niemcy. Amerykanie zorganizują wówczas nowy system międzynarodowy w oparciu o kontrolę atomową.

Zdaję sobie sprawę, że nie przekonałem moich niemieckich kolegów. Pokiwają głowami i powiedzą: ,,To wszystko jest zgrabnie przedstawione, niemniej żadna teoria nie podważy moralnej słuszności naszej sprawy. Prawo i moralność są za nami''.

Otóż w zakończeniu chciałbym poświęcić kilka słów moralnemu aspektowi tego zagadnienia.

Polska polityka nie zgłaszała nigdy pretensji do ziem nad Odrą i Nisą. Osobiście — wyznaję to z całym spokojem — byłem przeciwnikiem odrywania tych ziem od Niemiec. Teoria, która głosi, że za ruiny Warszawy i piekło Oświęcimia — Niemcy winni zapłacić kawałkiem swego terytorium nie trafiała mi nigdy do przekonania.

Decyzja oderwania tych prowincji od Niemiec została dokonana ponad głowami Polaków.

Od tej daty minęło już dziesięć lat. Na ziemiach nad Odrą i Nisą osiedliło się setki tysięcy Polaków.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w roku 1939 Wrocław był miastem czysto niemieckim. Nie ulega jednak również najmniejszej wątpliwości, że w roku 1955 Wrocław jest miastem czysto polskim. Te same względy — ludzkie i moralne — które niegdyś przemawiały przeciw odrywaniu tego miasta od Niemiec, dziś, przemawiają przeciw odrywaniu go od Polski.

Po dziesięciu czy po piętnastu latach nie może być mowy o powrocie. Po takim okresie czasu do niczego się nie wraca. Można tylko miejscową ludność wysiedlić i opustoszały teren skolonizować nowoprzybyszami.

Polityka ma służyć ludziom a nie ambicjom i postulatom historycznym. Tylko nacjonalistyczna filozofia głosi, że dla zaspokojenia historycznych żądań wolno przesiedlać miliony ludzi, prześladować mniejszości a nawet likwidować całe narody.

W moim przekonaniu nie wolno krzywdzić żywych by zrekompensować historyczne niesprawiedliwości. Jeden żyjący polski Wrocławianin więcej jest wart niż pół miliona najzacniejszych niemieckich Wrocławian, którzy nie żyją.

Reakcja przeciwko Jałcie pogłębia się w opinii społeczeństw świata anglosaskiego. Ale tylko nacjonalista, który niczego się nie nauczył i niczego nie zrozumiał może tę reakcję odczytywać jako zapowiedź Jałty à rebours — tym razem na niekorzyść Polaków. W rzeczywistości ta reakcja oznacza coś zupełnie innego. Jest ona wyrazem poglądu, że podmiotem demokratycznie pojętej polityki są żywi ludzie — ich interesy i dobrobyt. Egzekutorami ,,historycznych testamentów'' byli zawsze nacjonaliści, którzy umarłym każą zazwyczaj żyrować własne zaborcze programy.

Niemcy nie mają żadnych szans odrestaurowania ,,Drang nach Osten'' choćby w najbardziej nowoczesnych i pokojowych formach. W przyszłości mogą być współpartnerem lecz już nigdy hegemonem. Porozumienia z Polakami powinni szukać z dwóch przyczyn: po pierwsze — ponieważ porozumienie polsko-niemieckie stanowi podstawowe ,,A'' każdego nie-sowieckiego układu wschodnio-europejskiego; po drugie — ponieważ cena polska za porozumienie będzie niższa od rosyjskiej. Znacznie niższa.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

HANKE — BERG — WNIOSKI

W związku z akcją propagandową powrotu — wielu Polaków w Wielkiej Brytanii otrzymało listy od swych rodzin w Kraju, w których żony, synowie, córki namawiają uporczywie ojców i mężów w Anglii by wrócili do Polski. Jestem skłonny przypuszczać, że pewien procent tych listów pisany jest pod naciskiem. Formy nacisku mogą być najrozmaitsze.

P. Hugo Hanke jest ojcem kilkorga dzieci, które przebywają w Kraju. Ile listów i jakiej treści w ostatnich tygodniach otrzymał p. Hanke od swej najbliższej rodziny — tego nie wiemy.

Teoria głoszona przez otoczenie p. Zaleskiego, że p. Hanke został porwany — jest oczywistym nonsensem. Równie bezsensowną jest teoria, że p. Hanke od niepamiętnych czasów był „wtyczką" U.B. (Pod tym względem wykazujemy identyczną mentalność jak p. Chruszczew, który z poważną miną oświadczył w Belgradzie, że Beria był agentem obcych mocarstw od... 1918 roku).

Najprawdopodobniej p. Hanke uległ namowom własnej rodziny, która — być może działa pod naciskiem — i nawiązał kontakt z przedstawicielami reżymu. Bezpieka, dobrze zorientowana w sytuacji emigracyjnej, postawiła swoje warunki. Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że zasadniczym warunkiem UB było przyjęcie przez p. Hankego „premierostwa". Powrót p. Hankego — osoby prywatnej i nikomu nieznanej — nie byłby żadnym wydarzeniem. Powrót „premiera" Hankego — jest sensacją polityczną, sukcesem propagandowym i kompromitacją emigracji.

P. Hanke przyjął warunki Bezpieki — został w dniu 8. 8. br. zaprzysiężony jako premier i w tym oficjalnym charakterze wrócił do Warszawy.

Jakie należy wyciągnąć wnioski z tej całej sprawy?

W pierwszym rzędzie, należy wyciągnąć wnioski natury praktycznej. Polaków na emigracji cechuje z jednej strony kompleks dwójkarski — z drugiej strony bezbrzeżna naiwność. Wszędzie wietrzymy inspiracje, wszędzie dopatrujemy się „wtyczek", a równocześnie, nie mamy żadnego zrozumienia dla najbardziej elementarnych zasad bezpieczeństwa. U nas nie musi się odpowiadać pewnym warunkom i kwalifikacjom — wystarczy, jeżeli się jest dobrze z tym z kim trzeba.

Ponieważ sami nie mamy ani wyrobienia, ani doświadczenia (a jedynie zapoznanych „asów" wywiadu) — powinniśmy się oprzeć choćby na amerykańskich zasadach „security". Na przykład Polacy na emigracji, którzy mają synów lub córki w Kraju winni być uznani za osoby ze względów bezpieczeństwa nie nadające się do zajmowania odpowiedzialnych politycznych stanowisk. Albowiem w stosunku do tych ludzi istnieje zawsze możliwość szantażu. Za żadnego ojca nie można ręczyć w sytuacji w której w grę wchodzi życie jego dzieci — ich wolność i względny dobrobyt, czy łagier.

Tylko ludzie, którzy w ogóle nie wiedzą co to jest bezpieczeństwo — jaki jest jego cel i znaczenie — mogą dopuścić się tak nieodpowiedzialnego politycznie aktu jak mianowanie szefem rządu człowieka, który posiada dzieci w Kraju.

Jest bez znaczenia, że „premierostwo" p. Hankego było operetkowe, gdyż jego dzieci w Kraju w niczym by mu nie przeszkodziły zostać dygnitarzem Egzekutywy czy T.R.J.N., gdyby był zgłosił do niej akces. Bezodpowiedzialność Egzekutywy w tej dziedzinie jest identyczna jak obozu p. Zaleskiego. P. Hanke wrócił do Kraju nie dlatego, że był mężem zaufania „zamku", a przeciwnikiem Egzekutywy, lecz dlatego, że miał dzieci w Polsce. Dziś zdarzyło się to p. Zaleskiemu, jutro może się to zdarzyć Egzekutywie. Polityka bezpieczeństwa w obu tych ośrodkach jest na tym samym poziomie i Egzekutywa nie ma żadnego tytułu do dyskontowania

ucieczki p. Hankego na swoją korzyść. To jest dziełem czystego przypadku, że załamał się człowiek stanowiący „security risk" w obozie p. Zaleskiego a nie w obozie gen. Odzierzyńskiego.

Przepisy bezpieczeństwa mają tylko wówczas sens o ile nie ma od nich żadnych — *dosłownie żadnych* wyjątków. Teoretycznie możemy przyjąć najwspanialsze metody bezpieczeństwa ale oczywiście przepisy wykonawcze dotyczyć będą wyłącznie „trzeciorzędnego garnituru" to jest ludzi, którzy nie mają żadnych stosunków ani „pleców". Człowiek, który się liczy, nigdy nie będzie „security risk" — choćby miał sześcioro dzieci w Kraju, bo zawsze zaręczy za niego generał taki, lub generał inny; prezes taki, lub prezes inny. Za p. Hankego również ręczyli różni gentlemeni.

Po co się okłamywać. Nie ma żadnej możliwości zbudowania systemu bezpieczeństwa tam — gdzie o wszystkim decydują protekcje, plecy i „chody", „kapliczki generalskie" i sitwy partyjne — nie kontrolowane przez wybory i wskutek tego przed nikim za nic nie odpowiedzialne. W takim klimacie i w takim „systemie" każdego dnia i każdej godziny możliwa jest zarówno afera Bergu jak i afera p. Hankego.

PANOWIE RECENZENCI I WYDAWCY

Czym należy tłumaczyć fakt, że na emigracji nawet dobre książki mijają bez echa? To jest ważna sprawa nie tylko z punktu widzenia autora ale i wydawcy. Publiczność nie jest dostatecznie informowana o sytuacji na rynku wydawniczym i praktycznie biorąc nikt nie wie co i gdzie się wydaje.

Weźmy przykład pierwszy z serii. Wydaliśmy w ramach Biblioteki „Kultury" powieść Czesława Miłosza pt. „Dolina Issy". Osobiście uważam, że jest to dobra i bardzo ciekawa książka. Ciekawa w sensie kompozycyjnym, tematycznym i językowym. Są fragmenty i obrazy w tej książce (scena końcowa na przykład) urzekająco piękne. Są partie, które budzą wątpliwości. Wyróżnia tę książkę swoisty rytm kompozycji i niemal muzyczna budowa atmosfery. O ile w „Zdobyciu władzy" Historia rozsadza ramy powieści, o tyle „Dolina Issy" jest wtopiona bez reszty w muzyczną kadencję miłoszowskiej prozy. „Temat" i „wątek" są tu tylko jednym z elementem akordu i niczym więcej.

Książka została przemilczana. Nie czytałem nigdzie ani jednej recenzji, ani jednego omówienia. „Dialog" który ukazał się na łamach londyńskich „Wiadomości" z poważną recenzją nie miał nic wspólnego.

Powie ktoś, że Miłosz nie jest szczęśliwie dobranym przykładem, gdyż jak wiemy — choć jego książki wszyscy chętnie czytają — sfery „oficjalne" (polityczne i literackie) bojkotują go konsekwentnie.

Dobrze. Weźmy inny przykład. Londyński „Orbis" wydał książkę Józefa Mackiewicza pt. „Droga do nikąd". Myślę że jest to najlepsza powieść napisana na emigracji. Do tej pory czytałem w prasie tylko dwie krótkie recenzje poświęcone tej książce. Obie typu „przyjacielskiego" — pochwały ogólniki, brawo, brawo — i na tym koniec.

Byłem pewien, że „Droga do nikąd" wywoła dyskusje i namiętne polemiki. W tym wypadku nie chodzi tylko o tematykę powieści, lecz o postawę autora w stosunku do centralnego problemu. Owa postawa — w moim zrozumieniu — u niejednego z czytelników może budzić zaciekły sprzeciw.

Czytelnicy milczą, czytelnicy nie są recenzentami.

Przed kilku laty przetłumaczyłem Orwella „Rok 1984". Jak wiadomo ostatni rozdział tej książki jest zarysem gramatyki „newspeak'u". Jest oczywiste, że „newspeak'u", który jest fantastycznym, nieistniejącym językiem nie można wiernie przełożyć. Trzeba było więc skomponować „newspeak" polski, który by najpełniej oddawał sens i idee orwellowskiego sztucznego języka.

Mój przekład można poddać druzgocącej krytyce. Można go i pochwalić. Nikt go ani niepochwalił, ani nie zganił — nasi krytycy literaccy przekładu w ogóle nie zauważyli. A przecież nie codziennie stają przed tłumaczem takie problemy jakie nasuwał przekład „newspeak'u".

Jak te sprawy wyglądają od strony warsztatu?

O recenzje zabiega sam autor czyli osoba zainteresowana. (Nie zabiegałem o recenzje z przekładu Orwella to też jej nie było). Telefonuje do znajomego który pisuje — powiedzmy — do „Kultury" i omawia całą sprawę. Jeżeli ma znajomych, którzy pisują do „Wiadomości" czy do „Dziennika Polskiego" powtarza całą operację.

Zapobiegliwy autor planuje kampanię recenzyjną bardzo szczegółowo. Stara się by recenzje w poszczególnych pismach ukazywały się kolejno a nie wszystko naraz — sugeruje krytykom pewne efektowne „pointy" itd.

Faktem jest jednak, że krytycy nigdy nie wypełniają w 100-procentach recenzyjnego planu autora. — „Miałem umówionych na pewniaka osiem recenzji" — skarżył mi się niedawno pewien autor — „ale w druku ukazały się tylko dwie..."

Autor — to jest jedna strona medalu. Krytyk — względnie skromniej — recenzent — to jest druga strona medalu. Zejdźmy jeszcze o stopień niżej w naszej klasyfikacji. Nie mówmy o krytykach literackich (których by policzyć, nie potrzeba wszystkich palców jednej ręki) — nie mówmy nawet o recenzentach lecz o... piszących. To jest termin znacznie szerszy.

Naszą analizę musimy zacząć od stwierdzenia, że ludzi piszących jest obecnie bardzo mało. Wszyscy ci co w jakimś biuletynie wojskowym wydrukowali kiedyś dwa lub trzy rocznicowe wierszyki wylądowali w „Free Europe" czy w „Voice of America". Zatrzasnęła się za nimi „kurtyna dolarowa" i wszelki ślad zaginął. Pisarze, literaci, krytycy, dziennikarze, publicyści itp., pracujący dla instytucji amerykańskich w 90 % potwierdzają marksistowską tezę, że u dna najbardziej górnych a skomplikowanych zagadnień czai się ekonomia. Dużo pisze przede wszystkim ten, kto musi dużo pisać by pierwszego popłacić wszystkie rachunki. Nasi koledzy w instytucjach amerykańskich na szczęście nie cierpią biedy i nie muszą dorabiać pisywaniem do prasy emigracyjnej. Nie muszą i... nie piszą.

A jak wygląda ta sprawa z punktu widzenia wydawcy?

Opierając się na moich obserwacjach ryzykuję pogląd, że znakomita większość naszych wydawców hołduje romantycznej filozofii księgarskiej, że polscy czytelnicy zawsze... zwiedzą się o dobrej książce. Nasi wydawcy przypisują czytelnikom nos nieomylny.

Nos — nosem a nakład — nakładem. Książka jest towarem jak każdy inny i albo się ją umie sprzedawać albo nie. Jedno jest całkowicie pewne: samo nic się nie sprzedaje. W tej materii doświadczenia księgarzy brytyjskich mogłyby być wielką pomocą, gdyby chciano i umiano z nich korzystać.

Polski wydawca wysławszy egzemplarze recenzyjne do redakcji kilku pism — uważa, że zrobił co do niego należy. Poza tym zamieszcza od czasu do czasu w prasie ogłoszenie — przeważnie zredagowane nudno i szablonowo. Dokonawszy tych czynności poleca duszę Bogu a nakład świeżo wydanej książki nosowi czytelników.

W firmach angielskich wygląda to nieco inaczej. Nakład książki angielskiej w granicach od 60% do 90% jest zwykle rozsprzedany przed datą publikacji. Operacji tej dokonują agenci podróżujący (travellers) danej firmy wydawniczej. Mimo to jednak wydawca brytyjski choć nakład książki rozsprzedaje na pniu — nie zadawala się rozesłaniem egzemplarzy recenzyjnych z wydrukowanym bilecikiem: „With compliments". W wszystkich czołowych firmach wydawniczych *wydawca* (a nie tylko autor) wyszukuje odpowiednich recenzentów dla danej książki. Wydawca brytyjski wychodzi bowiem ze słusznego założenia, że dobra (nie koniecznie pochlebna) recenzja jest kardynalnym elementem reklamy towaru, który sprzedaje. Sprzedaje zawodowo i dla zysku.

Od wielu lat każdego miesiąca kupuję kilka książek angielskich. Wszystkie kupiłem na skutek recenzji w „The Observer", „Times Lit. Supl.", „The Listener" i „The Manchester Guardian". Nabrałem bowiem zaufania do większości krytyków omawiających nowe pozycje wydawnicze w cytowanych powyżej pismach. Żadnej z moich angielskich książek nie kupiłem z ogłoszenia i żadnej nie kupiłem „na nos". Zakup dwóch czy trzech książek jest zbyt poważną operacją budżetową by działać na ślepo.

Czy wydawca płaci recenzentowi czy też posyła mu co roku jako „Christmas Gift" dwa tuziny butelek najlepszej „whisky" w ozdobnej skrzynce — jest sprawą ściśle prywatną w którą nie mamy potrzeby wnikać. Jest natomiast pewne że handel nie zna czynności nieodpłatnych i księgarstwo nie stanowi od tej reguły wyjątku.

Przed kilku tygodniami jeden z wybitnych i zasłużonych polskich wydawców w rozmowie ze mną powiedział: „Ach, panie, jakże męczące są te wyproszone, wynudzone, wytelefonowane recenzje".

Pokiwałem inteligentnie głową i pomyślałem: recenzje nie powinny być ani wynudzone, ani wyproszone czy wytelefonowane lecz po prostu *zapłacone*. I to zapłacone przez wydawcę. Koszt czterech recenzji wyniósłby 20 funtów. Kwota nie wielka w stosunku do kosztorysu produkcji książki. Płacąc 5 funtów za recenzję wydawca nie będzie zmuszony prosić, nudzić, telefonować. Będzie miał omówienie napisane przez tego pisarza, którego uzna za najbardziej odpowiedniego recenzenta dla danego typu książki.

Wydawcy powinni zdać sobie sprawę z dwóch rzeczy: recenzji podpisanej znanym nazwiskiem nie zastąpi — z czysto handlowego punktu widzenia — żadne ogłoszenie. Recenzja, czy omówienie — znacznie mniej kosztuje niż seria ogłoszeń.

Osobiście zawsze interesowały mnie książki, które się „źle sprzedają". Nigdy nie miałem sympatii dla „best-sellerów". O ileż bardziej interesujący jest los wartościowych książek, które nie idą.

Pięknie wydanego przez „Orbis" (po angielsku) Dostojewskiego — Cata-Mackiewicza w ubiegłym roku kupiłem za 6 pensów na straganie z makulaturą. Książka jest doskonała, o pięknej szacie graficznej a mimo to nie zrobiła kariery. Dlaczego?

Jestem głęboko przekonany, że niejedną przez los skrzywdzoną książkę można by wydobyć z mroków niepamięci i z zakurzonych magazynów — ale tylko dobrym, interesującym artykułem a nie nudnym ogłoszeniem czy jeszcze jednym katalogiem.

Nie jestem wrogiem ani reklamy ani katalogów. Wprost przeciwnie. Uważam jedynie, że polscy wydawcy nie korzystają w dostatecznej mierze z współpracy pisarzy, którzy mogliby im pomóc w zwiększeniu sprzedaży emigracyjnych książek. Ale do tych spraw trzeba podejść rzeczowo i bez zakłamania. Ten sam wydawca, któremu nie przyjdzie na myśl zażądać od polskiego dentysty, by mu za darmo wyrwał ząb — zaprosi do siebie polskiego dziennikarza (który zarabia znacznie mniej od sekretarki owego dentysty) — otworzy przed nim duszę, wspomni o... Sprawie, poprosi o recenzję lub o życzliwą wzmiankę, westchnie, spojrzy na zegarek i na tym koniec. Wyniki tej znakomitej polityki handlowej są znane.

Jest jeszcze jedna ważna sprawa, która przemawia za zacieśnieniem współpracy wydawców z pisarzami w obronie polskiej książki wydanej w wolnym świecie. Nie wiem czy byłoby rzeczą możliwą ocenić choćby w przybliżeniu ile sprzedaje się w Wielkiej Brytanii książek drukowanych w Kraju. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że tych książek rozchodzi się coraz więcej.

„Odwilże", „ofensywy uśmiechów", „liberalizacja kursu literackiego" — to są wszystko taktyczne posunięcia dyktowane z góry. Z góry czyli z Kremla. Niemniej jeżeli powyższa taktyka zostanie podjęta na większą skalę niż do tej pory — księgarstwo polskie w wolnym świecie może się znaleźć w poważnym niebezpieczeństwie.

Nie mamy powodu się okłamywać. Głównym producentem polskich książek jest Kraj i byłoby naiwnością podejmować w tej dziedzinie walkę konkurencyjną. Nie chodzi o konkurencję lecz o zachowanie naszej odrębności i obronę dotychczasowego stanu posiadania.

Im większy będzie popyt na książki krajowe tym wydawnicze instytucje reżymowe będą miały większe możliwości „rozgrywania" emigracyjnych firm księgarskich. Reżymowy wydawca będzie miał możność selekcjonowania. Jedne księgarnie emigracyjne będzie popierał inne tępił, jedne polecał, inne przemilczał. Wiem pozytywnie, że w pewnej mierze już tak się dzieje. Gdyby ten proces miał być doprowadzony do swego logicznego finału — byt niezależnych księgarń polskich byłby zagrożony u podstaw. Kontr-akcję w tej materii należy podjąć już dziś.

Na tle powyżej naszkicowanej panoramy należy rozpatrywać emigracyjną politykę wydawniczą. Trzeba pożegnać się z wielu utartymi poglądami i zwyczajami. W sumie wydaje mi się, że primo, nie należy wydawać miernot; secundo — starannie wydane, dobre książki, należy sprzedawać, propagować i bronić wszystkimi dostępnymi środkami.

Od czasu do czasu piszemy rozdzierające artykuły na temat literatury emigracyjnej rozwodząc się szeroko nad jej „misją". Równocześnie książkom, które tę literaturę tworzą poświęcamy minimum uwagi.

Nie mamy arcydzieł ale w epoce okrzyczanej jako zmierzch powieści wydaliśmy na przestrzeni kilkudziesięciu miesięcy tropikalną prozę Straszewicza, w klasycznej formie utrzymaną powieść Józefa Mackiewicza i poetycką opowieść Miłosza. Żadne z tych trzech dzieł nie sygnalizuje upadku czy nawet zmierzchu.

Krytyków literackich mamy tylko kilku. Niemniej jestem przekonany, że wielu pisarzy można by zainteresować książkami emigracyjnymi ale inicjatywa (i zamówienie) musiałyby wyjść od wydawców.

O teatrze emigracyjnym pisze się daleko więcej niż o książkach, choć prawdziwych krytyków teatralnych mamy jeszcze mniej niż krytyków literackich. Każda sztuka wystawiona w Londynie ma „publicity" o jakiej najlepsza emigracyjna powieść nie ma co marzyć. Jest to dowodem że dyrektorzy naszych teatrów są lepszymi propagandystami niż nasi wydawcy. To wszystko.

LONDYŃCZYK

Władysław Pańczak

Poznałem go na terenie Czechosłowacji w maju 1945 roku. Chodził jeszcze w pasiaku kacetowca, ale myślami wybiegał już daleko naprzód. Czytałem w jednym ze wspomnień pośmiertnych o nim, że niechętnie opowiadał o przeżyciach więzienia, śledztwa i obozu. Pisząc te słowa przypominam sobie że właściwie nigdy nie mówiliśmy w naszych częstych spotkaniach o przeszłości. Zawsze interesował się tym, co należy zrobić. Przyszłość to jak wiadomo potencjalna możliwość osiągnięcia, albo przedmiot spekulacji. Dla Pańczaka była to przede wszystkim możliwość osiągnięcia. Był urodzonym realizatorem.

Przed wojną, będąc sekretarzem redakcji ,,Słowa Narodowego'' we Lwowie, interesował się stroną wydawniczą i odbywał nawet podróże zagranicę, by poznać organizację pracy wydawniczej. Rozmawialiśmy z nim kiedyś na ten temat i porównywaliśmy stosunki w prasie polskiej i zachodniej. U nas w glorii chadzali autorzy wstępnych artykułów, mniej poważano nawet wybitnych redaktorów, którzy sami nie pisali, a o administratorach niemal zapominano. Istniał nawet zwyczaj, że funkcje te powierzano byle komu, z tym skutkiem że pisma skupiające najlepsze pióra kładły się jedno po drugim. Nie znaliśmy — poza bardzo nielicznymi wyjątkami — stanowiska dyrektora wydawnictwa, który w krajach o dawniejszych tradycjach prasowych czuwa nad całością pisma. Ten stan rzeczy musiał uderzyć Pańczaka, który właśnie na tle doświadczeń dziennikarskich ze Lwowa — z równym powodzeniem mógł je zbierać w którymkolwiek innym mieście polskim — doszedł do wniosku, że jest w tym refleks naszych nieco anarchicznych i archaicznych wyobrażeń o życiu współczesnym.

Ten wstęp był mi potrzebny, żeby wytłumaczyć, co zrobił Pańczak w okresie blisko dziesięcioletniej pracy na terenie Oddziałów Wartowniczych. Zdobył się na ofiarę największą, na jaką może zdobyć się człowiek pióra. Przestał pisać, po to by zamienić się w realizatora. W pierwszych latach po wojnie można jeszcze znaleźć w rocznikach ,,Ostatnich Wiadomości'' artykuły, które wyszły spod jego pióra. Pisał dobrze, wzorową,

piękną polszczyzną — był polonistą — a przede wszystkim pisał mądrze. Był to okres w którym na terenie Niemiec sporo zależało od tego co się pisze.

Milion Polaków, rzuconych na teren trzech zachodnich stref okupacyjnych, stanowił w chwili zakończenia wojny masę bezkształtną, pozbawioną wszelkich form organizacji i miotaną najbardziej sprzecznymi nastrojami. Między wyzwoleniem z obozów a perspektywą powrotu do ,,Polski Ludowej'' czy też pozostania na obcej ziemi — masy uchodźców długo wędrowały po obozach, przerzucane często z miejsca na miejsce staraniem dobroczynności urzędowej. Trzeba im było w tym czasie wskazać cel, oswoić z nową sytuacją, którą można było przewidzieć, ale której nikt przewidzieć nie chciał. Jest rzeczą wprost zdumiewającą jak w tej sytuacji z dnia na dzień powstała mniej lub więcej nielegalna prasa polska, jak po wszystkich obozach zaczęto wydawać powielane biuletyny, a później drukowane pisma, z których wiele wychodziło przez całe lata. Dziennikarzy znalazło się wówczas na terenie całych Niemiec zachodnich może ze dwudziestu. Dziwna rzecz, jak szybko ubywają ludzie z tego nielicznego grona — w ostatnich dwu latach zmarło ich czterech, z tego trzech przed osiągnięciem pięćdziesięciu lat!

Może niemal symboliczną wymowę ma fakt, że Władysław Pańczak zaczął pracę redakcyjną jeszcze w pasiaku, na terenie Brygady Świętokrzyskiej w Czechosłowacji. Stąd po kilku ,,etapach'', biuletyn brygady, przekształcony później na pismo Zgrupowania Oddziałów Wartowniczych ,,Warta'' przerzucany był z miejsca na miejsce wraz z ,,drukarnią'' czyli powielaczem. Wreszcie Pańczak przeniósł się do obozu Kaefertal pod Mannheimem i stał się współpracownikiem, a później redaktorem naczelnym ,,Ostatnich Wiadomości''. Do lutego 1947 był to zresztą biuletyn powielany, przypominający dziesiątki innych, wydawanych w tym czasie przez ,,dipisów''.

W tym okresie Pańczak pisał. Na łamach roczników ,,Warty'' a później ,,Ostatnich Wiadomości'' można znaleźć sporo artykułów podpisanych literkami ,,ax''. Żałuję, że pisząc to wspomnienie na drugim końcu zachodniej Europy nie mam do nich dostępu, bo wolałbym dać na dowód moich słów parę fragmentów jego publicystyki z tego okresu. Świadczy ona o tym, że Pańczak doskonale zrozumiał, co było wówczas najważniejsze: wychowanie młodzieży, która świeżo wyszła z zupełnie nienormalnych warunków życia w obozach, takich czy innych, do nowych zadań. Słowo ,,młodzież'' należy tu pojmować w sensie bardzo rozległym. Człowiek, który marzy o tym co będzie robił w przyszłości jest niedojrzały, w przeciwieństwie do tego, który podejmuje już dziś działania możliwe w danych, choćby najcięższych warunkach...

Poczucie rzeczywistości było wówczas warunkiem odzyskania pionu moralnego. Rojenie o przyszłości staje się planem, działaniem tylko wtedy, gdy wiąże się logicznie z tym, co robimy dziś. Cel drogi przestaje być mrzonką, gdy tak wolno

jak to sprawiają rzeczywiste przeszkody i tak szybko jak na to pozwalają nasze siły posuwamy się ku niemu. Pańczak bardzo wcześnie zrozumiał, że trzeba przede wszystkim wprowadzić więcej ładu w nasze życie na emigracji, bo może ono trwać dłużej niż to się wydaje. Łączyło się to z doświadczeniami, wyniesionymi z prasy przedwojennej, w której więcej było talentów i improwizacji niż porządnej pracy.

Działalność prasowa Pańczaka była tylko zastosowaniem w jego warsztacie pracy wytycznych, które uważał za najważniejsze dla życia emigracji. Ludzie stojący z dala od społeczności wartowniczej nie wiedzą może o tym, że Pańczak był nie tylko redaktorem ,,Ostatnich Wiadomości'', ale także głównym oficerem oświatowym O.W. Praca ta była jego pasją i wciąż musiał walczyć z rozlicznymi trudnościami. Płynność sił ludzkich, przerzucanie całych oddziałów, same warunki służby wartowniczej sprawiały, że podejmowane prace wciąż się rwały, że trzeba było nieustannie szukać nowych form, zachęcać ludzi do podejmowania nowych prób i nowych wysiłków. Nie wystarczała tu sama dobra wola dowództwa, trzeba było jeszcze wyszukać w kompaniach ludzi chętnych, a cierpliwych i upartych, którzy by się nie zrażali trudnościami. Pańczak z cechującym go pogodnym spokojem był jednak nieustępliwy i dziś po wielu wysiłkach, uwieńczonych czasem częściowym sukcesem, a czasem zakończonych niepowodzeniem, można powiedzieć, że praca oświatowa znalazła swoje formy, zarówno jeżeli idzie o uzupełnienie podstawowych braków nauczania, jak i o rozszerzenie horyzontów myślowych wartownika.

Rozwój ,,Ostatnich Wiadomości'' jest bardziej znany w szerokim świecie. Podczas gdy inne pisma polskie w Niemczech dawno przestały wychodzić ,,Ostatnie Wiadomości'' rozrosły się i są dziś pismem, które odgrywa dużą rolę w życiu emigracji. Można powiedzieć, że oparcie o Fundusz Społeczny Oddziałów Wartowniczych dało im mocne podstawy, ale na pewno osobistą zasługą Pańczaka była wzorowa po prostu gospodarka, która pozwoliła na rozbudowę własnej, doskonale wyposażonej nowoczesnej drukarni. Obok ,,Ostatnich Wiadomości'' drukuje się tam dziś miejscowe pismo amerykańskie, co pozwala na zmniejszenie dotacji Funduszu Społecznego. Przedsiębiorczość, połączona z oszczędnością, daje owoce. Ile razy w moich wędrówkach przybywałem do Mannheim, Pańczak ze słuszną dumą pokazywał mi coraz lepiej wyposażony warsztat pracy — nowe linotypy, nowe prasy drukarskie.

W pierwszych latach naszej działalności na terenie Niemiec każda inicjatywa kulturalna zaczynała się od oglądania się na pomoc z Londynu. Teraz to się odwróciło. Drukując książkę wydawcy zadają sobie pytanie, czy wartownicy kupią tradycyjne 60 egzemplarzy, nieraz decydujące dla kalkulacji. Co roku różne instytucje kulturalne oczekują z nieukrywanym zainteresowaniem ogłoszenia wyników obrad nad rozdziałem dotacji kulturalnych Funduszu Społecznego O.W. Dotyczy to także Lon-

dynu, który przecież jest o tyle bogatszy. Całe szkolnictwo polskie w Niemczech wisi na subwencjach Funduszu, grono studentów korzysta z jego stypendiów. Nie wspominam już o tych ludziach pióra, którzy mogą utrzymać swą niezależność dzięki współpracy z „Ostatnimi Wiadomościami".

Wszystkie wnioski w tych sprawach były przedstawiane przez Pańczaka, jako oficera oświatowego, który doprawdy szeroko pojmował swoje „obowiązki służbowe". Wnioski te mogły być uwzględniane w znacznej mierze dzięki temu, że same „Ostatnie Wiadomości", mimo zwiększania rozmiarów pisma i jego nakładu — kosztowały coraz mniej. Obok dobrej woli dowództwa i całej społeczności wartowniczej do ogromnego rozwoju akcji kulturalnej O.W. przyczyniła się osobista praca Pańczaka i jego osobista ofiara. Przestał pisać by stać się „tylko" redaktorem, skupiającym niemal wszystkie wybitne pióra na emigracji bez względu na wszelkie „podziały" polityczne czy inne, „tylko" organizatorem akcji, która staje się główną podporą polskiej działalności kulturalnej.

Milczące i pogodne skupienie, które uderzało każdego kto się z nim zatknął w ostatnich latach, było maską, za którą ukrywał żelazny wysiłek woli, by wytrwać. Dla najbliższych jego ciężka choroba nie była tajemnicą. Dwa razy zasłabł przy pracy, ale odchodził od niej tylko na krótko. Nie ma najmniejszej przesady w powiedzeniu, że za widoczne dziś wyniki swej pracy zapłacił przedwczesną śmiercią.

W. ZALESKI

Okropności wojny

Wśród niezliczonych wystaw ubiegłego sezonu w Paryżu wystawa Buffeta wywołała najostrzejszą dyskusję, zachwyt, wrogość, a może bardziej jeszcze — zakłopotanie.

Ten malarz, równie obcy panującemu miłościwie na Zachodzie abstrakcjonizmowi jak obowiązującemu na Wschodzie tak zwanemu realizmowi socjalistycznemu, zasługuje, może bardziej niż jakikolwiek inny malarz współczesny, na uwagę.

Artykuł młodego francuskiego malarza oddaje z rzadką wnikliwością aurę tego malarstwa i jego powiązania z przeszłością.

J. CZ.

Przywiązani do słupów na tle białego muru, powieszeni na czarnych drzewach ponad głuchym miastem, leżącym pokotem w pustynnej dolinie — ludzie są nadzy. Trzy olbrzymie płótna Bernarda Buffet: Rozstrzelani, Wisielcy, Anioł Wojny, w paryskiej galerii Drouant-David.

,,Rzeź w Scio" już nas nie wzrusza i nie widzimy wyrazów twarzy. Wprawdzie zapewniają nas uczeni że w tym płótnie znajdziemy pokaz zastosowania teorii malarskich Delacroix. Współcześni malarze tak się stali biegli w dziedzinie koloru i zorganizowanych płaszczyzn, że może potomkowie nasi zapytają, za kilkaset lat jaka to dziwna wstydliwość czy bezsilność trzymała ich z dala od ludzkiej twarzy. Pod ręką mamy Muzeum Wyobraźni światowego malarstwa, teorie kolorystyczne znacznie postąpiły naprzód od czasów Signaca, i zdaje się ze wszystkie reguły malarstwa są ustalone.

Ale zdarza się ze człowiek nie potrafi powstrzymać się od krzyku.

W pustynnej dolinie, z dala okolonej górami, trupy leżą o zmierzchu. Trupy które objawił nam koniec zeszłej wojny : o rzadkiej trupiej doskonałości.

Jeden tylko człowiek jest jeszcze przy życiu, i jego obecność jest bardziej niesamowita, bardziej niezapomniana od Anioła o ohydnym brzuszysku : gdyż oto ostatni z naszej rasy żywych. Niemal na uboczu, przerasta wszystkich. Upadł na kolana, ramiona skurczył nad głową, chroni twarz rękami tak jak każdy z nas pod groźbą razu.

To za sprawą tego żywego człowieka ulegam Bernardowi Buffet. To on jeden stworzył znak tych ramion, palce i dłonie wrysowane w niebo, błyskawiczne zestawienie człowieka z jego śmiercią. Schował nam twarz tego który wie że śmierć się zbliża. Tak właśnie Giotto ukrywał twarz świętej kobiety u grobu Chrystusa i powierzał kształtowi pleców cały wyraz boleści. Tak właśnie Mistrz Piety z Avignonu ustawiał zmarłego Chrystusa, Matkę Boską i Świętego Jana na wsi, wieczorem; w głębi miasto i góra przecinająca krwawe złoto nieba. Śmierć przychodzi w wieczór podobny do innych wieczorów, wybiera teatr naszej ziemi; prostota tego teatru, niemego świadka naszej tragedii, zbliża Bernarda Buffet do prowansalskiego malarza z 15-go wieku.

Mistrzowie Prymitywni malowali na zamówienie śmierć Chrystusa i widok ich obrazów przynosi nam pewność, że zamknęli w nich tajemniczo swe własne życie, że wystarcza chwila zaostrzonej uwagi aby abrazy te świadczyły o naszej ludzkiej doli. Dlatego, poprzez wieki, malarze ci wydają się nam bliżsi od współczesnych.

Nic, w tych trzech płótnach Bernarda Buffet nie przypomina nam o istnieniu malarstwa z 19-go i 20-go wieku, jeśli nie właśnie odcięcie się od tego malarstwa poprzez pogardę, dla kolorów czystych, jasnych i żywych.

Akt Panny Rose pędzla Delacroix : każda cząstka jej ciała drgającego w świetle malowana jest innym tonem, pierś jej jest biała, ręce czerwone. Mała Lukrecja jest od stóp do głów podobnie różowa i szara. Tak maluje Buffet. Jego kolory szare, zielone, białe mają materię i dźwięczną głębię która nic nie jest winna przypadkowi, ale wynika z jego doświadczenia, z jego dotyku tych kolorów.

Jego rysunek, czytelnie wpisany na każdej formie, jest więcej niż kośćcem, jak można by przypuszczać. Wystarczy porównać te płótna z akwarelami wystawionymi w Galerie Visconti aby stwierdzić, że rysunek Buffeta, kiedy nie przechodzi alchemii oleju kładzionego na płótnie, jest nierówny : powtarza się w pewnej bezsilności, brak mu tej ascezy, tego tragicznego milczenia, które osiąga Buffet w swych obrazach.

O dziele sztuki można mówić z miłością. Dlaczego miałbym zapomnieć to, co mnie tak silnie uderzyło, aby mówić o tym co mi się wydaje sztuczne, czy jeszcze nie posiadające własnego życia w tych trzech płótnach? Mam zaufanie do Bernarda Buffet i myślę że zna on, lepiej ode mnie, swe własne niedociągnięcia.

Po jabłkach i malarstwie abstrakcyjnym, co za towar dla galerii, co za dekoracja dla wnętrz tych, którzy grają na giełdzie obrazów! W „Aniele Wojny", krajobraz świadczy — nieruchomo — o śmierci człowieka. W sali w której wisiały obrazy Buffeta, zaaferowany pan sprawdzał cyfry: kiedy podniesie głowę, to co zobaczy na ścianie nie przeszkodzi mu w spożyciu smacznego obiadu, nie zakłóci mu snu. Gdyż ci zmarli są dla wielu ludzi niczym innym jak dobrą inwestycją.

Śmierć i Żywy Człowiek mijają się co dzień wiele razy: ale patrzą na siebie raz tylko.

Jean COLIN

Kongres w Awinionie

W Awinionie odbył się w pierwszej połowie września pierwszy międzynarodowy Kongres poświęcony językowi i literaturze południowej Francji. Kongres ten zgromadził specjalistów i sympatyków studiów langwedockich z 22 krajów od Argentyny poprzez Japonię i Jugosławię. Polska była jedynym krajem spoza żelaznej kurtyny, reprezentowali ją oficjalnie prof. Brahmer i prof. Lewicka z uniwersytetu warszawskiego, a nieoficjalnie prof. S. Stroński, którego nazwisko wśród prowansalistów otoczone jest wielkim szacunkiem i uznaniem i należy do rzędu autorytetów.

Program Kongresu podzielić można na dwie części: naukową i rozrywkową. W części naukowej miała miejsce seria wykładów na tematy związane z filologią lub literaturą Langwedocji, dawną i nową. W tej części prof. Stroński stanął w obronie tezy, którą opracował wiele lat temu, a która została ostatnio zaatakowana we Włoszech. Teza ta stanowi bazę wszystkich dzisiejszych badań nad tekstami „Vidas" i pieśni trubadurów. Prof. Stroński udowodnił, że w dalszym ciągu z danych rzeczowych, zawartych w „Vidas" poważnie brać można na ogół tylko dane ściśle biograficzne, jak miejsce urodzenia i pochodzenie społeczne danego trubadura, natomiast wszelkie wątki romansowe, dotyczące przygód miłosnych oparte są na interpretacji pieśni albo wprost wysnute z fantazji. Prof. Stroński był więc świadkiem triumfu pracy swoich lat młodzieńczych.

Pani Jadwiga Chojko-Boutière, żona prof. Jean Boutière'a z Sorbony, inspiratora i organizatora Kongresu, w krótkim odczycie ujęła przebieg studiów prowansalskich w Polsce od lat najwcześniejszych do dzisiaj. Miss Knowles z Birmingham w analogicznym sprawozdaniu z dziejów prowansalistyki angielskiej wymieniła prof. Strońskiego à titre honoraire, jako naj-

wybitniejszego prowansalistę zamieszkującego obecnie Anglię. Prof. Brahmer wygłosił pogadankę o autorze komedii z XVII wieku Ramounet. Tyle z ,,poloniców'' Kongresu.

W części rozrywkowej Kongres można by raczej nazwać festiwalem Prowansji i jej piękna. Komitet, z E. Daladierem, merem miasta Awinionu i deputowanym departamentu Vaucluse, postarał się o wytworzenie atmosfery święta i feerii. Chodząc po ustrojonych chorągwiami ulicach uczestnicy Kongresu czuli się gośćmi miasta. Zwiedzanie Awinionu i Villeneuve przeniosło ich w czasy świetności papieskiej, dzień w Maillane i Saint-Rémy-de-Provence minął w filomackiej trochę atmosferze Felibrów, areny Arles pomogły zrozumieć klasyczne piękno krajobrazu, dzikie konie i ,,ferrada'' na Camarque pokazały jeszcze jeden aspekt tego kraju, zdumiewającego kontrastami. To tylko pobieżne wyliczenie. Bankiet w wielkiej sali przyjęć pałacu papieskiego był ukoronowaniem Kongresu. Pierwszy raz od czasów papieskich na wielkim stole, ustawionym dawną modłą w podkowę, zabłysły świece. Na menu złożyło się to, co Prowancja ma najlepszego. Po bankiecie, na dziedzińcu pałacu, kongresiści, ująwszy się za ręce, odtańczyli farandolę jak za czasów, o których jeszcze dziś się śpiewa. Uczonym filologom wszystkich krajów, którzy przyjechali tu aby przedyskutować teorię dyftongizacji w dialektach Prowansji, ukazała się ona sama: jej słońce, jej piękno, jej smak.

Z. R.

Książki

Nagroda Nobla

„Proust wielkim pisarzem? *Ce plaisantin?*" miał powiedzieć Anatole France, zasłyszawszy pod koniec życia o rosnącej sławie autora „A la recherche du temps perdu". France znał Prousta z salonów, widział w nim snoba (trafnie), aroganta (trafnie), nie dostrzegał w nim geniusza. Bóg litościwy pozwolił France'owi nie dożyć czasów, w których jego własny rozgłos wyglądał wobec sławy Prousta jak wytarta, groszowa moneta.

Nie ludzie klasy bądź co bądź France'a, ale niezliczone polskie literaciny, dziennikarzyny, a przede wszystkim urzędniczyny roześmieją się grubym, wulgarnym, hałaśliwym śmiechem, gdy usłyszą, iż Mackiewicza (Józefa) śmiano nazwać publicznie najwybitniejszym, najznakomitszym, największym polskim pisarzem okresu powojennego.

Jak to się dzieje? Dlaczego? W jaki sposób prowincjonalny publicysta mógł stworzyć Dzieło, i to Dzieło nie w cudzysłowie, napisać powieść, która będzie należała do żelaznego repertuaru polskiej literatury, gdy nazwiska tylu głośniejszych, reklamowanych jego kolegów po piórze, nie wyłączając jego rodzonego brata, znane będą chyba tylko molom archiwalnym, bibliofilom, bibliografom, bibliotekarzom. Gdzie, w czym tkwi sekret tego talentu, tej potężnej indywidualności pisarskiej?

Sekret to trudny i skomplikowany. „Droga do nikąd" jest kroniką okupacji Wileńszczyzny przez Sowiety w roku 1940-1941. Opowieść zaczyna się w chwili włączenia Litwy do Z.S.S.R. w dniu 5 sierpnia 1940 roku, kończy się w przeddzień wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, 22 czerwca 1941. Kronika ta składa się z szeregu fragmentów dość luźno z sobą związanych: można ją porównać do mozaiki, do zbioru nowelek. Losy trzech osób stanowią jakby zawiasy tej opowieści: Pawła, który ma wyraźne rysy autobiograficzne, jego żony Marty oraz jego kochanki Weroniki.

Ale prawdziwą klamrą tej opowieści nie są osoby, ale kraj. Wilno, ani razu nie wymienione z imienia — wzorem rosyjskim („w gorodie N."), autor pisze stale: „w mieście". Wiadomo.

Nikt się nie może omylić. Można poznać i ulicę Mickiewicza, i Zamkową, i Zielonego Strahla, i brzegi Willi. Ale autor pisze stale „w mieście". Może nie chciał urazić uszu litewskich. Może raczej, chciał podkreślić, że dla mieszkańców byłego Wielkiego Xięstwa Miasto może być tylko jedno....

Tak, kraj. Podwileńskie osady, zwolna przechodzące w wioski zapadłe, ubogie, w jeszcze biedniejsze pojedyńcze chaty na podmokłych łąkach, wreszcie w puszcze rozległe, rojsty grząskie, jeziora i bagna. Mackiewicz ma niezrównany, ale ściśle swoisty talent opisywania tego kraju — dla mnie płaskiego i niepociągającego — a który jak żadna inna połać Polski został unieśmiertelniony w naszej literaturze. U Mickiewicza, u Weyssenhoffa jeszcze, kraj ten się uśmiecha. U Mackiewicza jest posępny, trumienny, groźny. Była taka sztuka sowiecka: „Ryczy Kitaj" (Ryczcie Chiny). Dobra sztuka.. Powieść Mackiewicza mogłaby się nazywać: Szlochaj Litwo.

Książka to bez uśmiechu. Tragiczna, bolesna, zła. Ludzie w niej są źli. Przyroda zła. Pogoda — mrozy, zadymki, wiatry, odwilże, wilgoć, komary — wszystko walczy z człowiekiem. Czasem tylko zwierz jakiś jest dobry, przyjazny: koń, pies, kot, ptaszek, nawet wilki: gdy ktoś się pyta, czy to prawda, że wilki pojawiły się w okolicy, wszyscy się tylko śmieją. Ale choć ponura, tragiczna — książka Mackiewicza nigdy nie wpada w sentymentalizm. Czułostkową nie staje się ani na chwilę. Nic z Żeromszczyzny, nic ze Stanisława Mackiewicza, jego typowej, irytującej, histerycznej czy histeryzującej self-pity. Książka ma jakąś straszliwie niepolską twardość. Rzadko rozlega się w niej krzyk czy jęk. Gdy Wercię NKWD wywozi na Sybir, to „na nic, ażeby choć na cokolwiek spojrzała. Oczy tylko wbiła przed siebie jak umarła. Ani słowa. Stary jak siadał, też nic nie mówił..." Wielkie Xięstwo Litewskie — empirowe i tańczące w takt poloneza u Mickiewicza, jeszcze kraśne makami polnymi i jarzębiną u Orzeszkowej — kona bez słowa u Mackiewicza, kona w nędzy, w oparach samogonu, w upodlającym strachu i w nieopisanym brudzie. Ten brud, ten smród — to też kamerton powieści. Leon przychodzi odwiedzić Pawła, przygarniętego w jakimś korytarzu: Ależ tu śmierdzi, od progu woła. Na dworcu wileńskim, gdzie Paweł i Weronika w ciżbie poczekalni czekają na pociąg, podłoga pokryta jest plwocinami, „stroskana matka wysadza dziewczynkę, która nie mogła dłużej wytrzymać", fetor bije z każdej stronicy : Mackiewicz rozróżnia odory gnoju, walonek, niewypranych skarpet, skóry, uprzęży, pieluch, niewietrzonych izb, Bóg wie jakie jeszcze. Gdybym pisał traktat ekonomiczny o „skutkach gospodarczych okupacji sowieckiej na podstawie powieści Mackiewicza", musiałbym stwierdzić, że konsumpcja mydła itd. spadła do minimum, natomiast w co najmniej tymże stopniu wzrosła konsumpcja samogonu. Autorowi z tym brudem, z tym smrodem, z tą nędzą jest jakby dobrze. Mackiewicz jest pisarzem proletariackim. Prawdziwie wypadają u niego tylko ludzie, którzy

nos wysmarkują w dwa palce. Gdy ktoś używa chusteczki do nosa, Mackiewicz natychmiast czuje się jakby nieswojo. Staje się jakby myśliwym, albo raczej psem gończym, który zmylił trop, którego zawiódł węch. On, który tak pewną ręką, z tak nieprawdopodobną maestrią rysuje prostaków, niepiśmienną czerń, no od biedy jakąś półinteligencję — od razu traci i tę pewność, i tę precyzję, i przede wszystkim tę prawdę życia, gdy zahacza o inteligencję. Od razu nie to. I dialog słabszy. I język uboższy. I psychologia coś nawala. Nie tylko gdy chodzi o rezonujących inteligentów: Tadeusz, Leon, Karol, Konrad są wszyscy jacyś papierowi. Ale nawet ledwo naszkicowani eksziemianie, jak Bogucki, jak Rukowski, jak jego szwagier Witold z Wykont — to też nie to. Nie to. Ot, trudno powiedzieć dlaczego, ale nie to. Mackiewicz jest pisarzem proletariackim, jest bardem szarych, małych, najmniejszych ludzi. Kułak, jak stary Bożek, Żyd co się dorobił dwunastu fajerek, gajowy, konfident Rymaszewski, stary ptasznik, próbujący skojarzyć czyża z samicą kanarka i palący łampadię przed ikoną Kazańskiej Matki Bożej — oto szczyty społeczne dla Mackiewicza. Nasz polski Gorkij. Według mnie — lepszy.

Literatura polska zarówno dwudziestolecia jak i okresu powojennego nie była ani proletariacka, ani chłopska — była i jest typowo inteligencka. Jej warsztatem nie jest ani fabryka, ani zagon małorolnego — lecz kawiarnia, czasami biuro. I oto ci bezklasowi albo zdeklasowani inteligenci, półinteligenci i ćwierćinteligenci, chcąc sprawiać wrażenie ,,ludowości'' czy ,,postępowości'', chcąc okazać chłopską czy robotniczą ,,krzepę'', chcąc swej bladej, jak słaba herbata, polszczyźnie nadać rumieńców ,,demokratycznych'' czy nawet ,,socrealistycznych'' — uciekają się do *koprolalii*. Niejedno dziełko, wydane nie tylko w Bierutówce, ale i na emigracji, grzeszy takim bezmiarem koprolalicznych bezeceństw i brudów. Wysoka klasa artyzmu i realizmu (bez ,,soc.'' i bez ,,pol.'') Mackiewicza przejawia się między innymi tym, że tej koprolalii nie ma ani śladu: gdy stary ptasznik sprzedaje Pawłowi konia, to zachwala go w tych słowach: ,,Za przeproszeniem, dupka u niego jak u panienki''. Ach, to ,,za przeproszeniem''... jaka prawda bije z tych zwrotów.

Migawki czy obrazki Mackiewicza dzielą się na trzy kategorie: najgorsze są ustępy rezonersko-dziennikarsko-publicystyczne, po prostu nieraz nie do wytrzymania; już dużo lepsze są obrazki z życia zbiedzonej, sproletaryzowanej inteligencji, jak przede wszystkim sceny i scenki z pożycia małżeńskiego Pawła i Marty, gdzie język jest poprawną, ogólno-krajową, powiedziałbym gimnazjalną polszczyzną; i wreszcie bezkonkurencyjnie najlepsze, niezapomniane, genialne po prostu są folklorystyczne obrazki z życia ,,gminu''. Pamiętam ze szkoły, że w programie figurowała jakaś Chemia Nieorganiczna. Pojęcia nie mam dzisiaj — i zdaje się nigdy nie miałem — na czym polega ta chemia nieorganiczna i czym się ona różni od chemii organicznej, ale

Mackiewicz jest, jak się zdaje, specjalistą od ludzkości nieorganicznej, to znaczy od tej ludzkości prymitywnej, która nie umie wypowiedzieć swych myśli i uczuć, tylko jakimś milczeniem czy bełkotem, czy przekleństwem potrafi dać znać, że ją coś boli czy cieszy czy trapi. Raz po raz Mackiewicz, opisując takich ludzi ,,nieorganicznych'', dając ich rozmowy ,,nieorganiczne'' wznosi się na wyżyny geniuszu, niespotykanego w literaturze polskiej, a bardzo rzadkiego w literaturze światowej. W tym bogactwie typów i incydentów trudno dokonać wyboru. Np. taki Rymaszewski Antoni, wezwany do NKWD, słyszy od gepisty Czemodanowa: ,,Wy, Rymaszewski dużoooo wiecie''. I w duchu sobie myśli: no, pewno, że on Rymaszewski dużoooo wie. On wie, że szwagier Jan, mąż Mańki, sprzedał parsiuka (prosiaka) na lewo, że inny sąsiad podał się za ułana, choć służył w żandarmerii... Tak, podrzędny literat by tu wpakował, że Rymaszewski znał jakąś organizację podziemną, wiedział o jakimś podsłuchu radiowym itd. Nie Mackiewicz. On wie, że dla chłopa ,,dużo wiedzieć'' to właśnie o nielegalnym uboju czy handlu. A potem ten obrazek, jak Rymaszewski, skaptowany na konfidenta, wraca do domu.

,,Między sosnami, na wrzosach, rysowała się sylwetka Antoniego, który szedł szybkim, z daleka mogło się zdawać, wesołym krokiem.

— Wraca! Matko Przenajświętsza! — Ola (żona) skoczyła do drzwi, gdy z nagłą decyzją zawróciła, poszukała oczyma po ścianie i padła na kolana przed popularną litografią Chrystusa o płonącym sercu, która wisiała w rogu izby. — W imię Ojca, i Syna, i Ducha...

— Mama! Tatuś wraca!... wpadła do izby Krysia i zatrzymała się, przenosząc wzrok z matki na święty obraz tak jej dobrze znany, na którym Chrystus z kamiennie łagodnym wyrazem wskazywał na promieniste serce, podobne do zabawki choinkowej. Ciotka (właśnie żona tego Jana, którego Antoni wnet zadenuncjuje) ujęła ją delikatnie za łokcie z tyłu i szepnęła:

— A ty by też uklękła i podziękowała Panu Jezusu...''

...Panu Jezusu... Książka Mackiewicza jest nie tylko rozkoszą dla literatów, ale i dla Westfalów. Dla językoznawców. To niezrównany znawca gwary wileńskiej. Może ,,Droga do nikąd'' — to jej pomnik ostatni. Jeżeli kiedyś kraj wróci, ziemia wróci, język się zmieni. Ci co zostali zarażą się rusycyzmami. Ci co się tułają wniosą domieszki angielskiego, niemieckiego, hiszpańskiego, czy ja wiem czego jeszcze. Piękny, wyborny był to język. Bez niego Mackiewicz by nie był wielkim pisarzem. Ale to też przeszkoda straszna. Bo nie sposób go przetłumaczyć. W bukiecie Mackiewicza trzeba w tłumaczeniu wyrzucić najpiękniejsze, najwonniejsze kwiaty.

Postacie kobiece są zwykle najsłabszym punktem polskiej powieści. Inaczej u Mackiewicza. W ,,Drodze'' dał on kilka sylwetek i dwa portrety *en pied:* żony bohatera, Marty, i jego kochanki, Weroniki. Wszystkie typy kobiece Mackiewicza mają

pewne cechy wspólne. Naprzód są to pracownice, omal zwierzęta gospodarne, część dobytku. Zapracowane po uczy. Praca to straszliwie mało wydajna, ale nieustanna, ciężka, wytężona. W rzadkich chwilach, kiedy Paweł chciałby popieścić żonę, ta musi go ofukać, bo ma ręce ubabrane mięszaniem jakiegoś ciasta. Wiadro, przetak, miotła — oto świat kobiet Mackiewicza: nie szminka, nie róż, nie puder. Właśnie ostatnio czytałem jakąś powieść francuską : młody lekarz, opukując pacjentkę, od razu zdaje sobie sprawę — z odrazą — że w jej domu nie ma łazienki, że bierze tylko *un bain de siège,* no, korzysta tylko z bidetu. Obawiam się, że bohaterki Mackiewicza nawet tego *bain de siège* nie znają, chyba tylko wodę jakiegoś ruczaju, gdy lato wileńskie wyjątkowo przygrzeje.. Autor jakby z sadyzmem i lubością podkreśla wszystko co trąci biedą, prymitywem : Jadzia ma guzik przyszyty czarną nitką do białych, staroświeckich majtek, Weronika poprawia pończochę, trzymaną nie podwiązką a tasiemką.. I żona, i kochanka zeskakują z wozu Pawła, by schować się za krzakami. Rzecz naturalna. W przeciwieństwie do swego brata, Mackiewicz nigdy nie wpada w lubieżność, nigdy nie jest ani oślizgły, ani rozpustny, ani perwersyjny. Jego fizjologia miłości jest surowa, rzekłbym ascetyczno-naturalistyczna. Ot, prawo natury. Świetna jest scena, gdy Weronika zapytuje się amanta, czy już nigdy nie będzie jej „kochał", a Paweł stara się jej wyperswadować, że teraz takie czasy, iż romanse nie w głowie.

— A jak z żoną idziesz spać, to też tobie nie w głowie, a w czym? — przerwała brutalnie, zsuwając jego ramię ze swoich pleców. Paweł spochmurniał.
— Przy czym tu żona — mruknął.
— A ot przy tym.

Marta. Jak właściwie nieatrakcyjna. Autor nie podaje jej wieku. Ale z obrazku, kiedy przegląda się w lusterku i nie dostrzega ani jednego siwego włoska, można wywnioskować, że jest jeszcze młoda. A jednak nieprzeparte wrażenie, które ta Marta nam zostawia — to właśnie starej, zwiędłej kobiety. Kobiety, która się kończy. Jeszcze jest robotna. Ale na tym koniec. Niezrównana jest jej kłótnia z Pawłem : ten wybuch histerii, ten potok pretensji, wymyślań. Mackiewicz używa o kobietach określeń zawsze niepochlebnych, pisze o ich głosach zgrzytliwych, o zawodzeniu, pisze, jak chlipią. Ale jednak Marta jest żoną. Żoną. Ten charakter dominuje. Paweł zapewnia Weronikę, że *żony* nie porzuci. Nie Marty, lecz żony. Stary Bożek gryzie się, że żona mu umarła. Żona. Bez imienia. Imię — to nieważne. Grunt — żona.

I wreszcie Weronika. W ubogiej galerii typów kobiecych w powieści polskiej Weronika zostanie. Może porównać ją z Warszulką Weyssenhoffa? Już chyba ze trzydzieści lat minęło, odkąd czytałem tego „Sobola", ale z Warszulki zostało mi wspomnienie czegoś delikatnego, trochę pastelowego, trochę

konwencjonalnego obrazku, bliższego pasterek Boucher'a, niż borów litewskich. Weronika z twardszego zrobiona jest tworzywa. O jej urodzie właściwie wiemy tylko, że ma zielone oczy, i że te oczy się zwężają, gdy namiętność się w niej budzi. Wiemy, że miłość do Pawła nosi w sobie ,,jak dziecko w brzuchu''. Wiemy, że jest porywcza i staroświecka: jak Paweł odmawia rozstania z żoną, to woła, że ,,ty by dwie chciał mieć, a może więcej''. Z tym wszystkim to jedyna dobra dusza w całej powieści. Jak ucieka — to do matki, i jeszcze w domu pracuje, sok brzozowy w brzeźniaku wybiera. Krzywdy nikomu nie robi, ot chyba, że chłopców odtrąci. Ale ona jedna zdobywa się na poświęcenie, ona ratuje Pawła i Martę, i sama wraz z rodziną przypłaca to zsyłką, ,,wywózką'', jak ten straszny bolszewicki proceder deportacji omal pieszczotliwie autor nazywa. Dla siebie samego Mackiewicz jest bezlitosny: jego sobowtór, Paweł, myśli nie o Weronice, a tylko o ratowaniu własnej skóry i żoninej. Nad losem nieszczęsnej Werci jednej łzy nasz bohater nie roni.



Zarówno mój brat w ,,Dzienniku Polskim'', jak i brat autora w ,,Tygodniku'' wytknęli Mackiewiczowi dziennikarskie naiwności jego książki. Po co się znęcać? Teorie polityczne Józefa Mackiewicza, jeżeli tym uroczystym terminem można jego dziecinady ochrzcić, są w najlepszym razie papuzim powtarzaniem oklepanych sloganów powstania styczniowego, armii krajowej, słowem wszystkich amatorów krzepy, krzepienia serc, oporu, walki do ostatniego guzika itd. Mackiewicz nie rozumie prawdy podstawowej i bardzo prostej: że małe narody i małe państwa są tylko igraszką w rękach wielkich mocarstw. Nie było oporu przeciwko bolszewikom na Wileńszczyźnie i na Litwie, bo nie chcieli go — choć z różnych powodów — ani Niemcy ani Anglicy. Później wybuchł na tych samych ziemiach czynny opór antyniemiecki, bo go chcieli i Moskale, i Anglicy, i Amerykanie. A potem gdy przyszli bolszewicy opór ten znowu zgasł, bo już był wielkim mocarstwom niepotrzebny. Tak jest zawsze i wszędzie. W Grecji były walki i gierylasówki, i jakiś Ellas — i wszystko to diabli wzięli, gdy Sowiety postanowiły położyć sztrych pod całym tym interesem. Michajłowicz walczył i miał jakieś oddziały, póki Anglicy tego chcieli, a gdy dowąchali się z Tito — skończył się Michajłowicz, po prostu go powieszono, a cały świat przyklasnął, a Tito zaproszono do Buckingham Palace. Gdy Amerykanom czy Chińczykom raptem z powodu Formozy czy wysp Kurylskich nagle zależeć będzie na ruchawce w Puszczy Rudnickiej, to ta ruchawka wybuchnie, choć ,,Tadeusz'' w grobie, a sam Józef Mackiewicz na emigracji. Don Kiszot jest arcydziełem, ale walka bez błogosławieństwa któregoś z wielkich mocarstw — to walka z wiatrakami.

Do tego podstawowego błędu, świadczącego o wyjątkowym infantylizmie politycznym, Mackiewicz pododawał cały wianuszek rozważań i teoryjek, z których każda jest bardziej osłupiająca od poprzedniej. I tak Mackiewicz z lubością dowodzi, że Sowiety a Rosja — to coś zupełnie, ale to zupełnie innego, no w ogóle ogień i woda. Mackiewicz wprowadza w tok powieści jakiegoś popa, Pitirima czy Serafima, i popisko długo wywodzi, że za caratu panowała wolność, że cała inteligencja rosyjska była przeciwna despotyzmowi, że się to wszystko zmieniło dopiero za bolszewizmu itd. Gdy bolszewizm diabli wezmą — a kiedyś go wezmą — znowu się wynajdzie nową gadkę, że to nie naród rosyjski ponosi odpowiedzialność za łagry, za wywózki, za tortury, bo naród ten burzył się bez przerwy i był w stu procentach przeciwko Stalinowi. Każdy naród ponosi całkowitą odpowiedzialność za swój ustrój i swe rządy, o ile nie były one narzucone przez okupację zewnętrzną. Tak więc naród polski ponosi całkowitą, stuprocentową odpowiedzialność za rządy przedwojenne, natomiast nie ponosi odpowiedzialności za rządy Bieruta, które zostały narzucone bagnetami sowieckimi, i który by bez nich nigdy się dwudziestu czterech godzin u władzy nie utrzymał. Podobnież jest zawracaniem głowy, że ,,cała'' inteligencja rosyjska była liberalna i nienawidziła caratu, legendą są bajki o ,,dobrych'' cenzorach Mikołaja I-go etc. Buntowały się jednostki, a i to ofiary systemu, jak Dostojewski jeszcze potem lizały buty carskiego oprawcy. I tak samo naród rosyjski ponosi pełną, stuprocentową odpowiedzialność za bolszewizm. Bolszewizm, stalinizm, cały ten terror, cała ta ohyda, całe to swirepstwowanie, cała ta opriczina — wszystko to jest krew z krwi, kość z kości, duch z ducha Rosji. Bolszewizm — to jest *rosyjska* forma marksizmu, tak jak hitleryzm był jego formą niemiecką, jak Welfare State i niedzielna nuda jest jego formą angielską, bałagan i kryzysy rządowe są jego formą francuską, a anarchia i wojna domowa jego formą hiszpańską. Polska forma — no, ale to długi temat, o tym może kiedyś później, jeżeli dożyję, jeżeli satrapa redakcyjny pozwoli...

Nie ma żadnego konfliktu polsko-sowieckiego, jest tylko w nowej, wyjątkowo groźnej formie, odwieczny konflikt polsko-rosyjski. Moskwa zalała raz jeszcze kresy polsko-litewskie. To jest ta prawda, która bije z każdej strony powieści Mackiewicza, bo, wbrew swej woli, jako artysta, Mackiewicz *musi* być uczciwy i prawdomówny, a której zaprzecza, jak umie i może, na każdej stronie swego mętnego rezonerstwa. Jest rzeczą zaiste zdumiewającą, że ,,Droga do nikąd'' pozostaje wspaniałą, monumentalną powieścią *pomimo* tych niekończących się wstawek nudnego mętniactwa. Tylko prawdziwa piękność może pokonać zły gust małomiasteczkowej toalety, i tylko talent, graniczący z geniuszem, może wyjść zwycięsko z tego łamania się z grafomanią małomiasteczkowego politykiera, uważającego się za Talleyranda. Jest też rzeczą uderzającą, jak stale, jak regularnie

w narodach słowiańskich powtarza się ta mania wielkich pisarzy koszlawienia swych talentów głoszeniem jakichś idej, przeważnie płaskich, a w każdym razie przez autorów zupełnie nierozumianych. Taki Tołstoj (Lew oczywiście) genialny artysta, niezrównany epik, swoje ,,Zmartwychwstanie'' już całkowicie spaskudził jakąś pseudofilozofią, naiwną, sztubacką, nudną, prymitywną. A jednak nie: Tołstoj z uporem widzi w sobie nie artystę, nie powieściopisarza, ale właśnie apostoła, proroka, reformatora, i upiera się, że te jego nędzne ramoty i dywagacje, to sens jego pracy pisarskiej, jego życia. Gogol w obłędzie popomanii pali drugi tom ,,Martwych dusz'' i w jakiejś pseudoekstazie pseudoreligijnej dostrzega sens życia. Słowacki niszczy piękny talent liryczny, by rozpisywać się o heglizmie, z którego nic zupełnie nie zrozumiał, w swoich ostatnich listach do matki, baje jak urzeczony, jak fiksat o jakimś krążeniu duchów, i znowuż w tej grafomanii pseudoreligijnej widzi misję swego życia. I oto teraz Józef Mackiewicz, zamiast wykorzystywać do ostatniej kropelki, do ostatniej drobiny skarb talentu dany mu przez Boga, z sadyzmem, z mazochizmem psuje jak może własne dzieło, by głosić jakieś absurdalne brednie, wypisywać jakieś przenudne kobyły na poziomie swego eks-kolegi, nieboszczyka Charkiewicza. I co najgorsze! Mackiewiczowi obojętne są pochwały jego literackich dokonań. Tylko się skrzywia. Ale chce by go traktowano, jak wielkiego polityka. Jako myśliciela politycznego. Obraża się, gdy ludzie łamią ręce, widząc marnowanie i szarganie wielkiego talentu. Tą recenzyjką zrobię sobie też nie przyjaciela, a śmiertelnego wroga.

◆

Bracia Mackiewicze stanowią unikat w dziejach literatury polskiej : siedemnastowieczni Morstinowie należeli do paru pokoleń. Jest fenomenem, by dwóch braci mogło zająć w piśmiennictwie tak pierwszoplanowe miejsca. Wielu ludzi powiada : jak są oni do siebie podobni. Jest to złudzenie optyczne. Znając obu od dawna i z bliska postaram się to złudzenie obalić.

Stanisław jest nieporównanie zdolniejszy. Jest wielokrotnie bardziej wszechstronny, jest znacznie bardziej wykształcony i oczytany, ma znacznie więcej zainteresowań, ma silniejszą personality, ma więcej dowcipu, charmu, uroku, jest bardziej ,,colourful'' jest zabawniejszy, jest bardziej interesujący. Ale jest tylko dziennikarzem. Doskonałym, wyjątkowo utalentowanym. Jest to hetman publicystyki, i w tej dziedzinie jego rola jest tak pierwszorzędna, jego klasa tak wysoka, że potrafił on nawet bez ośmieszenia się, bez narażenia się na miano błazna i cymbała przejść przez ogniową próbę premierostwa emigracyjnego. A przecież Stanisław Mackiewicz tyle razy gromił polską manię pozorów. Sam się nie oparł wdziękom emigracyjnej tytułomanii...

Ten znakomity, przenikliwy publicysta, o stylu barwnym, o języku nieraz niegramatycznym, ale soczystym i jędrnym, jak

dojrzała renata czy papierówka, ma, jako pisarz, jedną zasadniczą wadę : oto może on pisać tylko o sobie. Stanisław Mackiewicz spróbował swych sił w teatrze : jego dwie sztuczki wypadły beznadziejnie, bo wszystkie postacie — to były inkarnacje autora, wypowiadały jego poglądy na różne sprawy, ale własnego życia nie miały. Z książek Stanisława Mackiewicza najlepsza jest monografia o Dostojewskim : swoją drogą jest nieopisanym skandalem, że książka ta nie wyszła dotąd w druku w polskim oryginalnym tekście, tylko w dwóch drewnianych przekładach, angielskim i niemieckim. Dlaczego ta monografia o Dostojewskim jest najlepsza ? Bo między Dostojewskim a St. Mackiewiczem istnieje pewne jeżeli nie pokrewieństwo, to przynajmniej powinowactwo : Dostojewski, choć nienawidził Polaków, to jednak, poznawszy St. Mackiewicza, zapewne by powiedział : *Chatia i Palaczyszka, no intieresnyj...* I dlatego te trzysta stron skargi i wyrzekania, dlaczego Dostojewski znalazł sobie Anię, a St. Mackiewicz takiej Ani nie znalazł, są do wytrzymania, i są nawet zajmujące. Natomiast już dużo gorszy jest ,,Stanisław August'' tegoż autora. Mniejsza o to, że istotną treścią tej książki są rozważania, co by autor, St. Mackiewicz, zrobił na miejscu Stanisława Augusta : w pewnym sensie to studium było aktem kandydowania na stanowisko legalistycznego, emigracyjnego premiera, tak jak o biografii Piłsudskiego przez pewnego urzędnika MSZetu, jeszcze za życia Marszałka, Wieniawa miał powiedzieć : 365 stronic prośby o awans. Biografia Stanisława Augusta jest poroniona, bo między autorem a Poniatowskim nie ma ani jednego elementu wspólnego, *pas d'atomes crochus,* jak się mówi w trochę afektowanej, dziewiętnastowiecznej francuszczyźnie. Wiek XVIII był wiekiem konwenansu, formy, był wiekiem zepsucia, ale nie rozpusty, był wiekiem ,,galant'' (słowo nieprzetłumaczalne na język polski), ale nie był wiekiem lubieżnym. Gdy St. Mackiewicz opisuje, jak Stanisław August pieści kuzynkę Lubomirską w chwili, gdy armaty strzelają z powodu jego elekcji, wiemy że to nieprawda. Wszystkie te tiule, koronki, cała ta lubieżność, do której brakuje tylko jeszcze czarnych majtek i frou-frou kankana pasują do epoki la belle Otéro, do grzesznego chichotu faryzeuszowskiego *fin-de-siècle*'u. W Trianonach i w Łazienkach więcej było reweransów niż couchowania, więcej kalamburów niż wyznań miłosnych, więcej gracji, jak miłości, więcej konwersacji niż pieszczot. A nade wszystko unosił się tam duch klasowy. Wszystkie te amory, flirty, zdrady, figielki — to były *passe-temps* rodzinne. *Entre cousins*. Mój drogi Stasiu, ani Ciebie, ani mnie by do tych figielków nie dopuszczono. *Allons donc !*

Józef Mackiewicz pod jednym względem bije swego brata : oto jako powieściopisarz, jako artysta Józef umie wyjść z siebie, staje się dzięki jakiemuś tajemniczemu procesowi samobójstwa własnej osobowości już tylko fotografem, już tylko automatem, który rejestruje cudze myśli, uczucia, słowa. Józef jest jako artysta *obiektywny*. W pewnej chwili autor znika. I gdy znika,

jego twory, jego bohaterzy zaczynają żyć własnym życiem, poruszają się, mówią, cierpią, czują, wypełniają strony, książkę, świat. Stają się żywi. Weronika żyje tym samym życiem, co Basia Wołodyjowska czy Izabella Łęcka czy Hanka od Borynów. Stanisław jako literat może osiągnąć nieśmiertelność wyłącznie pamiętnikami : musi wzorować się na Saint Simonie czy Casanowie, czy od biedy na Goncourtach (przereklamowanych). Natomiast Józef musi tylko zapomnieć, że istnieje coś takiego, co się nazywa polityką.

Mówi się też o obu braciach, że są bardzo rosyjscy. Pewno że są. Ale każdy w innym sensie. Mackiewicz Stanisław jest o dobrych pięć lat starszy : stąd pamięta on Petersburg, carską Rosję, przedwojennych Moskali — jest jeżeli kto chce ,,białogwardyjski''. Inaczej Józef. On zna Rosję tylko przez pryzmat jej literatury. Stąd jego sylwetki enkawudzistów, a nawet ekscarskiego oficera ,,Mikołajewicza'' (choć ta jest najlepsza) mają coś sztucznego, nieprzekonywującego : gdzieś czegoś brakuje. Ale jako atmosfera, jako nihilizm, jako konstrukcja nawet — powieść jego jest czysto rosyjska, wywodzi się w prostej linii z Gogola i Szołochowa. I jeżeli gdzie zagranicą, to w Rosji ,,Droga do nikąd'' znajdzie uznanie. W Rosji pobolszewickiej może zostać best-sellerem.

◆

Gdy myślę o Józefie Mackiewiczu, zbiedzonym, ponurym, milkliwym, skrzywdzonym, zgorzkniałym i zbolałym, przychodzi mi zawsze do głowy porównanie z Dostojewskim. Jakieś redakcje, klubiki, biura cenzury, mieszczańskie, petersburskie ,,kwartiry'' z ogromnymi orzechowymi kredensami i bufetami, w których przy okrągłym stole, przy ćmiącej lampie naftowej ówczesna elita piła herbatę z dymiących samowarów. I widzę tych Bielińskich, Niekrasowych, Katkowów, Grigorowiczów i tylu, tylu innych, nadętych, pontyfikujących, uroczystych, z dewizkami, z zegarkami jak cebule, rozwalonych w fotelach, ględzących, jakby to była ówczesna arystokracja warszawskiego Ipsu, a gdzieś na szarym końcu skulony, milczący Dostojewski, który, nie wiem czemu mi się tak wydaje, musiał wiecznie marznąć. Taki sobie mały, brzydki, niechlujny człowieczek, nerwowo patrzący spode łba, którego ręce niespokojnie latają po blacie stołu. Nikt na niego nie patrzy, nikt się do niego nie zwraca. Ledwo jest tolerowany. Czasem gdy go ktoś wspomni : ach, ten epileptyk !

A dzisiaj ? To wszystko zapomniane. Nazwiska nic nie mówiące. Nazwiska, które gdzieś figurują po słownikach bibliograficznych, tylko dlatego, bo kiedyś otarły się o Fiedora Michajłowicza...

Może to samo spotka nas wszystkich. Józef Mackiewicz jest też krzywdzony, spychany na ostatnie miejsce, lekceważony, szkalowany przez sforę pasożytów, którzy tradycyjnie jak pijawki żłopią krew i chleb literatów, tych ,,organizatorów'', tych

kontrolerów, tych przewodników, tych polrealistów, poprawiaczy, naprawiaczy i innych łobuzów. Przez zwyczajnych łapsów i prowokatorów policyjnych. Cała ta gadzina, wszystkie te wypędki szpiclowskie i drugooddziałowe nienawidzą Józefa Mackiewicza, szkalują go i denuncjują z tą samą zajadłą nienawiścią, z jaką szczeka na niego ulicznica Odolska, też nie mogąca mu darować, że talent wykopał tak nieprzebytą przepaść między bolszewicką dziwką a samotnym pisarzem...

*

Gdyby „Droga do nikąd" była napisana po niemiecku, czy choćby po rosyjsku, to by Józef Mackiewicz dostał Nagrodę Nobla jeszcze w tym roku.

A tak?

Ech, życie...

W. A. ZBYSZEWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

DOKUMENTY CHWILI

D'amour et d'anarchie. Récit d'une femme de militant recueilli par Claire Sainte Soline. Pp. 205. (Ed. Graset, Paris 1955, frs 480).

BERLIOUX (Monique). *Mon séjour chez Mao-Tse-Toung.* Pp. 236. (Ed. Flammarion, Paris, 1955, frs 450).

KOESTLER (Arthur). *Hiéroglyphes.* Traduit de l'anglais par Denise Van Moppès. Pp. 524. (Ed. Calman-Lévy, Paris, 1955, frs 1.140).

DIETRICH (Otto dr). *Hitler démasqué.* Pp. 251. (Ed. Grasset, Paris 1955, frs 630).

HISTORIA

POLIAKOV (Léon) et SABILLÉ (Jacques). *Jews under the Italian occupation.* Pp. 208. (Ed. du Centre, Paris, 1555).

The Ukrainian Insurgent Army in Fight for Freedom. Str. 223. Obwolutę projektował Jakiw Hnizdowsky. (Nakł. Zjedn. Komitetu Ukr.-Amerykańskich Organizacji w New Yorku, New York 1954).

POLIAKOV (Léon). *Du Christ aux Juifs de cour.* Histoire de l'antisémitisme. Pp. 342. Coll. Liberté de l'Esprit. (Ed.. Calmann-Lévy, Paris 1955, frs 775).

GĄSIOROWSKI (Zygmunt J.). *Did Pilsudski attempt to initiate a preventive war in* 1933? Str. 135-152. (Przedruk z „The Journal of Modern History Vol. XXVII, Nr 2, June 1955, USA).

GĄSIOROWSKI (Zygmunt J.). *The German-Polish nonagression pact of* 1934. Str. 29 (Przedruk z Journal of Central European Affairs, Vol. XV, Nr 1, April 1955, USA).

LITERATURA

ŁOBODOWSKI (Józef). *Komysze.* Powieść. Str. 333. Obwolutę projektował art. grafik W. Szomański (Nakł. Gryf Publications Ltd., Londyn, 1955. Cena 15 sh.).

BOHDANOWICZOWA (Z.). *Droga do Daugiel.* Powieść. Obwolutę projektował St. Baran. Str. 218. (Nakł. Katolickiego Ośrodka Wyd. ,,Veritas". Tom XVIII, serii czerwonej ,,Biblioteki Polskiej", Londyn 1955, cena 15 sh.)

KOWALEWSKI (Janusz). *O żołnierzu ciułaczu.* Opowiadania. Str. 234. (Nakł. Księgarni Polskiej ,,Orbis" w Londynie. Seria Biblioteka Autorów Polskich, 1955, cena 13 sh.).

CHATEAUBRIANT (A. de). *Cahiers* 1906-1951. Pp. 345. (Ed. Grasset, Paris 1955, frs 585).

THERIVE (André). *Les voix du sang.* Histoire vraie. Pp. 254. (Ed. Grasset, Paris 1955, frs 540).

SERCQ (Thomas). *Le bord des larmes.* Roman. Pp. 234. (Ed. Grasset, Paris 1955, frs 540).

COCCIOLI (Carlo). *La ville et le sang.* Roman. Pp. 202. (Ed. Flammarion, Paris 1955, frs 450).

GARNIER (Christine). *L'homme et son personnage.* (Confidences d'écrivains. Lettre-préface par Bernard Grasset. Pp. 280. (Ed. Grasset, Paris 1955, frs 630).

MERRICK (Gordon). *L'Amour est un commencement.* Roman. Pp. 317. (Ed. Flammarion, Paris 1955, frs 775).

RÓŻNE

TREGASTEL (J.-A.). *Dieu existe-t-il? Le nouveau matérialisme face à la foi.* Pp. 124. Ed. du Levain, Col. Aux Horizons de la pensée. Paris, 1955).

POLOWIEC (Henryk). *Dzieje grzechu CKZ PPS.* List otwarty do członków PPS na obczyźnie. Str. 8. (Londyn, czerwiec, 1955).

WYSZYŃSKI (Stefan kardynał). *Duch pracy ludzkiej.* Konferencja o pracy. Wydanie Nowe. Str. 208. Obwolutę projektował St. Baran. (Nakł. Katolickiego Ośrodka Wydawn. ,,Veritas", Londyn 1955. Tom VI Serii niebieskiej ,,Biblioteki Polskiej", cena 15 sh.)

Justice asservie. Recueil de Documents sur l'abus de la Justice à des fins politiques. Pp. 499. (Ed. Commission Internationale de Juristes, La Haye, 1955).

DOMINIQUE (Pierre). *La Politique des Jésuites.* Essai. Pp. 271. (Ed. Grasset, Paris, 955, frs 675).

GUITTON (Jean). *Actualité de Saint Augustin.* Pp. 153. (Ed. Grasset, Paris 1955, frs 390).

CZAPSKA (Marie). *L'huile de la lampe.* Un siècle de charité au service des exilés polonais. Préface de Robert Garric, Pp. 124. (Ed. Desclée de Brouwer, Paris, 1955).

ŚMIEJA (Florian).. *Pedro de Padilla and Gabriele Fiamma.* Str. 18-26 (Przedruk z Philological Quarterly, Vol. XXXIV, Nr 1,, January 1955 USA).

FOLEJEWSKI (Zbigniew). *Studies in modern Slavic poetry.* I. Str. 64 (Tom XI Publications de l'Institut Slave d'Upsal. Nakł. Almqvist & Wiksells Boktryckeri AB, Uppsala, 1955, cena 6 kor. szw.).

FOLEJEWSKI (Zbigniew). *La fonction des éléments dialectaux dans les oeuvres littéraires.* Pp. 122. (Tom I. Publications de l'Institut Slave d'Uppsal. Nakładem Almqvist & Wiksells Boktryckeri AB, Uppsala, 1949, cena 8 koron szwedzkich).

MALAK (Henryk, Ojciec). *Bernadeta z Lourdes.* Str. 157. (Nakł. Franciscan Printery, Pułaski, Wis. USA, cena 0,50 dol.).

CYZEVŚKYJ (D.). *Zu den polnisch-russischen literarischen Beziehungen.* Str. 256-275. (Sonderabdruck aus Zeitschrift fuer Slavische Philologie, Band XXIII, Heft 2, 1955).

Szanowny Panie Redaktorze,

Wychodzące w Londynie pismo codzienne pod nazwą ,,Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza" w numerze z dnia 15 września 1955 zamieściło artykuł pt. ,,Komitety bezpieczeństwa publicznego". Z treści tej notatki wynika jasno i niedwuznacznie iż redakcja pisma inicjuje i popiera akcję, mającą na celu utworzenie w społeczeństwie polskiej emigracji na Zachodzie sieci ,,społecznych" placówek wzajemnego szpiclowania i donosicielstwa. Do akcji tej wprzągnięte być mają m. in. organizacje kombatanckie, komitety parafialne itp.

Zajęcie szpicla i donosiciela nie cieszyło się nigdy, o ile mi wiadomo, szczególnym szacunkiem w społeczeństwie polskim, nawet wówczas gdy warunki ogólnej natury mogły sprzyjać pewnemu ,,rozwojowi" tego typu działalności w imię tych czy innych haseł. Mentalność szpicla i donosiciela nie znajduje szczęśliwie odbicia i wyrazu w najistotniejszych cechach narodowego charakteru polskiego i jest — co najmniej — obca każdemu uczciwemu Polakowi, gdziekolwiek by on się w chwili obecnej znajdował.

Zajęcie tego rodzaju, jakiekolwiek byłyby jego cele ,,praktyczne", nie było również nigdy, o ile mi wiadomo, podnoszone na piedestał obowiązku żołnierskiego w wojsku polskim i nie wchodziło w ramy normalnego szkolenia wojskowego. Mentalność zaś szpicla i donosiciela nie miała bowiem chyba nigdy być elementem składowym charakteru żołnierza-obywatela formowanego przez Polskie Siły Zbrojne w czasie pokojowym czy wojennym, w kraju czy za granicą.

Toteż inicjatywa rzucona i popierana przez redaktorów pisma noszącego piękną nazwę *,,Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza"* jest — z ubolewaniem stwierdzić to trzeba — obelgą rzuconą w twarz Polakom i byłym żołnierzom, niezależnie od ich stopnia wojskowego. Prowadząc bezpośrednio do demoralizacji społeczeństwa polskiego i zachęcając do zajęć upadlających człowieka, akcja ta, której nie powstydziłaby się ,,obca agentura", przynosi ujmę Polakom na emigracji wobec obcych i źle wróży przyszłości społeczeństwa emigracyjnego.

Inicjatywa ta wymaga właściwego potraktowania.

Niech jedynym po niej śladem pozostanie ów numer wspomnianego pisma. Będzie on dla przyszłych historyków obecnej emigracji polskiej charakterystycznym nad wyraz dokumentem świadczącym na jakie manowce ześlizgnęły się, niestety, myśl polityczna i poczucie odpowiedzialności niektórych ośrodków emigracji, której jednym z celów ideowych jest przecież wizja ,,wolnego obywatela w wolnej Polsce".

Zobowiązany będę Panu Redaktorowi za udostępnienie tych kilku zdań czytelnikom ,Kultury" i dziękując za to z góry, łączę wyrazy prawdziwego poważania i szacunku.

Dr L. WIERCZYŃSKI

PS. — Osobiście jestem przekonany, że — niezależnie od poruszonego tu zasadniczego aspektu wspomnianej inicjatywy — w wypadku wprowadzenia jej w życie dać ona mogłaby w praktyce skutki jedynie wręcz odwrotne od tych które w teorii zamierzają, jak się zdaje, osiągnąć jej inicjatorzy.

Wydawca: Edition et Librairie ,,LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 4e Trimestre 1955.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy Maisons-Laffitte (S.& O.)
Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata ½-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca", Serrano 2076, Buenos Aires	15 peso	90 peso	180 peso
AUSTRALIA: „Vistula" (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta poczt. 7315-20.	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: **Julia Barcińska,** r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia Kietlińska,** Av. Batel 1514, Curitiba, Paranà; **Hanna Lekszycka,** r. Guiarà 139, Vila Pompeia, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella", 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Stadhouderskade 50 A, Amsterdam-Z., Tel.: 716080	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **St. L. Lemański,** 570 Aberdeen Ave., Winnipeg/Man.; **H. R. Radomski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; **St. Zybała,** 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; **„Związkowiec",** 700 Queen St. W. Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomosci", Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; **St. Mikiciuk,** (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/I.	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Łubiński, Moss, Kongesgt. 2.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève, Tél. 32-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan 3/IV, Stockholm		15 kor.	28 kor.
U.S.A.: Polish Amer. Book C°, 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski,** „Gryf Publ.", 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **L. Dudarew Ossetyński,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; **S. Dziarczykowski,** 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; **M. K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **T. Konopacki,** 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. Tel. SW-1-2040; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; **A. Pleszczynski.** 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **K. Trojanowski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. **S. Dobczynski, Alma Shipping Co.,** 11 Cooper St., New York 34, N.Y. **The Polish Book Importing Co, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: „Gryf" Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.
Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres
Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 fr.; 1/2 str. 10.000 fr. (okładka + 50%)

IMPRIMERIE RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris-18e

Cena 180 frs.